

De. II 1  
TOM CCLX.

ROK 65.

SERYA 9.

ZESZYT 779.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

L I S T O P A D.

1905.

---

TOM IV. — ZESZYT 2.

---

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1905.

## TREŚĆ ZESZYTU.

|   | <i>Str.</i> |
|---|-------------|
| 1. KOMUNIKAT LISTOPADOWY, — przez <i>Szymona Askenazego</i> . . . . .   | 209         |
| 2. DEKADENCI, — przez <i>W. Dzieduszyckiego</i> . . . . .   | 218         |
| 3. WYŻSZE STUDYA ZAGRANICĄ A ŻYCIE NARODOWE, — przez<br><i>Wacława Dunina</i> . . . . .   | 255         |
| 4. JÓZEF GOŁUCHOWSKI, — przez <i>Józefa Bielińskiego</i> . . . . .  | 281         |
| 5. FARYZEIZM GERMAŃSKI, — przez <i>Franciszka Morawskiego</i> . . . . .   | 306         |
| 6. SZKICE BAŁKAŃSKIE, — przez dr. <i>Zygmunta Stefańskiego</i> . . . . .  | 331         |
| 7. RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i> . . . . .  | 354         |
| 8. PIŚMIENNICTWO:   |             |
| LUDWIG MISES. Die Entwicklung des gutsherrlich-bäuerlichen Ver-<br>hältnisses in Galizien (1772—1848). 1903, — przez <i>A. R.</i>   | 375         |
| J. BAUDOIN DE COURTENAY. Kwestya alfabetu litewskiego w pań-<br>stwie Rosyjskiem i jej rozwiązanie. W Krakowie,<br>1904, str. 44, — przez <i>Henryka Ułaszyna</i> . . . . .   | 382         |
| Kompetencya Sejmu w sprawach podatkowych Galicyi, — przez <i>Wł.</i><br><i>Studnickiego</i> . . . . .   | 384         |
| TECHNIK. Podręcznik opracowany według niemieckiego pierwowo-<br>zu, wydawanego przez Stowarzyszenie „Hütte.“ . . . .  | 387         |
| 9. KRONIKA MIESIĘCZNA:  |             |
| Potrzeby szkoły polskiej.—Wobec spodziewanego zniesienia cenzury.<br>— Projekt stowarzyszenia wzajemnej pomocy dla zie-<br>mian. — Głos p. Erazma Majewskiego w sprawie mu-<br>zeum archeologicznego. — Potrzeba opieki nad umy-<br>słowo chorymi . . . . . | 393         |
| 10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .  | 407         |

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 7.

*Z przyczyn niezależnych od Redakcyi zeszyt niniejszy za-  
miał w pierwszych dniach Listopada został wydany dopiero na  
początku Grudnia.*



De. II. 1.

## KOMUNIKAT LISTOPADOWY.

Ukaz cesarski z d. 10 listopada r. b. rozciąga na całe Królestwo Polskie stan wojenny. Ukaz ten został podany do wiadomości publicznej na trzeci dopiero dzień po datowaniu. Równocześnie komunikat rządowy z d. 13 listopada wyłącza Królestwo z pod skutków prawnych manifestu konstytucyjnego 30 października jako też manifestu 19 sierpnia o przedstawicielstwie narodowym. Komunikat ten, niepodpisany, a pochodzący zapewne od obecnej centralnej władzy administracyjnej, nie powołuje żadnej sankcyi prawodawczo-ukazowej i mocą własnej kompetencyi administracyjnej zawiesza dla Królestwa na czas nieograniczony rzezcone dwie ustawy zasadnicze. Komunikat podaje również motywa tego wyjątkowego zarządzenia. Streszczają się one w zdaniach: „działacze polscy... objawiają dziś ponownie (*wnow'*)... zuchwałe (*derznowennyja*) względem Rosyi usiłowanie oderwania się od państwa;“ „odrzucają oni myśl wspólnych prac z narodem rosyjskim w Izbie Państwowej;“ „żądadają „autonomii Polski.“ Te dążenia, „pomimo dotkliwych nauk przeszłości,“ popierane przez „niektórych pisarzów, publicystów i mówców ludowych“ polskich, to „ponownie wybuchłe powstanie (*wnow' wspannuwszaja smuta*) w Kraju Przywiślańskim,“ powodują rząd do przedsięwzięcia niniejszego aktu represyi.

Wszystko w tym akcie jest niezwykle. Naprzód — jego treść. Na samym wstępie do ery konstytucyjnej w stosunkach ogólnopaństwowych, wyjętą zostaje od dobrodziejstw najpierwotniejszej konstytucyjnej poręki część państwa pierwszorzędna, pod względem kulturalnym najdalej posunięta, jedyna w tem państwie posiadająca tradycye konstytucyjne. Następnie — forma komunikatu. Na samym wstępie do ery regeneracyjnej w stosunkach polsko-rosyjskich, przemawia się do całego narodu polskiego w zwrotach nietyle silnych ile wręcz obrażających, ciska mu się zjadliwe przypomnienie

najokrutniejszych cierpień doznanych z ręki Rosyi, nie zaniedbuje się nawet użyć nazwy kraju, albo raczej przezwiska, nieprawowitej, nienawistnej, negującej samą tego kraju istność narodowościową. Nareszcie — sposób motywowania. Przedstawia się zjawiska dzisiejsze w Królestwie jako faktycznie wybuchłe „ponowne powstanie,“ utożsamia się je z wypadkami z przed lat kilkudziesięciu a wyosabnia całkowicie od społecznych zjawisk przyczynowych w Cesarstwie, jakgdyby zgoła nieistniejących. Powiada się, że Polacy nie chcą wejść do Izby Państwowej, w tej samej właśnie chwili, kiedy się ich przymusem odpycha od wstępu do tej Izby. Zarzuca się im równocześnie dążność do „oderwania“ i do „autonomii,“ dwie rzeczy znoszące się nawzajem, gdyż kto pragnie autonomii pod berłem rosyjskiem, ten oczywiście nie pragnie zarazem oderwania się od Rosyi. Przypisuje się inkryminowane dążenia „niektórym“ osobom, niewiadomym „działaczom,“ a skutki zwała się na 11 milionową ludność Królestwa.

Że te motywa są skroś fikcyjne, że nie pokrywają się niemi istotne pobudki niniejszego aktu represyi — to jest jasne. Możemy to stwierdzić ze ściśle przedmiotową, spokojną pewnością.

Faktycznie rzecz się ma tak: Niema dziś w Królestwie Polskiem ani jednego stronnictwa, które odmawiałoby udziału w Izbie Państwowej (zwłaszcza opartej na przyznanej obecnie rozszerzonej zasadzie wyborczej), które występowałoby z postulatem oderwania się od Rosyi. Niema tu obecnie żadnego takiego stronnictwa, ani na skrajnych skrzydłach opinii, ani w ogromnej środkującej masie, stanowiącej jej jądro. Nawet najskrajniejsze odłamy partyjne lewicy polskiej, ciążące bezpośrednio ku żywiołom rewolucyjnym rosyjskim, nie tylko nie podejmują podobnej akcyi, lecz właściwie, na gruncie swoich programowych założeń teoretycznych, wyłączają ją z zasady. Aktualne względy polityczne, ekonomiczne, wreszcie fizycznej niemożności, przesądzają tę sprawę w niniejszej dobie historycznej. Wie o tem Królestwo, we wszystkich warstwach i kierunkach, od prawej do lewej, od dołu do góry. I wie o tem rząd.

A dalej faktycznie rzecz ma się jeszcze tak: W Petersburgu i Moskwie wrzenie rewolucyjne było, jeśli nie jest, na porządku dziennym. W Helsingforsie uwięziono generał-gubernatora rosyjskiego i żywioł krajowy objął tymczasowo władzę. W Kronsztadzie i Władywostoku wybuchło powstanie wojskowe. W Rydze i Rewlu zapanowały krwawe rozruchy. W Baku i Tyflisie wynikła anarchia. W Charkowie zawiązał się rząd prowizoryczny. W Odesie i Kijowie nastąpiły rzezie. Kiszyniów i Izmań stanęły w płomieniach. Wszystkie te miasta i ludy, od Morza Czarnego do

Białego, od Bałtyckiego do Pacyfiku, objęte niszczącą zawieruchą, zachowały dobredziejstwa reprezentacyjne i konstytucyjne, należne im z prawa, bo skoro raz wyrzeczone, święte, niecofnione i nietykalne. Równocześnie Królestwo Polskie, jak na dobę tak nadzwyczajną, przy szczególniejszej nadto sytuacji swojej, okazało panowanie nad sobą, zgoda bezprzykładne w pozostałych częściach państwa, a zgodne z wysoką stopą cywilizacyjną kraju i wysokiem w nim poczuciem odpowiedzialności za losy narodu. Zapewne, miały tu miejsce pewne ostre zaburzenia socyalne, w danej chwili i warunkach nieuniknione, dalekie wszakże pod względem rozmiarów, a zwłaszcza, pomimo wszelkich lokalnych zbroceń, pod względem kulturalnego sposobu objawiania się, od żywiołowych wybuchów w Cesarstwie. Nastąpił również w Warszawie serdeczny odruch radości, niestety przedczesny, z powodu manifestu konstytucyjnego. Odbyto we wzorowym porządku kilka spokojnych pochodów, uczczono starodawne znaki narodowe, śpiewano pieśni patryotyzmu i wolności, czyniono to, co dzieje się bez przeszkody codzień w Krakowie i Lwowie pod okiem władz państwowych. Nie zreagowano na krwawą egzekucję policyjno-wojskową, spadła znienacka na świętujące spokojnie miasto. Nie wpuszczono ohydnej roboty „czarnych secin,“ natarczywie importowanej z Cesarstwa. Nie dopuszczono rozkiełzania waśni rasowych i wyznaniowych, natrętnie z zewnątrz rozżarzanych. Zużytkowano natomiast nadaną prawodawczo wolność głosu, aby wystawić szczerze i uczciwie życzenia powszechności. Formułowano je rozmaicie, ze znacznymi różnicami w szczegółach, stosownie do odcieni stronnicych, lecz w najgłówniejszej treści, w zasadniczym punkcie wyjścia — jednomyślnie, t. j. w postulatcie bezwarunkowo wykonalnym, bezwarunkowo zdolnym, jedynie zdolnym dać krajowi pokój i normalne warunki rozwoju: w postulatcie autonomicznym. Ten postulat, piętnowany teraz urzędownie jako zamach na „całość państwa,“ jako wymysł „powstańczy,“ jako niecne „zuchwalstwo,“ był wszak rzeczywistniony przed blisko stuleciem w postaci nierównie pełniejszej, w nierównie „zuchwalszym“ czynie, dokonany przez cesarza i króla Aleksandra I. A jestto także w dzisiejszej dobie postulat programowy umiarkowanego stronnictwa konstytucyjnego rosyjskiego, tego samego stronnictwa, którego przewodnicy przez rząd obecny zaproszeni są do rządu. I oto ten sam rząd, który wprowadza państwo do nowego życia konstytucyjnego, który wczora aktem mądrości i sprawiedliwości przywrócił autonomię Finlandyi bez udanej trwogi o jej odpadnięcie, — dziś aktem dyametralnie przeciwnym stawia po za prawem Królestwo Polskie.

Cóż to wszystko znaczy? Czyliż miałoby znaczyć, że Królestwo, jak ongi zapłaciło koszta kryzysu rosyjskiego w okresie dekabrystów i wojny tureckiej, jak następnie zapłaciło koszta przesilenia rosyjskiego w epoce wojny krymskiej i uwłaszczenia włościan, tak miałoby obecnie zapłacić koszta przełomu rosyjskiego w znaku wojny japońskiej i powszechnego bezrobocia? Czyliż miałoby ono raz jeszcze zostać użyte jako okup dla reakcyi i jako trutka dla reformy? Czyliż miałoby znówuż przydać się do nasycenia jednej do zahamowania i rozbiecia drugiej? Albo czyliżby, w początkach nowej oryentacji ogólnopanstwowej, miało posłużyć do wypróbowania drogi odwrotu, w kierunku najmniejszego oporu, wedle zasady: *fiat experimentum in anima vili?*

Nie chcemy tego przypuszczać. Popełniono tu błąd sam przez się dosyć ciężki, który corychlej musi być naprawiony i niebawem też, ani wątpienia, poprawiony będzie. Trudno byłoby uwierzyć, żeby on miał być czemś innem niż skurczem przeżytkowym niepowrotnej przeszłości, czemś gorszem jeszcze, nie błędną już lecz wprost obłądną próbą odwrócenia wstecz dziejowego koła wypadków. Ale to pewna, że takie mianowicie fatalne piętno mogłaby na tym akcie wycisnąć jedna okoliczność szczególna: widoma w nim obecność złowrogiej inicjatywy sąsiedzkiej, inicjatywy pruskiej.

Skoro tylko ukazał się komunikat urzędowy, natychmiast całej opinii publicznej polskiej wydarł się jeden okrzyk; w tem są Prusy. Odczuto momentalnie znajomego aż nadto dobrze, niezmodowanego, prześladowczego ducha. Odczuto nawet styl, i w „zuchwałości“ polskiej komunikatu petersburskiego rozpoznano odrazu echo „*polnische Frechheit*“ z mowy malborskiej. Temu instynktowemu niejako odruchowi uświadomienia w całej Polsce zawtórowała też jednozgodnie opinia rosyjska i europejska. I to jest prawda.

Rzecz prosta, w tej samej chwili zjawiała się stanowcza denegacya półurzędowa pruska. To znaczy tylko tyle: że gdyby istniała jakakolwiek w tym wypadku wątpliwość, odtąd być jej nie może. Gdyż w tego rodzaju wypadkach denegacya pruska, to dla świata całego, a zwłaszcza dla nas, jest autentyfikacya. Dla nas zwłaszcza, którzy mieliśmy dosyć z Prusami do czynienia, którzy przeciw zawieralismy z nimi święte traktaty, którzy w naszym narodowym archiwum dziejowym mamy złożone najuroczystsze ich lojalności dowody. Starezy więc stamtąd pierwszy lepszy przykład, z wielu względów do sytuacji dzisiejszej zbliżony. D. 8 lutego 1863 r. nadzwyczajny wysłannik pruski generał v. Alvensloben (imiennik obecnego, od lat czterech urzędującego przy dworze rosyjskim ambasadora hr. Alvensleben) podpisał w Petersburgu

słynną, natrętnie narzuconą z Berlina, konwencyę tajną przeciw Królestwu Polskiemu. Ale mimo sekretu, głucha o niej wieść przeniknęła do wiadomości ogółu i wywołała interpelacyę posłów polskich i niemieckich w sejmie pruskim. Wtedy na sesyi sejmowej d. 26 lutego 1863 r. wstąpił na trybunę prezes ministryum pruskiego, p. v. Bismarck, i miał odwagę kategorycznie wyprzeć się „konwencyi, tego węża morskiego prasy europejskiej“ (*die Convention, diese Seeschlange der europäischen Presse*). Półurzędowcy ks. Bülowa nie umieją przemawiać tak pięknym językiem, ich denegacye w sprawie komunikatu listopadowego, trzeba wyznać, nie są tak lapidarne, jak p. v. Bismarcka w sprawie konwencyi lutowej; ale to nic nie szkodzi: są tyleż warte.

Polityka Prus w rzeczach polsko-rosyjskich posiada swoje niewzruszone tradycye, przechodzące z pokolenia na pokolenie. Stoi ona tradycyjnie na dwóch czynnikach: prowokacyi i denuncyacyi. To są sposoby stare, wypróbowane, posiadające powagę systematu klasycznego. Już arcy mistrz Fryderyk Wielki potrafił zachęcać pocihu konfederatów barskich do wytrwania w walce z Rosyą, przyjmować po przyjacielsku sekretne od nich poselstwa, posyłać im nawet pruskich oficerów-instruktorów w stroju cywilnym, — a jednocześnie postrachem konfederacyi poganiać w Petersburgu rokowania o pierwszy podział Polski. Wiadomo powszechnie, jak później podczas Sejmu Czteroletniego Prusy sprzymierzyły się z Polską przeciw Rosyi i jak następnie, wydawszy Polskę, zebrały łup niezmierny drugiego i trzeciego podziału. Tej obfitej, wówczas pozyskanej a wnet utraconej zdobyczy nigdy odtąd nie mogły zapomnieć Prusy, nigdy, aż po dziś dzień zapomnieć swoich dziesięcioletnich rządów w Warszawie, przeboleć straty dzisiejszego Królestwa Polskiego. Czyniły też wszystko, co było w ich mocy, aby wydrzeć je Aleksandrowi I. Wtedy to zdobyły się na kapitalną propozycyę kaliską 1813 r., uczynioną cesarzowi przez pełnomocnika pruskiego, generała Knesebecka i upomniały się o granicę: Pilicy, Wisły i Narwi. Innymi słowy, upomniały się: o całą dzisiejszą gubernię piotrkowską, kaliską, płocką, większą część warszawskiej i połowę łomżyńskiej. To jest owa sakramentalna „*Knesebecker Grenze*,” paktująca odtąd aż po dziś dzień, z małemi zmianami, w sztabie generalnym i gabinecie berlińskim. A jednocześnie berlińskie ministryum policyi, komenda naczelna (imiennik dzisiejszego ks. kancelrza, generał Bülow v. Dennewitz), regencye pograniczne, nawet używana już tak wczesnie prasa gadzinowa, denuncyowały na wyścigi przed cesarzem „ducha powstańczego“ (*Geist der Aufwiegelung*) Polaków, rzekome ich spiski krwiożercze i zamachy gotowane na

załogi rosyjskie w Polsce. Częściowy tylko wtedy osiągnięto skutek: wydarto Poznańskie,—nie zdołano zapobiedz konstytucyjnemu Królestwu Polskiemu. Ale nie dano za wygraną i ponowiono usilnie te starania przy pierwszej zaraz okazji, podczas rewolucyi listopadowej. Ówczesnego generalnego konsula pruskiego w Warszawie, Schmidta, zostawiono na stanowisku po wybuchu dla konferowania z rządem rewolucyjnym polskim i łudzenia medyacyą pruską, a jednocześnie przez posła pruskiego w Petersburgu, Schölera, donoszono o wszystkim rządowi cesarskiemu i ofiarowano się z okupacyą zbrojną, wyrażając uprzejmą gotowość zabrania dla siebie połowy Królestwa, sprawiającego Rosyi tyle kłopotu. Tym razem o mały włos nie dopięto celu. Plan wtargnięcia do Królestwa dwóch korpusów poznańskich V i VI, w sile 50 tysięcy ludzi i stukilkudziesięciu armat, był już wypracowany w najdrobniejszych szczegółach przez generalicyę pruską, zapaloną do tej imprezy i radzącą nawet niebardzo czekać na zaproszenie rosyjskie. Co więcej, do tego stopnia zdołano wpłynąć na Mikołaja I, zięcia króla pruskiego, że w tym to czasie, w maju 1831 r., cesarz we własnoręcznej zapisce (znajdującej się w petersburskiem Archiwum spraw zagranicznych) wyraził opinię, iż Rosya powinna „ustanowić swoje granice na Wiśle i Narwi, a resztę zostawić swoim sojusznikom,“ t. j. Prusom (*établir et fixer ses frontières à la Vistule et au Narew, abandonner le reste à ses alliés, comme indigne de lui appartenir*). Gdy na szczęście ta fatalna myśl, insynuowana cesarzowi przez Prusy, nie została urzeczywistnioną, podjęły one znowuż, z żelazną konsekwencyą, tę samą złowrogą robotę przy pierwszej sposobności następnej, podczas ostatniego powstania. Wówczas to, wiosną 1863 r., Bismarck, zawierając tamtą konwencyę lutową i posyłając do Petersburga jadowite denuncyacye pruskiego konsula generalnego w Warszawie, v. Therenina, jednocześnie starał się łudzić Wł. Czartoryskiego i rząd powstańczy swem pośrednictwem do uzyskania niepodległej Polski, a trzymał nad granicą cztery gotowe do inwazyi korpusy i likwidował sobie nagrodę pod postacią nieśmiertelnej linii Knesebeckowej, „tylko“ aż po Wisłę i Narwę, na co Rosya chętnie da zgodę, gdyż „obrzydła jej Polska.“ To wszystko są proste, pozytywne fakty, to realne ogniwa stwierdzonego dziejowego łańcucha: to nie są imaginacye, które dają się zdmuchnąć przez półurzędowe zaprzeczenia.

Kombinacya zaborcza względem Królestwa Polskiego jest dziś dla Prus aktualniejszą, niż kiedykolwiek, niż w 1813, 1831 i 1863 r. Skutkiem dokonanego odtąd rozrostu Prus w Niemczech, uwydatniły się tem jaśniej słabe strony ich konfiguracyi wschodniej i dys-



proporecyą położenia Berlina, który przy dzisiejszych środkach komunikacyjnych jest bliższy granicy Królestwa i bardziej eksponowany niż kiedykolwiek. Ale cała z tej strony groźba, jakkolwiek poważna, nie wyczerpuje sprawy. Bismarek nie obawiał się rzeczywistego powstania, którego zduszenia był pewien, a które owszem było mu na rękę, bo było podstawą jego kombinacji; on obawiał się sukcesu Wielopolskiego. Dzisiejsze Prusy tembardziej nie obawiają się powstania, którego nie ma; ale tem mocniej obawiają się sukcesu idei autonomicznej dla Królestwa. I mają ku temu istotnie poważne powody. Rząd pruski, rzuciwszy się z całym impetem w złą i niedorzeczną politykę antypolską, już obecnie przegrywa na niej z kretesem w Poznańskiem, na Szląsku i nawet na Mazurach. Jedynie jeszcze pokrycie, jedyną, możnaby powiedzieć, ewikycę dla swojej fatalnej polityki germanizacyjnej w Poznańskiem posiadał dotychczas w równie fałszywej gospodarce rusyfikacyjnej w Królestwie. Z chwilą nadania autonomii Królestwu nastąpić musi natychmiast doszczętne na całej linii bankructwo pruskiej polityki antypolskiej. To jedno. A następnie, co jeszcze dużo ważniejsze, z chwilą gdy na podstawie autonomii stworzy się droga do porozumienia polsko-rosyjskiego, wyniknąć stąd muszą skutki bardzo dalekoosne, a jeżeli dodatnie zarówno dla Polski jak i dla Rosyi i dla Europy, to pod każdym względem idące w poprzek dzisiejszych, ponad wszelką miarę ekspansywnych widoków i dążeń pruskich.

Tych rzeczy doniosłych nie ma tu potrzeby dalej podkreślać i rozwijać. Są to zresztą rzeczy całkiem elementarne i jasne. Wolna Polska przy Rosyi — na to wzdrygają się Prusy. Można by tu dodać incydentalnie, choć to już nie nasza sprawa, że wzdrygają się również na wolną Rosyę. To także są stare historie. Jeszcze niegdyś, niezmiernie dawno, kiedy Anna Iwanówna w kilka tygodni po podpisaniu pierwszej niejako karty konstytucyjnej rosyjskiej, owych „Punktów,“ ułożonych na wzór punktów polskich przez panów rosyjskich, publicznie w Kremlu przedarła ten papier konstytucyjny, a jego twórców, Dolhorukich i Golicynów wyprawiła do Syberyi i na szafot, — stary król pruski, Fryderyk-Wilhelm I, uradował się nadzwyczajnie i wychylając wielki kielich na cześć samowładnej znów imperatorowej, oświadczył z ukontentowaniem: „teraz nie będę już potrzebował oglądać się na Polskę.“ A daleko bliżej znowuż, kiedy Aleksander I układał w Warszawie wzorowaną na ustawie Królestwa konstytucyę dla Rosyi, nie omieszkało w Berlinie wydobyć corychlej drogą pokątną z Belwederu kopii tego projektu i przyłożyć się do jego zaniechania. I jeszcze bliżej, kiedy ważyły się losy konstytucyi pośmiertnej Aleksandra II, nie

omieszkął Wilhelm I, w piśmie odręcznym do Aleksandra III, ostrzegać go przed „skałami podwodnymi“ systemu konstytucyjnego, przestrzegać nie tylko przed głosowaniem powszechnem, które jednak sam zaprowadził u siebie w Niemczech, lecz także przed odpowiedzialnością ministrów, przed krytyką parlamentarną polityki rządowej, przed budżetową zawisłością rządu, przed wolnością nauczania i wolnością prasy.

Ale to są rachunki nienasze. W naszej sprawie własnej, rola ujemna Prus względem Królestwa Polskiego i polityki polskiej rządu rosyjskiego, rola interesowna, psująca, niszcząca. zarysowuje się aż nadto dotykalnie i w jaskrawem świetle widomych działań i intencji pruskich, występuje z oczywistością absolutnego pewnika. Lecz stąd płynie ten tylko wniosek, że każdy rząd rosyjski o tym pewniku wiedzieć i pamiętać jest obowiązany, że więc ilekroć tutaj sugestyi pruskiej ulega, za wszelkie konsekwencye spełna jest odpowiedzialny. Jeśli zatem o nacisku Prus w tej lub innej postaci, o ich spółdziale moralnym w komunikacie listopadowym dwóch zdań być nie może, to nie jest to bynajmniej moment osłabiający odpowiedzialność rządu w tym wypadku, lecz wprost przeciwnie, obciążający ją znakomicie.

Stosuje się to w tem wyższej mierze do obecnego rządu, który w porze niebezpieczeństwa i przełomu prezentuje się jako reformatorski i ratunkowy. Taki rząd stać może jedynie na zaufaniu publicznem. Ono jest jedyną jego dźwignią zarazem i bronią, jedyną racją bytu; bez niego on żyć nie może, jest niepotrzebny; podkopując je, podcina siebie. A musi je sobie dopiero zdobywać i zdobywane najbardziej ochraniać, gdyż zostało ono zdeptane i wygnane przez wszystkie rządy poprzednie, gdyż tego zaufania niema, a gdy zjawia się, jest podejrzliwe, lęklive, lotne, gotowe uciec w okamgnieniu i niepowrotnie. Zaś zyskiwać i utwierdzać ufność publiczną, może rząd dzisiejszy tylko realnym i konsekwentnym czynem, i tylko na prostej i rzetelnej drodze postępu. Niniejszy akt represyjny względem Królestwa jest gwałtownym nawrotem wstecznym. Nie był on zaś bynajmniej mimowolnem zбочeniem chwili, pod presją jakichś wypadków nadzwyczajnych, które np. wobec Finlandyi nie wytrąciły rządu z obranej drogi, a których tutaj nie było wcale. Został dokonany z całą rozważą, z premedytacją zupełną, po kilkudniowem przetrzymaniu Ukazu, po celowem przygotowaniu gruntu dla komunikatu przez umyślną publikację w *Gońcu Urzędowym* gorących uchwał autonomicznych z Królestwa, obliczoną z góry na poparcie zamierzanego kroku, bo obliczoną na poruszenie opinii publicznej rosyjskiej przeciw uroszczeniom Pola-

ków. Liczono zapewne również na zdyskredytowanie w ten sposób uchwał październikowych zeszłego rosyjskiego zjazdu ziemskiego w Moskwie, akceptujących autonomię Królestwa, i na wywołanie odpowiedniej reakcyi na przyszłym zjeździe listopadowym. Niezawodnie też brano w rachubę dawniejszy już dezyderat reakcyjny, zwłóczenie udziału Królestwa w pierwszej przynajmniej, najważniejszej kadencji Izby Państwowej, wyłączenie częściowe i czasowe, dawniej już, jak z najlepszego źródła wiadomo, wyczytywane tendencyjnie między wierszami manifestu sierpniowego. To wszystko są praktyki dobrze znane czasów starych, żywcem do nowych przeniesione, i jeśli nie całkiem „czarne,” to bądźco bądź barwy dosyć posępnej. A nie podobna ich tym razem żadną miarą zwać na czynniki podrzędne, na organa lokalne, których wpływy czy informacje, zapewne i tutaj na swój sposób współzynnne, nie mogą przecie osłaniać inicjatywy rządu centralnego w akcie tej miary i znaczenia. Rząd, który w sprawie tak arcydoniosłej podawałby się za wprowadzony w błąd i przez to za nieodpowiedzialny, rząd taki sam na siebie wydałby najsurowszy wyrok potępienia. Nie może być wątpliwości: to jest poprostu recydywa.

Bodajby była ostatnią, — możemy życzyć szczerze i nietylko w interesie własnym. Możemy, jak się rzekło, z całym spokojem roztrząsać niniejszy krzywdzący nas akt a kapitalny błąd rządowy. Ucierpiało na nim doraźnie Królestwo: stracił więcej, bo przeliczył się, rząd. Nie dała się stropić uświadomiona opinia publiczna rosyjska; a co główne, nie dała się wyprowadzić z równowagi i porwać do kroków rozpacznych dojrzała opinia Królestwa. Związane z Rosją Królestwo Polskie chce być gospodarzem u siebie, ani mniej, ani więcej, — i będzie. Ta jego sprawa zasadnicza przez żadne najwymyślniejsze, stare czy nowe sposoby ani zepsuć, ani nawet na długo odwłóczyć się nie da. Dobra i czysta sprawa Królestwa Polskiego nie jest dzisiaj zawisła ani od łaski rządu, ani nawet od szlachetnego społeczcia dzielnych i rozumnych przywódców młodej Rosyi, znajdującego wdzięczne echo w sercach polskich; niezawisła od woli takiego lub innego ministra albo uchwał takiej lub innej grupy stronnicej rosyjskiej, a niezawisła także od dozwolonej lub stłumionej manifestacyi własnych naszych pragnień: ona jest zapewniona przez przyrodzony imperatyw polityczno-dziejowy, który wyniesie ją niechybnie do pomyślnego końca na niewstrzymanej fali wypadków społecznych i przejdzie bez śladu do porządku dziennego nad komunikatem listopadowym.

# DEKADENCI.

## V.

Nazajutrz była niedziela, a niedzielę święci Zakopane urocząście; ogromne rzesze bywają na mszy świętej i na mszy miesza się lud góralski z gośćmi zakopiańskimi, nie dla komedyi i demonstracyi, pozbawionej prawdy, jak to bywa na niektórych zabawach, na których warszawianie bratają się niby z góralami, a miesza się naprawdę, modląc się do wspólnego Boga różnych przodków, a modląc się jedną wspólną mową. Niewiadomo nawet, czy byli kiedy wspólni przodkowie tych górali a tych panów i tych pań, którzy pojeżdżali w Tatry, z miast i dworów; być może — górale to nie Słowianie z pochodzenia, jeno Celtowie albo Dakowie, których tu zagnała niegdyś wędrownica narodów; nikt tego nie wie, nikt tego nigdy na pewne się nie dowie; daremnie będzie się nauka mozoliła nad rozwiązaniem zagadki, a choćby jej się poszczęściło, bierze ochota powiedzieć, że mozół jej daremny być nie przestanie; bo ta wiadomość ani jednej myśli nie odwróci, w niczem ani na włos ludzkiego nie zmieni postępowania, chyba, że dopomoże do wyśledzenia innych, donioślejszych prawd dziejowych — lub wogóle naukowych. Jeśli lud tatrzański i państwo z dolin wspólnych przodków niegdyś mieli, to chyba bardzo dawno, przed tysiącem lat, kiedy jedni i drudzy inne, pogańskie, zapomniane dawno czcili Boga. Ale jedni i drudzy mówią tą samą mową, do jednych i drugich przyszedł ksiądz z łańciskim mszałem w ręku i obwieścił Ukrzyżowanego, jedni i drudzy od wielu pokoleń kłęczą przed ołtarzem Bogarodzicy. Zresztą przez lat tysiąc mieli różne dzieje; — a raczej przodkowie państwa przybyłego z równin mieli dzieje, z krwi i z chwały utkane, a przodkowie ludu tatrzańskiego dziejów nie

mieli wcale, póki oto niedawno, nie zaczęli się ludzie z całej Polski zjeżdżać pod turnie i hale. Wspólna mowa i wiara wspólna dziś dopiero wyrabia duszę, a ta dusza odzywa się wyraźnie a poważnie, wtedy dopiero, kiedy górale i goście ukłęką przed wspólnymi ołtarzami, modląc się do Ukrzyżowanego i do Bogarodzicy.

Nie brak domów Bożych w Zakopanem. Dwa nawet są wcale okazałe. Obok wielkich, nowoczesnych zabudowań klasztornych, wznosi się na stoku zielonym nowy kościół Jezuitów, który udaje kształtami, że powstał za Wazów, a najpóźniej za Sasów — i to koniecznie jako świątynia uczniów św. Ignacego Lojoli. Jak zawsze i wszędzie, umieją Jezuici okazałością nabożeństwa największe rzesze wiernych przyciągać do swojego kościoła. W Niedzielę wewnątrz świątyni bywa tak przepełnione i państwem i ludem, że jużby się najmniejsza dziecina zmieścić nie mogła, a dalsze, nieprzejrane nieraz tłumy, wypełniają, klęcząc, cmentarz klasztorny, z którego rozlega się wspaniały widok na Tatry. Kiedy zagrzmi „Święty Boże,“ śnać naród się modli; myślisz, że modlitwie wtórują Tatry, gdzieś aż po granicę Chrobrego, tam daleko poza szczytem Łomnicy. — Ten to kościół stoi najbliżej Skoczysk i goście ze Skoczysk najczęściej do niego uczęszczają.

Okazała jest także szara, ciosowa fara, wznosząca się z groźną prostotą nieco niżej. Jakoś tak pięknie wystrzeliła tu szara wieża ponad kościół szary, że kościół z wieżą wydają się czemś żywym, przeznaczonem przetrwać wieki, jak dusza, jak wiara narodu; wieża, która dumnie z gmachu wyrosła, ugnie się, gdy wichry zaszumi z siłą szaloną, gdy grzmoty zaryczą na niebie, bijąc piorunami w gmach cały; lecz życie, które tryska z szerokiego, dolnego kościoła, górną utrzyma wieżycę; miną wichry, miną gromy, niebo się rozjaśni, a kościół wyrośnie wraz z wieżą, widną ozdobą swoją; zda się, że wieża sama ku Bożej chwale z żywego kościoła wyrośnie, choćby orkan jaki wieżę zawalił; bo to kościół żywy, a nie granitowego nie wstrząśnie spodu. Radbyś myślał, że gmach ten wykuł niegdyś mieczem swoim któryś z pradawnych, twardych Bolesławów, z duszy ludu i z duszy rycerstwa. Ale gdy wejdiesz w szare wnętrze kościoła, wnet uczujesz, że tego gmachu żaden nie stawiał Bolesław przedwieczny, że ten gmach wymarzył, uroił dopiero niedawny, przeszłowieczny budowniczy. Kościół jest, ale jeszcze spełna nie wie o sobie; jeszcze niepewna w nim dusza i ty nie wiesz, czy możesz się w nim modlić bezpiecznie. Potrzeba gmachowi jeszcze, aby go pokolenia wypełniały kolejnie, aby tu chłopcy i pany pospołu spowiadały się wspólnemu Bogu z cierpień i radości, z zawodów i z nadziei, które mi-

mo zawodów skonać nie mogą, z życia i śmierci: trzeba, aby się modlitwy i westchnienia i dreszcze duszy, tajemne przez lata i przez wieki, uczeptały tych ścian i tych sklepień, i stamtąd obcowały z tym, który poraz pierwszy święte przejdzie progi. Gdyby naprawdę który z Bolesławów ten gmach był stawiał dla rycerstwa i dla ludu, już dawno świadomą miałby duszę: teraz gmach stoi już, ale wieleż to potrzeba łez, zanim świadomie kościół ożyje?

Nieopodal, tuż nad drogą, stoi naprawdę stary już drewniany kościółek, do góralskiej chaty podobny. Stawiali go chłopscy cieśle, kiedy Zakopane dziejów jeszcze nie miało, kiedy nikt nie wiedział jeszcze o Zakopanem, a Zakopane nie wiedziało jeszcze o świecie, a tylko o Chrystusie i o Maryi, a las szumiał dokoła. Może nieraz niedźwiedź zaszedł po śniegu, aż pod bramę kościółka, zdziwiony słuchał ludzkiego śpiewu i patrzył na świece, żarzące się we wnętrzu, wśród ciemności, na roraty. Teraz zachodziła tam pani Leokadya. Mawiała, że to jedyny kościół w Zakopanem, który jej do serca przemawia; a prostotą sielską licowała dla niej wiara ojców, a te brusy, naiwnie ciosane siekierą, wydawały jej się dziełem rzetelniejszej sztuki od wszystkiego, co ludzie uczeni w dziewiętnastym wieku dla chwały bożej sporządzić umieli — myśląc nierównie więcej o sztuce swojej, albo o zarobku sztukmistrza, niżli o chwale bożej. Niegdyś, stare Bolesławy, mieczem swoim hartownym z ludu wyrzeczali rycerstwo, a lud pozostawili przy drewnianym kościółku; więc wieży na tym kościółku niema, a wygląda prawie, jak dzieło przyrody: proste a nieuczone w nim bywały modlitwy o urodzaj, pogodę i zdrowie — a czasem grzeszne o pomstę, albo o powodzenie przy robójniczej wyprawie. Tu dusza ludu zrastała się z przyrodą człowieka pierwotnego, nawet w modlitwie do chrześcijańskiego Boga, jak wieczysta lipa korzeniami swojemi w nieorganiczną wnika ziemię. Z tych korzeni wyrasta pień wyniosły; chowa w swoim wnętrzu wydrążoną przez wieki kaplicę, strojną w posąg Matki Boskiej; wieńczy się rozłożystą koroną napowietrznych konarów, strojnych w liście niezliczone i w wonne kwiecie, przyciągające do siebie pszczoł brzęczących roje; korzeniami czepia się mokrej, ciemnej ziemi, tajemniczej wszelkiego życia macierzy. Czasem kwiat jakiś sprzykrzy sobie przebywanie tam u góry, gdzie miejsce dla kwiatów i liści przeznaczone, wzgardzi pożywieniem podanem przez konary, nie wyda nasienia, źródła nowego, przyszłego życia, nie uchroni pszczoł, ludzkich karmicielek, zapragnię być czemś osobnem, i odezwie się przed czasem. Ale po wicherze dłu-

go bujać nie potrafi; więc wpadnie między duże, grube, bezkształtne korzenie, tam na dole, ukryje się wśród poziomego mchu, który tam korę obrasta, załaknie wody tryskającej wprost z ziemi — i na glebie żyznej uschnie; boć gleba wyżywi korzenie, ale tam wysoko, wśród liści, kwiatom żyć przeznaczono.

Jest wreszcie także drewniana kaplica w parku Chramca. Wodoleczniczy zakład Chramca w Zakopanem, postawiony nieopodal od dworca kolei, to biegun przeciwny owego ludowego kościołka, do którego pani Leokadya przywykła przez dyletantyzm zachodzić, to przedstawiciel najwybitniejszy nowożytnego świata. Zresztą urzędnicy w Zakopanem są jakby naumyślnie pierwotne, na co się jedni uskarżają, jako na niemożliwy za dni naszych brak wygody, czem się drudzy cieszą, jako kolorytem lokalnym, niepozbanionym swojskiej poezji. U Chramca tylko budynki nie bielone i nie malowane, przyznające się i na zewnątrz i na wewnątrz jawnie do tego, że je z drzewa postawiono, że ściany mają z desek poziomo spiętrzonych, przypominają że to Zakopane, nie przerywają kolorytu lokalnego tak niefortunnie, jak murowany hotel pod Morskiem Okiem. Zresztą wiek dwudziesty we wszystkim widoczny, i w ogromnych zabudowaniach, i w przestronnych, krytych chodnikach, po których letnicy mogą się przechadzać w czasie zbyt częstej w Zakopanem słoty, i w elektrycznym oświetleniu, w wodociągach, w łazienkach, wreszcie w czytelnicy, w której się dowiesz dziś, co się wczoraj stało na przylądku Dobrej Nadziei, albo gdzieś aż na Złotym morzu, o którym się człowiek starszy zaledwo w geografii uczył. Tu wiesz, że nie ma już miejsc różnych na świecie, że wszędzie gdzie jesteś, jesteś tylko na kuli ziemskiej, pokrytej jednostajną cywilizacją, że dziś już żadnych niema odległości, a koloryt lokalny, jeśli gdzie się znajdzie, jest tylko kokietowaniem z artystycznymi zamiłowaniem publicznosci. Do kosmopolitycznych wygód zakładu Chramca, należy także park wspaniały, a w tym parku osobny teren przeznaczony na grę w *lawn tennis* i kaplica drewniana, w której się odbywa nabożeństwo.

Liczna publiczność zbiera się w niedzielę przed tą kaplicą w ogrodzie, aby wysłuchać mszy świętej. Wśród tej publiczności wcale nie widać strojów ludowych; składa się wyłącznie z gości letnich, ubranych w kosmopolityczny strój, stosujący się do paryskiej mody, a wyjątek stanowią tylko szkolne mundury młodzieży. Są to ludzie z najrozmaitszych warstw społecznych i ludzie najróżnorodniejszego pochodzenia. Trafiają się tu księżęta, którzy ród swój od Gedymina albo od Ruryka słusznie wywodzą

i bogaci potomkowie hetmanów albo przynajmniej wojewodów. Wiele bywa owego ziemiaństwa, które przeważnie od starej, polskiej pochodzi szlachty, które powszechnie przechowuje dawne szlacheckie tradycje, ma dotąd dużo starszlacheckich cnót i przywar, a było jeszcze przez większą część dziewiętnastego stulecia klasą stanowczo przeważną, czującą i myślącą za cały naród, często przekonaną, że sama jeszcze jest narodem, a dziś dzieli się coraz bardziej ziemią z chłopem, wpływem, oświatą, bogactwem z mieszczaństwem. Bywa wielu, bardzo wielu, potomków szlacheckich, którzy przestali posiadać ziemię i dziś żyją z profesury, z urzędu, z advokatury, albo utrzymują się jako lekarze, inżynierowie, przemysłowcy, kupcy, zależni rolnicy, albo nawet rzemieślnicy. Albo już się zrośli, albo zrastają się szybko z nieherbową inteligencją, zajętą temi samemi zawodami, a w tłumie, przed kaplicą, w parku Chramca, nie łatwo odróżnisz potomka szlacheckiego od młodszej rzeszy tych, którzy wyszli z mieszczańskiego albo z wiejskiego ludu, przed trzema albo dwoma pokoleniami, lub też — oto dziś — bezpośrednio. Niejeden z tych ludzi, jednakowo ubranych, rodził się pod chłopską strzechą, albo w ubogiej, miejskiej izdebce, porzucił dzieckiem pług, albo warsztat, przebił się przez szkoły o chłódzie i głodzie, a w twardej pracy, dobija się jeszcze, lub dobił się już lepszego, albo może bardzo skromnego utrzymania, a w każdym razie stanowiska, dającego wstęp do szeregów inteligencji i charakter człowieka cywilizowanego. Tu naprawdę potomkowie ludu i potomkowie dawnych rycerzy zrośli się w całość, posiadającą jedną, wspólną duszę. Niedowierzają sobie czasem jeszcze wzajemnie, kłócą się, albo obmawiają się nawzajem; ale może nie tyle różne pochodzenie, ile różny dostatek, albo rozmaite zajęcia, dzielą ich na obozy i koterye. W gruncie rzeczy nie tylko ubierają się podobnie, ale myślą, czują, pragną działać jednakowo i rozumieją się zupełnie, choć się z dalekich stron pojeżdżali, choć się tu, w Zakopanem, poraz pierwszy z sobą stykają, wpierv o sobie osobiście nie słyszeli, teraz się jeszcze nie znają. Lubię tę syntezę, a że był dzień pogodny a bez słońca, wybrałem się na mszę, do kaplicy u Chramca. U Jezuitów byłbym miał chwilowo złudzenie, że żyję za dni króla Jana, w farze byłbym roił o starych Bolesławach i o tem, czego nie dokonali, w starym, góralskim kościółku byłbym się gubił w niewyraźnej ludowej przeszłości. Tu byłem wśród teraźniejszości, która przyszłość wyraźnie wróży; a żyć, znaczy dążyć do przyszłości, która do przeszłości tak będzie niepodobną, jak kolej żelazna jest niepodobną do husarskiego konia, albo senatorskiej



kolasy i jak telegraf niepodobny do konnego lub pieszego posłańca. Nie o przeszłość, nigdy o przeszłość niepowrotną, tylko o przyszłość nam się modlić wypada.

Ci, którzy mszy w kaplicy u Chramca słuchają, zwykli tworzyć półkole przed drzwiami otwartymi drewnianego przybytku, przed którym się wolny gazon rozlega. Kłąby świerków i drzew liściastych tworzą tło, na którym się odbijają drewniane ściany kaplicy, ciemne mężczyźni a jasne przeważnie niewiast stroje. Starsi i panie siedzą na krzesłach giętych, przyniesionych tu na czas mszy, a tworzących rodzaj improwizowanego amfiteatru, po za którym stoi większa część mężczyzn. Tu nikt nie klęczy przez całe nabożeństwo, jak to lud zwykł czynić; tu panuje obyczaj inny; siedzą i stoją, a klękają tylko na podniesienie i na suplikacye. Kiedy się msza kończy, zwykł się tu wznosić śpiew chóralny, wychodzący ze wszystkich piersi, tych ludzi, tak dalekich sobie pochodzeniem, zatrudnieniem, miejscem urodzenia, na pozór zupełnie obcych dla siebie, a w tym śpiewie odzywa się dusza gromadna tak ponętnie, że ze wzruszenia płaczą, klęcząc i modląc się o przyszłość, do której drżą wspólnie, parci siłą nieprzemogłą, tak jak fale rzeki pędzące do morza i niosące tam wody, które z różnych zleciały obłoków, z różnych dalekich od siebie źródeł w jedno spłynęły koryto. Modlą się do Boga, który niezliczone pokolenia ochraniał tarczą swej opieki, prosząc, aby tych, którzy żyją, a przynajmniej tych, którzy żyć będą, wywiódł z krainy ciemności i mroku; modlą się i płaczą, a w tym płaczu budzi się wspólna dusza, pęd, który wszystkich do przeznaczonego, przeczuwanego a nieznanego niesie celu; i w tym gorzkim płaczu jest miłości tyle, jest rozkoszy tyle, że dla tego płaczu chodzę w Zakopanem na to nabożeństwo dla ludzi nowożytnych, a nie szukam wspomnień przeszłości, która się zapadła i już się nie wróci. Albowiem nie trzeba iść między groby! Zostawmy umarłych z umarłymi, a bądźmy z tymi, którzy żyją, żyć chcą i w świecie, który się przemienia cały, ruszony z posad przez moc wynalazków nowożytnych — żyć mogą.

Pomiędzy pobożnymi, którzy się tu tej właśnie zebrali niedzieli, była pani Zakliczyna z córką, a znajdowały się w towarzystwie zaprzyjaźnionej rodziny Rzymczewskich, która, zjechawszy gromadnie do Zakopanego, zamieszkała w olbrzymim zakładzie Chramca. Obok pani Zakliczyny siedziała panna Sabina Rzymczewska, przez znajomych zwykle ciocią Sabiną zwana, siedmdziesięcioletnia już staruszka, zamodlona w Ołtarzyku złotym, z twarzą pomarszczoną, na której widniały wyraźnie zawód

i rezygnacya. W kartkach książki były różne kwiatki zaschłe, które powiędły marnie, nie wydawszy owocu, a zapewne jakieś dawne wspominały dzieje. Ciozia Sabina do tych kwiatów bardzo była podobną. Bardzo daleko było pani Laurze Zakliczynie do lat siedemdziesięciu, ale patrząc na nią, wiedziałem na pewno, że choć zmarszczki jej twarz pokryją, a włos jej posiwieje, do kwiatu zasuszonego w wirydarzu podobną nie będzie, lecz będzie podobną do istoty, która wskazane przez przyrodę spełniła zadanie. Ciężkie przeszła koleje żywota, na jej także twarzy był widny smutek, a nawet niepokój żyjących, obcy już rezygnacyi cici Sabiny. Ale to nie był żal nieuleczalny, za przeszłoroczną wiosną, która minęła nie spełniwszy obietnicy i nigdy nie powróci. To był niepokój o jutro i smutek z niepokoju zrodzony, a niepokój własnego nie tyczył się losu. Nieraz odrywała pani Laura wzrok swój od książki do nabożeństwa i patrzyła długo na córkę swoją, tak jakby ją polecała Bogu. Panna Celina stała, czytając, pochyliwszy tylko zlekka głowę nad książką, cała jakby w oczekiwaniu. Twarz była niby spokojna, usta tylko się poruszały wymawiając pocichu słowa modlitwy; czasem tylko pierś się wzdęła i opadła. Prześliczną była czarnobrewa Litwinka w tym spokoju swoim, ale ten spokój cały pytał się wyraźnie o jutro. Do gorsu przypięła sobie ledwo rozkwitłą różę, podobną jeszcze do niej, bo pełną życia i krasy, ale przeznaczoną zwiędnąć marnie, nie wydawszy nasienia. Kiedy pierś dziewczyny wzdymała się i opadała, wydawało mi się, że się wzdryga przed losem tej róży. A potem byli państwo Rzymczewscy, mąż i żona, w pełni wieku, już nawet ku zachodowi pochyleni, były ich córki i byli synowie. Był tłum dokoła nieznanomych; byli młodzieńcy, którzy marzyli o robocie życia, pewni że się lepiej od starszych spiszą. Było tam dwoje małych dzieci, które przyszły na mszę, ale zabawek opuścić nie mogły; sprawowały się grzecznie, ale zabawki miały przy sobie. Dziewczynka miała na rękę laleczkę, i wierzyła, że jest matką, że lalka - dziecko nie obejdzie się bez jej matczynej opieki; chłopczyk miał szabelkę przywiązaną do boku, szabelkę, którą był gotów siostrzyczkę i lalkę obronić. Mój Boże! Szabelkę! jakby dziś u nas szabelką cokolwiek obronić było można, jakby przyszłego męża czekał taniec bojowy, pełen gorącego zapachu — jak niegdyś na kresach, — a nie trud życia nielitościwie jednostajny, nie walka o chleb powszedni, dla drugich i dla siebie, dla ducha i dla ciała, wśród zgrzytu maszyn żelaznych, albo piór, kreślących cyfry i formuły po wielkich arkuszach, spoczywających na biurach owych, na których się toczą bitwy zajadłe,

lubo nie krwawe, w ciasnej, dzisiejszej Europie. Człowiek przestał żyć na łonie otaczającej go przyrody; nie gra już na fujarce, wśród zielonego stepu, po którym się pasą niezliczone trzody i nie goni z oszczepem zwierza wśród leśnej puszczy; żyje otoczony samymi dziełami przemysłu, bo dziełem przemysłu bywa pole orane i las zagospodarowany na równi z miastem, z sadem, albo ogrodem — a nawet z maszyną parową. Całą zewnętrzną przyrodę, aż do zwierząt i roślin, przerobił człowiek, w sposób zgodny ze swymi zamiarami. Ale te zamiary wynikły z natury człowieka i ta została nie zmienioną. Trwają w pełnej mocy przyrodzone a przemożne instynkta ludzkie, tęsknoty i pragnienia, żądze i namiętności, bez którychby się rodzaj ludzki nie ostał, które wszystkie w różnaitości przedziwnej, a jednak w jednostajności, mającej wszystkie przetrwać pokolenia, wydają się misternem zaklęciem, zmuszającym ludzi do tego, aby bezwiednie, aby przez samolubstwo, poświęćali spokój, to, coby się głupiemu rozumowi szczęściem osobistym wydać mogło, a nawet nieraz zdrowie i życie, na to tylko, aby rodzaj ludzki, jedyny na ziemi przybytek ducha świadomego, ostał się i mnożył i aby wśród niezliczonej rzeszy człowieczej mógł czasem powstać człowiek naprawdę.

Po skończonem nabożeństwie, pozostawiła pani Laura córkę swoją pod bezpieczną opieką państwa Rzymczewskich. Miała się odbyć, przy udziale panny Celiny, zabawa w *lawn tennis*, a partnerem Zakliczanki miał być pan Stanisław Kmita — kawaler — z domu Kmitów. Gdym się o tem dowiedział, zdawało mi się, że przejrzał ambitne pani Laury zamiary i utwierdziłem się w przekonaniu, że Szczęsny Borski — „wziął odkosza.“

Pani Zakliczyna zachęciła mnie do tego, abym jej z powrotem towarzyszył. Od zakładu d-ra Chramca do Skoczysk wcale daleko, a pani Laura, unikając zbyt ludnej Krupiówki, obrała znacznie dłuższą drogę, wiodącą przez pole, drożynami, z których się roztacza pyszny widok na góry. Szliśmy jakiś czas, milcząc, obok siebie. Pani Laura pierwsza przerwała milczenie, w takie do mnie odzywając się słowa:

— Kobieta samotna bez rady obejść się nie może; ledwo jej starczy na to rozumu, aby dobrą radę od złej odróżnić. Jeśli mogłam po śmierci męża córkę wychować, majątek ocalić, to dla tego tylko, że mi u krewnych i sąsiadów nie brakło męskiej rady — co więcej, nie brakło nawet czynnej pomocy. Tam, u nas, skupili się ludzie dla wspólnej obrony, tak jak trzoda rogatego bydła, przejęta trwogą, kiedy w pobliżu drapieżnego poczuje niedźwiedzia. Więc po śmierci mojego męża nie tylko dla formy

zjechali się ludzie na pogrzeb; owszem radzili, przejrżeli stan interesów, pożyczili pieniędzy, nastęrczyli dobrego zarządcę całego majątku i potem doglądali gospodarstwa, o każdej szkodzie przestrzegali. To ich nie odstręczało, że w pierwszych latach musiałam żyć bardzo oszczędnie, wprost ubogo, że większej części dworu nie opalałam w zimie, że prawie całą służbę podprawaiałam, że podać mogłam strawę skromniejszą niż u administratora majątku, którego odpowiednio płacić musiałam, że wina wcale przy stole nie było. Nie przyjeżdżali dla zabawy, tylko na to, aby poradzić, aby dopomódcz; a wreszcie dopomogli, podźwignęli, tak, że mogło być znowu w Wyszywiskach, jak niegdys, za życia męża, a ja nie potrzebowałam się bać o materyalną przyszłość swojego dziecka; i spokojną może być dusza nieboszczyka, a ja dziękować mogę za to przedewszystkiem Panu Bogu, ale także dobrym ludziom, którzy mnie nie opuścili. W owych ciężkich latach jedyną pociechą moją była córeczka, najdroższa po mężu pociecha, której musiałam starczyć i za ojca i za matkę. Gdy na dziecko patrzałam, nie tęskniłam ani do wygód, bez których się obchodzić musiałam, ani do światowych zabaw. Dziwiłam się, że mnie jedni żałowali, a drudzy chwalili, jakby te wszystkie marności i błyskotki mogły zastąpić szczęście matki; i bywałam wesoła przy dziecku, swobodna, szczęśliwa, a zdawało mi się niestannie, kiedy się Celinką zajmowałam, że mój mąż jest przy nas, że mnie nie opuścił, że wraca z tamtego świata, aby wraz ze mną dziecko wychować po Bożemu. Już wtedy trzeba mi było dobrej rady, także dla wychowania Celinki, tem bardziej, że gospodarstwo i interesa, bardzo wiele mi czasu zabierały. I znowu dobrej rady nie brakło. Panna Sabina Rzymczewska osiadła gościem stałym u mnie, w pustym dworze, aby mnie przy wychowaniu dziecka dopomagać, za co jej i jej rodzinie pozostałą wdzięczną do grobowej deski. Ale potem trzeba było nauczycielek, bo sama w żaden sposób wychowaniu podłać nie mogłam, a u nas pensyonatów nie ma, do którychbym dziewczynę oddała i znów korzystałam z dobrej rady krewnych i sąsiadów, a wielkim dobrodziejem moim był brat mojego męża, mój szwagier Bronisław, który bardzo światłą dopomagał radą, nie tylko wtedy, gdy chodziło o nadanie kierunku studjom dziewczęcia, ale także kiedy chodziło o moralne wychowanie. Byстрыm okiem wysledził jej usposobienie, a przestrzegał, żeby tego usposobienia nie zwalczać, mówiąc, że nikt nie przymusi powoja, aby prosto rósł do nieba bez podpory, a nikt lilii nie zmusi do tego, aby się maksztalt powoju wiła. Nauczył mnie tego, że nawet takie skłonności dzie-

eka, które łatwo w wady zamienić się mogą, trzeba uszanować, bo ich nie przełamiesz, tylko pokierować niemi tak, aby się zamieniły w cnotę. Celinka odziedziczyła po ojcu upór nieprzełamany, a dodała do tego niewieścią skrytość. Takie usposobienie mogło się stać bardzo niebezpiecznem, ale dzięki radom szwagra, pokierowałam niem tak, że się zamieniło w stałość i nie natrętną dla drugich dumę. Gdy Celinka wyrosła na panienkę, miałam już pociechę, miałam zapłatę za długie trudy. Majątek już był w porządku, a dziewczyna była i śliczna, i dobra, i wykształcona; ale znów potrzebowałam bardzo rady i potrzebowałam pomocy, gdy chodziło o ponowne nawiązanie stosunków z wielkim światem, gdy chodziło o urządzenie gościnnego domu, o wywiezienie Celinki do Wilna i do Warszawy, o postanowienie, czy i jakie podróże ma odbyć zagranicę. A dzięki opiece Matki Przenajświętszej, nigdy mi na tej radzie i tej pomocy nie zbywało, nigdy koło mnie dobrych a doświadczonych ludzi nie brakło. Aż tu, w Zakopanem, spadło na mnie ciężkie strapienie, i nie mam kogo się poradzić. Ciocia Sabina taka stara, tak o świat nie dba, że umie się już tylko modlić; a zresztą potrzebuję do pomocy mężczyzny. Pan Rzymczewski bardzo zacny człowiek, w interesach nieraz dopomógł, ale świata nie zna, a tu koniecznie potrzeba znajomości świata. Zresztą są tu sami znajomi nieznanymi. Ręce mi tak dalece opadły, że *faute de mieux* radziłam się aż Leokadyi d'Estrée, jako starej znajomej; ale ta chyba nie uspokoi.

Pani Zakliczyna umilkła na chwilę i westchnęła ciężko. Wtrąciłem tedy, że mnie się markiza d'Estrée wydaje najmilszą towarzyszką, ale najgorszym doradcą, jakiego matka w swoich kłopotach szukać mogła.

Pani Laura podjęła: — To właściwie Leokadya mnie się sama z radą narzuciła; — ale roznieciła jeszcze więcej mój niepokój, spotęgowała moją nieporadność. Aż dziś, podczas mszy świętej, przysłała mi Matka Boska myśl, abym się pana radziła, jako przyjaciela młodości, a spodziewam się, że pan mnie rady i nawet pomocy nie odmówisz.

Z zupełną do wszystkich posług oświadczyłem się gotowością, a wtedy spytała mnie się pani Zakliczyna, czy znam bliżej Koziełkę i co o nim myślę?

Odpowiedziałem: — Koziełkę znam osobiście dopiero od miesiąca; poznałem go tu, w Zakopanem. Pierwej słyszałem o nim tylko, jako o podróżniku; tu mówił mi o nim Borski, że to zdolny i majątny człowiek. Więcej szczegółów opowiadała mi pani d'Estrée, ale nie wiem, czy wszystkiemu mam wierzyć?

— Mówiła o nim źle? — spytała się pani Laura.

— Owszem — odrzekłem — chwaliła go bardzo — po swojemu Tylko pewne jego czynności krytykowała. Nie bardzo mogę zważać na to, co pani d'Estrée mówi o Kozielle, bo czuję, że się na niego patrzy z punktu widzenia nie całkiem bezinteresownego. Spędziła z nim jakąś zimę w Palermie, a teraz chciałaby się nim stroić w Zakopanem, jako swoim wyłącznym adoratorem.

— Czy pan tak sądzisz?—zawołała pani Zakliczyna. Po chwili milczenia, podjęła w te słowa: — Różnie ludzie pana Antoniego Koziellę sądzą. Wszyscy się zgadzają z tem, że to człowiek bardzo wykształcony, bardzo zdolny, i nawet bardzo dzielny, umiejący świetnie przeprowadzić każdą sprawę, jakiej się podjął. Wielu ma mu za złe różne ekscentryczności — i sukcesy, jakie miał po różnych stolicach, wielu mówi, że to w gruncie rzeczy niepoprawny egoista i dekadent, który skończy na samobójstwie; inni twierdzą, że to młody człowiek o najszlachetniejszych popędach, że w innych okolicznościach byłby już zajął wybitne w społeczeństwie stanowisko, a u nas szuka ujęcia dla sił nagromadzonych, że to młodość w nim się burzy, a skończy się na tem, iż z niego będzie człowiek znakomity. Ja zaś wiem, że wyrządził mnie, jako matce, największą krzywdę, jaką człowiek mógł wyrządzić, bo skrzywdził srodze moje dziecko jedyne. — Temu lat trzy miał tę samą reputację, którą ma teraz, kiedy wrócił na Litwę, po dłuższym pobycie nad morzem Śródziemnem. Wtedy właśnie Celinę w świat wprowadzić miałam, i postanowiłam rozpocząć od wsi, zanim ją do miasta powiezę. Koziello poznał ją na lucznych imieninach u księstwa Korybutów i zaraz na nią jedynie zwrócił uwagę; nawet świetna Leokadya d'Estrée, która podówczas właśnie bawiła na Litwie, nie mogła go swoją błyskotliwą rozmową oderwać od boku dziewczęcia osiemnastoletniego. Zauważywszy to, zaniepokoiłam się zrazu, ze względu na jego wątpliwą reputację. Swoim zwyczajem, poradziłam się ludzi, do których miałam zaufanie. Tym razem źle poradzili; mówili wszyscy, że się ustatkuje skoro się ożeni, że się nie godzi tak świetnej zniechęcać partyi. Więc nie tylko nie unikałam spotkania z panem Antonim, wprost zachęcałam go do tego, aby bywał w Wyszywyszkach a z Celiną rozmawiał. Celinka zakochała się w nim oczywiście. Że jest zawsze skryta, nie powiedziała tego matce, ale to było aż nadto widoczne, po całym jej zachowaniu. Kiedy rozmawiali z sobą, czułam, siedząc opodal, jakby jakieś rozkoszne dreszcze wiosenne, które od nich promieniały. Pewnie, strach mnie brał na myśl, jak zostaną po ślubie

córki, sama, całkiem sama, ze wspomnieniami tylko, nie mając już o kogo dbać, kogo strzedz co dzień, co nocy, dla kogo przygotować, wygładzić wszystkie drobiazgi życia, jak to tylko kobieta potrafi, jak na tem polega większa połowa szczęścia żony i matki. Ale wiedziałam zawsze, że przeznaczeniem dziewczyny iść zamaż a porzucić rodziców. Byłabym przysięgła, że pan Antoni kocha szczerze Celinę i byłam szczęśliwa szczęściem dziecka. Cała Litwa mówiła o przyszłym małżeństwie. Zaczęłam się chwila mi tem niepokoić, że zbyt długo do żadnych nie przychodzi oświadczyń; ale odpędzałam niepokój, jak brzęczącą muchę. Wreszcie, razu jednego zaniepokoiłam się naprawdę, kiedy pan Antoni po kilkudniowym pobycie w Wyszywiskach odjechał, nie mówiąc nic kiedy powróci, a Celina była tak smutną, jak posąg rozpaczy. Nic mi nie powiedziała, nic w ogóle nie mówiła; modliła się tylko więcej niż zwykle, w towarzystwie milczała uporczywie, a kiedyśmy były same, dawała dużym łzom wymykać się z pod powiek. Gdy mi się niebawem dowiedziała, że Kozieleń wybrał się w podróż naokoło świata, zrozumiałam, że lekkomyślnie, że występnie zatrął serce mojego dziecka, a zniweczył moje zaufanie. Ludzie rozumie się dalej bywali u nas, Celinka bawiła przez jedną zimę w Wilnie, przez drugą w Warszawie, stroiła się znowu, śmiała, wydawała się tak swobodną, że myślałam, ja nawet matka, że się rana zablizni. Kilka partyj odmówiła. Nie bardzo się temu dziwiłam; żadna z nich i mnie także do smaku nie przypadła, bo starali się światowcy, dobrze urodzeni, ale tacy, którzy żadnej nie przedstawiali treści, ludzie, przyzwyczajeni starać się o panny majątne, i gotowi rozpocząć nowe konkury nazajutrz po otrzymanej rekuzie. Byli to ludzie, jakich jest bardzo wielu, a żaden z nich, po Kozieleń, nie mógł się podobać, ani nawet matce; nie sprostali mu ani postawą, ani rozmową tuzinkową o plotkach i błahostkach, a jeśli który z nich próbował mówić o czemś poważniejszym, przypominał tylko świetne rozmowy Kozieleń, z których ogień i światło tryskały i stawał się śmieszny. Pod koniec naszego tegorocznego pobytu w Warszawie zaczął się pan Szczęsny Borski zbliżać do Celiny. Oczywiście, daleko mu do świetności tamtego; ale jednak musiałam sobie pomyśleć, że to człowiek na seryo, który potrafi spokój zapewnić rodzinie. — Spędziłam z Celiną jedną wiosnę we Włoszech; roku następnego odwiedziłam z nią Paryż, spędziłam lato w Szwajcaryi; tego roku chciałam jej pokazać Kraków i Tatry. Zastałam tu Borskiego, zaczął się wyraźnie zbliżać do Celiny, a we mnie utrwaliło się powoli przekonanie, że byłoby lekkomyślnością za

tak porządnego człowieka nie wydać córki. Na nieszczęście zjawił się także Koziełło i zajechał do Skoczysk. Ubodło mnie to; w pierwszej chwili chciałam wyjechać z Zakopanego; pomyślałam potem, że toby tak wyglądało, jak gdybym Borskiego unikała. Siedziałam zatem tu, bardzo niespokojna. Pocieszało mnie, że Celinka mało z Koziełłą rozmawiała, on powtarzał nieraz przy nas piękne, głębokie nawet zdania, które niegdyś wygłaszał na Litwie, a patrzył przytem na Celinke, swojemi tęskniami oczyma. Celinka odwracała się wtedy; czemś innem się zajmowała, nieraz wszczyniała z Borskim obojętną rozmowę. Dopiero Leokadya zaniepokoiła mnie naprawdę; przestrzegła, że Koziełło chce dokazać sztuki łamanej, chce drugi raz Celinke rozkochać w sobie na to, aby ją drugi raz porzucić i przekonać się o tem, jak nieprzewyciężony na niewiastach wywiera urok. W taką niczemność trudno mi było wierzyć — a jednak przeraziłam się bardzo — bo wszystko jest możliwe na tym tu bożym świecie. Leokadya powiedziała mi, że jedyną radą na to okropne niebezpieczeństwo, byłoby przyspieszenie oświadczyn pana Borskiego i przyjęcie tych oświadczyn. Cóż ja biedna miałam w śmiertelnej trwodze robić? Poszłam za radą Leokady; unikałam jak najbardziej sposobności, przy których Celinka mogłaby z Koziełłą rozmawiać. Leokadya nareszcie zachęcała Borskiego i ja na to zezwalałam. Rozeszła się po Zakopanem wiadomość niby pewna, że pan Szczęsny jest po słowie z Celiną; a wtedy czerwone dostrzegłam u Celinke powieki, i uważałam, że teraz Borskiego unika. Wtedy zebrałam się na odwagę, bo Celinka jest tak skryta, że nawet matce trzeba odwagi, żeby się z nią rozmówić, że nawet matka musi ją po półsłówkach wyrozumieć. Dawno należało to zrobić — ale wreszcie spytałam się Celinke, czyby mogła się zdecydować na małżeństwo z Borskim? Gdybyś pan wiedział jakim wzrokiem spojrziała wtedy na mnie! Ja tego wzroku do śmierci nie zapomnę. Odpowiedziała mi spokojnie: — „Ja nigdy nie pójdę zamaż.“ To „nigdy“ przebiło mi serce, jakby nożem. To „nigdy“ znaczyło, że Celinka celu w życiu mieć nie będzie, że będzie kiedyś podobną do biednej, świętej panny Sabiny; a taka świętość córki, gorsza dla matki od śmierci. Dusiło mnie coś w gardle, kiedy się spytała, czy myśli pójść do klasztoru? Odpowiedziała znów głosem tak spokojnym, tak naturalnym, że mi serce krajał: — „Do klasztoru iść nie mogę. Na to trzeba mieć serce, w którymby nikt prócz Boga nie przebywał. Mężem moim nie może być nikt z tych, którzy się o mnie starali, albo kiedykolwiek starać będą. Bywają to ludzie obojętni, albo nawet sympatyczni, dopóki się



o mnie nie starają; skoro o którym z nich pomyślę, jako o mężu, nabieram do niego wstrętu.“ Po chwili dodała, że jest bardzo wdzięczną pani d'Estrée, że nią się zajmuje, ale że prosi, aby panna Borskiego nie łudziła nadzieją, nie mogącą się nigdy ziścić.— Doprawdy nie wiem, co mi się stało, i jakie prawo miałam do tego pytania; ale chciałam wiedzieć; więc spytałam się, czyby się za Koziełkę także za żadną cenę wydać nie chciała. Poczzerwieniało wtedy biedactwo strasznie. Odpowiedziała cicho, ledwo do słyszczanym głosem: — „Pan Antoni ani się o mnie nie starał, ani się nigdy starać nie będzie.“ — I wybuchła głośnym płaczem. Tak to dowiedziałam się wreszcie, że Celinka Koziełki kochać nie przestała. Oczywiście zaraz panu Borskiemu sama powiedziałam, że moja córka nie ma zamiaru wychodzić za mąż. Nie spuściłam się na Leokadyę, powiedziałam to, co uczciwość mówić kazała. — Teraz jestem tak okropnie bezradna, że się panu zwierzyłam ze swoją i z córki swojej tajemnicą. Dyskrecyi pańskiej ufam zupełnie. Ale proszę o radę, co mam teraz począć?

Nie łatwo radzić matce, gdy się los dziecka waży. Namysłiwszy się przez chwilę, spytałam się: — Czy Koziełko popełnił kiedy jaki czyn haniebny? Czy wyzyskiwał ludzi? Czy bywał niesłownym?

— Nie — odrzekła biedna matka — nie; o brudzie żadnym nie słyszałam; bywał raczej zbyt szczodry, zbyt łatwowierny. Chwalono go głośno za to, że bywał przyjacielem pełnym poświęcenia, człowiekiem słownym aż do przesady.

— Więc — podjąłem — podejrzenie pani d'Estrée jest poprostu oszczerstwem. Człowiek taki nigdy dla zabawy panny uwodzić nie będzie.

— A jednak nie inaczej postąpił sobie przed trzema laty i to z zupełnem dzieckiem! — zawołała pani Zakliczyna.

Odrzekłem: — Nie rozumiem tego, co się wtenczas stało; nie mogło w tem być rozmysłu. Rzeczby jeszcze trzeba zbadać. A proszę mi powiedzieć, czy Koziełko może majątek marnuje?

— I to nie — odrzekła pani Laura — bywa szczodrym, ale nie rozrzutnym. Wydawał czasem bardzo dużo pieniędzy, ale nie ponad możność. W naszych stronach nie wolno być marnotrawcą. Zbyt silny bywa nadzór społeczeństwa nad każdą jednostką; kto się rzadzić sam nie umie, musi się poddać pod kuratelę sąsiadów, jeśli nie chce się stać wyrzutkiem społeczeństwa. Pan Koziełko jest bardzo dumny; nie przeżyłby tego, gdyby go wzięto pod kontrolę, pod kuratelę; więc rządzi się dobrze, dobrze majątkiem administruje, aby uniknąć tego niebezpieczeństwa.

Spytałem się jeszcze, czy Koziello dba o opinię społeczeństwa, które go otacza? Wątpiłem, czy będąc tak pełnym miłości własnej, jakimkolwiekby się poddał przymusowi sąsiedzkiemu? Wydawał mi się człowiekiem, wynoszącym siebie ponad wszystkie węzły.

— Tak nie jest — rzekła pani Laura — gada czasem tak, jakby był kosmopolitą, albo, nie wiem dobrze czem — jakimś półbogiem, dla którego i kosmopolityzm i jego przeciwieństwo nie istnieją. Ale to słowa tylko. Wtedy, kiedy największe nawet wyprawiał dziwactwa, kiedy się czas jakiś bawił w chłopomana skrajnego, albo kiedy zapominał się po stolicach, szukając powodzeń i wrażeń, w sposób u młodzieży męskiej zbyt zwyczajny, ale którego żadna chyba porządna kobieta nie pochwali, od obowiązków obywatelskich nie usuwał się wcale. Nigdy pod tym względem na żaden nie zasłużył zarzut — i owszem, raczej na pochwałę.

Zawołałem wtedy: — Dopóki gałąź pnia się trzyma, może nieść kwiat i owoc. Po tem wszystkim coś mi pani powiedziała, nie rozpaczam o Kozielle. Może być z niego jeszcze bardzo dzielny człowiek. Kobieta jest przeznaczoną chować dzieci przy ognisku domowem, słać dla męża spokojne gniazdo, w którym spocząć może po trudach dnia każdego. Dlatego pewne wybryki są wbrew przeciwne naturze niewieściej; ani świat, ani własne sumienie, takich wybryków kobiecie nie daruje; a jeśli kobieta męskim odznaczy się występkiem, bywa czasem nadobną, posiadzie doskonałą sztukę uroczego osidlenia ofiar swoich, ale będzie raczej biesem, niż człowiekiem, będzie ową poczwarą o ciele dziewicy, z rybim ogonem, topiącą swoje ofiary w nurtach wodnych, którą sobie wyobraźnia wszystkich prawie narodów wyśniła. Darują natomiast snadno kobiecie wady, którychby nigdy mężczyźni nie przebaczone, że nie wspomnę już lęklivości, przebaczą skąpstwo, obłudę, próżność rozkochaną w drobnostkach, a nawet zawiść brzydką, lubującą się w oszczerstwie. Grzechy te u niewiasty co najwięcej naganne, odsądzą nieraz mężczyznę od prawa obcowania z ludźmi. Bo mężczyzna ma gniazdo budować i gniazda bronić, a zatem powinien być przedewszystkiem mężnym i skorym do walki. Mężczyźni wedle praw przyrody o kobietę zabiegają, nie zaś odwrotnie: przeto skromność i powściągliwość są nieodzowną niewiast cnotą, a niewiasty same brak jej mężczyznom snadno przebaczą; — zganiają mężczyznę za burzliwe postęпки — nie potępią — nawet nieraz tembardziej ukochają. Nie myślę Kozielle chwalić za grzechy młodości — ale nie potę-

pię go jeszcze za nie; owszem, po wszystkim, co słyszałem, sądząc, że może być z niego dzielny człowiek; lecz może być także, nibyto szlachetny, a w istocie najzgubniejszy samolub, tem straszniejszy, że nie przestanie być sympatycznym, że drugich będzie ciągnął za sobą w przepaść, w którą sam będzie gonił. — Może to od pani zależy, czy się zbawi, czy się sam potępi. Dzisiejsza cywilizacya ułatwia życie bezdomnego samoluba, nietylko przez swoją moralną anarchię, ale także przez tysiączne wygody, które bezdomnym po hotelach i klubach nastęrcza, przez łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce. Dzisiejszemi czasy, założenie rodziny wydaje się ubogiemu ciężarem nie do zniesienia, a samolubna swoboda tysiącem pokus bogatego wabi. A skoro jeden i drugi rodziny nie założy, nie stanie się całym mężczyzną, nie przyjąwszy na siebie troski męża i ojca rodziny, tem gorzej z nim będzie, im bujniejszą ma naturę; jak okręt bez steru i celu, przepaść musi. Więc jako chrześcijanka i jako niewiasta, nie powinnaś pani Kozięły odpychać od siebie, skazywać na zgubę. Angielskie panięskie powieści kończą się tem, że się bohaterowie pobrali, jakby w dzień ślubu szczęście zupełne im było zapewnione; a w dzień ślubu odwrócono tylko nieszczęście życia samotnego, niezgodnego z przeznaczeniem tak kobiety, jak i mężczyzny; zaczyna się trud życia; — ale człowiek do trudu stworzony, a trudem jest już samo istnienie. Szczęściem, gdy myśl o obowiązkach odwraca uwagę od tego nieszczęścia, że istniejemy, jako coś niedoskonałego koniecznie, a trud i troska same jedne ratują od rozpaczy. Zbytek sił i zbytek wyobraźni, które Kozięłą nieraz powiodły na bezdroża, mogą jeszcze nieraz odezwać się po ślubie, nie jedną łzę wycisnąć jego żonie; ale taki człowiek zawsze wreszcie do żony i dzieci zawróci, przy nich stale pozostanie, mając podstawę, na której się oprzeć może, rozszerzać koło obowiązków. Nic zapewne nadzwyczajnego nie zdziała, potrafi jednak robić lepiej to, co inni robią dobrze, a zdobywając poważanie żony, wzmoże jej miłość, stworzy dla niej takie szczęście, jakie na świecie ziemskim być może. W angielskich powieściach, małżeństwa bywają zawsze wynikiem wzajemnej miłości. Tak wcale nie jest na świecie. Najczęściej pobierają się ludzie na zimno; świadomość tego, że to związek dozgonny, wspólna troska o dzieci i majątek, albo utrzymanie, długie przyzwyczajenie, gruntują najpierw przyjaźń, potem coraz ściślejszą miłość małżeńską, jeśli tylko małżonkowie są ludźmi godnymi poważania, posłusznymi prawu obowiązującemu moralnie, grzeszącymi tylko przez słabość ludzką, a szukającymi po ciężkim grzechu poprawy. W koń-

cu myślą i czują jednakowo, rozumieją się nawzajem, nie rozmówiwszy się z sobą. Przeciwnie, para przed ślubem zakochana bez panięci, bywa najgorszym małżeństwem, jeśli folgują namiętnościom swoim, przekładając je nad obowiązki. To wszystko przyznają z góry; ale jeśli panna Celina jest przywiązana i to do tak niezwykłego, bądź co bądź zachwycającego człowieka, jak Koziełło, zadałaby pani gwałt przyrodzie, zmuszając córkę do zameścia z człowiekiem obojętnym a tuzinkowym tylko — gotowałyby pani całe życie swojego dziecka złamać. Lepsze dla niej burze z Koziełłą, niż spokój niezawodny, ale grobowy, z nielubianym, a tak strasznie oklepanym, choć zapewne bardzo szanownym, Borskim.

Pani Zakliczyna przerwała mi teraz nieco niecierpliwie, mówiąc: — Jużem się raz zdecydowała była wydać Celinę za pana Antoniego Koziełłę. Uznają słusność wszystkich pańskich uwag; — ale — ale nie o to chodzi. Niechaj wiem, że Koziełło chce się z Celiną żenić — zdam się na Bożą wolę. Ale ja się boję, że Celinka ma słusność; że on się o nią, ani nie starał, ani starać nie myśli.

— Więc — rzekłem — może tego się tyczy nie już rada, ale usługa, której się pani odemnie domaga. Jeśli pani pozwolisz, chętnie się podejmę wybadania Koziełły. Sądzę, że przedemną nie będzie się ukrywał. O tem niema mowy, aby mówił nieprawdę, jeśli powie, że chce się starać o rękę panny Celiny. A być bardzo może, że chce, tylko nie śmie; że pani d'Estree jemu powiada, iż mu panie nigdy jego dawniejszego postępowania nie przebaczą. Ale chciałbym przedewszystkiem dowiedzieć się, jakie są jego przekonania i postanowienia, jaki ma obecnie sposób myślenia? To, co mówi w towarzystwie, wydało mi się szlachetnem, robiło na mnie wrażenie, jakoby był dojrzały i samolubstwa zaniechał. Może to maska, ale ja jestem dla niego tak dalece obcy i obojętny, że nie będzie się potrzebował maskować przedemną. Dowiem się, co za zacz i powiem pani. A radzę, abys go pani także nie unikała, owszem, obserwowala, a wzrok niewieści niejedno odkryje. Może się dowiem także, jakie były powody, jego dawniejszego postępowania na Litwie? O wszystkim zdam sprawę, a potem dopiero postanowisz pani, znając wszystkie okoliczności, co robić wypada.

— Dziękuję panu — rzekła pani Laura — wdzięczną będę niezmiernie; dobre to przyszło natchnienie podczas mszy świętej, a daj Boże, aby wszystko na dobre wyszło!

## VI.

Jedną z wielu zalet doskonałej pensyi w Skoczyskach jest to, że goście mają wrażenie, iż są u siebie w domu, że nie hotelowe, ale rodzinne prowadzą życie. Wielka ta zaleta ma jednak, jak wszystko na świecie, ujemną także stronę. W hotelu nikt o nikogo nie dba, nikt się nikim nie troszczy, tak jak się nie troszczymy losami przygodnego sąsiada w kamienicy. W Skoczyskach zajmują się ludzie sobą nawzajem, a przeto jak się coś niepożądanego komuś z gości stanie, odczuwa to do pewnego stopnia całe towarzystwo. Zajście zatem pomiędzy panami Kazimierzem Zeńskim i Szczęsnym Borskim, nie było dla mieszkańców Skoczysk rzeczą obojętną. Po kątach rozprawiano o tem żywo, i podzielone były zdania; jedni, a to przeważnie mężczyźni, dziwili się Borskiemu, że nie zażądał orężnej satysfakcyi; ale dziwili się tylko; nie potępiali już tak stanowczo, jaktoby było niegdyś rzeczą nieuniknioną; nawet ci, którzy z nim teraz niechętnie wdawali się w rozmowę — podawali mu rękę, ruszali ramionami, ale wreszcie nie odrzucali zupełnie argumentu, że zakaz kościelny nie pozwala się pojedynkować gorliwemu katolikowi. Wszystko to świadczyło o tem wymownie, że instytucya pojedynków dogorywa na lądzie stałym Europy, tak jak wygasła całkiem w Anglii; tylko że nie wiadomo, czy jej miejsce zajmie jednomyślne potępienie człowieka, który komuś bez słusznego ubliży powodu, czy też pospolita bezkarność towarzyska? — Inni znów obracali kota ogonem; potępiali Zeńskiego za napaść na gładkiej drodze. W tym obozie przeważały kobiety, ale i mężczyzn nie brakło. Jednak — rzecz dziwna! Nie oburzało się w zasadzie na wyrządzenie słownej obelgi, tylko mówiono, że całe zajście jest niepożądanym skutkiem tego, że jakiegoś poeetę, należącego do całkiem innej sfery, przypuszczono do towarzystwa, tak zwanych ludzi dobrze wychowanych; sądzono rzecz jedynie ze stanowiska kastowego i koteryjnego. Rozmowy te wszakże odbywały się, jak rzekłem, tylko po kątach, przynajmniej po kątach moralnych, bo pod nieobecność obydwu bohaterów zajścia. Kiedy którykolwiek z nich zjawił się w towarzystwie, ludzie rozmawiali z nim grzecznie, o rzeczach obojętnych i wynosili się, jak mogli najprędzej. Wielką próbą dla wszystkich gości był obiad, na który obaj przychodzili; szczęście, że w Skoczyskach niema jednego stołu, że są różne stoły, przy których ludzie siedzą partjami; inaczej obiad byłby się stał

wprost nieznośnym, tak jak zupełnie nieznośnemi były chwile, w których się obaj, i pan Szczęsny i Eolion, zjawiali równocześnie, czy to w salonie, czy na tarasie, i kiedy na złość sobie brali udział w ogólnej rozmowie; tylko, że do siebie oczywiście nie mówili, lecz zachowywali się tak, jakby jeden drugiego nie znał. Takiej sytuacji żadne towarzystwo nie zniesie. Więc po kilku minutach wynosili się wszyscy, a ilekroć Borski dostrzegał, że gotów zostać sam na sam z poetą, wynosił się także. Koniec końcem, ostatecznym skutkiem zajścia było niezwykle całego towarzystwa rozproszenie.

Ja miałem dużo na głowie. Miałem tego strzedz, aby do nowej, gorszej nie przyszło awantury między Eolionem a Borskim, którego w dodatku sam od wyjazdu powstrzymałem. W tym celu szukałem rozmowy z rozgoryczonym poetą i jakoś mi się to nie kleiło, bo Żeńskiego rozdrażnienie nie znało granic: w całym jego zachowaniu się było coś, co budziło we mnie straszne podejrzenie, że używa najrozmaitszych środków podniecających, nie tylko alkoholu, ale stokroć gorszej morfiny. Żal mi go było strasznie, ale ilekroć zbliżyłem się do niego, rzucił mi kilka teatralnie namiętnych, albo sarkastycznych frazesów, a potem urwawszy rozmowę, znikał z przed oczu. — Drugim zadaniem było wy badać Koziellę; do tego trafiła mi się prędzej sposobność, a przynajmniej trafiła mi się sposobność do długiej rozmowy.

Dzięki powszechnej ucieczce z miejsc, gdzie się towarzystwo w Skoczyskach zwykło było gromadzić, zdarzyło mi się, że dostrzegłem na tarasie od ogrodu Korczaka i Koziellę, prowadzących samotną rozmowę. Znając dobrze Korczaka, domyśliłem się, że filozofowali, a taka konwersacya o sprawach ogólnych, nastęrczała znakomitą sposobność do nawiązania bliższej znajomości z Koziellą i do wybadania jego istotnych przekonań i zapatrywań — rzeczy dla mnie obecnie wcale nie obojętnej. Przysiadłem się tedy do nich w chwili, w której Korczak perorował.

Mówił: — Właśnieśmy niedawno o tem mówili z Dzieduszycim, i przyznaję, że naród bywa zdolniejszym do działania, szczęśliwszym i zazwyczaj potężniejszym, jeśli uznaje jakieś wspólne dogmaty, o których nikomu wątpić nie wolno, jeśli dogmatyczna moralność przymusza wszystkich do przestrzegania jednakowego obyczaju, wspólny ideał wszystkich pobudza i do czynów i do poświęceń za wspólną sprawę, wspólna religia wszystkim dodaje otuchy, a w razie potrzeby pociechy. Taki naród bywa podobny do klina, do żelaznej szpady, rozbijającej wszelkie przeszkody. Swary wewnętrzne w takim narodzie tyczą się środków, a nie ce-

łów, i wszyscy idą w jednym kierunku, choć może różnemi drogami; więc wszyscy zajdą daleko, a u końca drogi zejną się razem, tem pewniej, że stałość domowych i społecznych stosunków oszczędza niezliczone tarcia takie społeczeństwu, wierzącemu naiwnie w niezachwiane, wspólne dogmaty. Przeciwnie, naród krytyką w swoich wierzeniach zachwiany, chodzi po drogach rozbieżnych, a na żadnej z nich nie wytrwa; wspólnego nie mając celu, do niego trafić nie może; nigdzie nie zajdzie, a w dodatku rozproszy się, nie idąc nigdzie. Z powszechnego sceptycyzmu wynika powszechna niestałość stosunków; żadne związki między ludźmi nie bywają trwałe, żadnym umowom zaufać nie można; każdy usuwa się z pod obowiązku, szukając osobistego szczęścia, i kończy się na tem, że nikt wspólnym potrzebom nie czyni zadość. Mniejsza o to, że taki naród musi uleść przemocy innego naiwnego narodu, gotowego się poświęcić dla celów, do których dąży bez wahania; to gorsza, że zniknie w narodzie wszelkie zaufanie pomiędzy obywatelami. Każdy będzie tylko myślał o sobie, a wiedząc, że drudzy także o sobie tylko myślą, każdego współobywatela mieć będzie za wroga, którego się przede wszystkim wystrzegać musi. U naiwnego, wierzącego narodu rodzina bywa najpotężniejszą podporą społeczeństwa, wiąże w jedną całość nie tylko rodziców i dzieci, ale całą rzeszę stryjców, tworzących stałą potęgę, o której każdy wie, że na niej polegać może; mnóstwo sług i dependentów grupuje się w dodatku koło tej rodziny, a świadomość o tem, że związków zrywać nie można, każdemu daje uspokojenie. W narodzie krytycznym, zbyt oświeconym, rozbija się taki związek koniecznie na piasek luźnych jednostek, z których każda na własną rękę szuka szczęścia, a zmieniając ciągle i zajęcie i miejsce pobytu, nigdy nie znajdzie spokoju, rzadko się dostatku dorobi. Sama nawet rodzina w najściślejszem znaczeniu tego słowa, związek małżonków z sobą i z dziećmi, traci swoją zwartość, skoro niema już sankcyi dogmatycznej. Mnożą się rozwody, mnożą się stosunki nieślubne, przychodzi wreszcie do tego, że wielu już nie wie, kto naprawdę ich ojcem;— a nareszcie samolubstwo odradza od małżeństwa, ojcostwa i macierzyństwa i zbyt mądre społeczeństwo poprostu bywa zagrożone wymarciem, jak stary Rzym lub dzisiejsza Francya. Gdyby mi kto powiedział, że z tego co mówiłem, wynika nieznośny paradoks, jakoby brak oświaty był dla narodu szczęściem — łatwo odeprzeć ten zarzut. Celem narodu jest jego rozwój, jego potęga;—do tego celu dojść może tylko naród wierzący niezłomnie w dogmaty i przekazania, których treść jest taką, że skoro się naród do niej

stosuje, dąży do swojego naturalnego celu. Naród, któryby innym dogmatom zawierzył, zamrze, albo będzie wiódł życie półsenne tych narodów Indyj, których wiara uniedoleżnia wiernych, czyni ich niezdolnymi do życia ziemskiego, do jednolitego, narodowego rozwoju. Tego nie myślę rozważać, jakim okolicznościom zawdzięczają niektóre narody to, że wierzą w dogmata dla swego rozwoju pożyteczne. Takie tylko narody mogą zakwitnąć. Do tego atoli, aby zakwitły, trzeba jeszcze czegoś więcej; trzeba właśnie oświaty, ale oświaty rozsądnej, oświaty nie krytykującej dogmatów podstawowych życia narodowego, nie spierającej się, podobnie jak Hamlet, o to, czy być, czy nie być, tylko wyszukującej na mocy systematycznie rozpatrzonego a umiejętnie przeprowadzonego doświadczenia, środki najdzielniejsze, zapewniające osiągnięcie narodowego ideału. Zgadzam się więc z panem, kiedy mówisz, że cały tok dziejów powszechnych świadczy o tem, że naród ginie, skoro nie ma już dogmatów, w któreby wierzył. Sądzę jednak, iż rzecz ma się zupełnie przeciwnie z pojedyńczym człowiekiem. Człowiek wykształcony nie powinien w żadne dogmata wierzyć, nie powinien karku ugiąć pod żadne przesady, jeśli ma żyć w sposób istotnie wykształconego człowieka godny.

Bardzo z tego byłem rad, że na taką właśnie trafiłem rozmowę; dyskusya nad przedmiotem poruszonym przez Korczaka mogła mnie zaznajomić ze sposobem myślenia Kozieli i to w sprawach najżywotniejszych. Świerzbiał mnie język, ale powstrzymałem odpowiedź, chcąc koniecznie usłyszeć zdanie pana Antoniego; a odpowiedział prawie to samo, co ja miałem na myśli.

Rzekł: Naród wątpiący w dogmata stanowiące podstawę jego bytu — a bynajmniej nie mam wyłącznie dogmatów religijnych na myśli — naród dyskutujący ustawicznie i przeczący najprostszym i najoczywistszym prawdom społecznym, nie jest podobnym do Hamleta, który waryata tylko udawał; — jest wprost narodem zwaryowanym, choć być może, składać się będzie z samych inteligentnych jednostek. Taki naród musi być niepoczytalny, długo narodowego bytu utrzymać nie może, a skoro go postrada, z pewnością już nie odzyska. Podobnym do Hamleta naprawdę, jest człowiek tak zwany oświecony, który żadnego pewnika nie przyjmuje, wszystko roztrząsa swoim rozumem. Rozum, kiedy nie ma przed sobą praktycznego zadania, jest sofistą nieznużonym; przeciw każdemu argumentowi kontrargument wytoczyć potrafi. Kto o tem jeszcze wątpi, niech przeczyta jakąś obszerniejszą historję filozofii. Kiedy się człowiek zabierze do czynu, kiedy chce jakies dzieło wykonać, wtedy subtelne wątpienie odpędza od siebie,



a właściwie, choćby był filozofem, zapomina o tem, że takie wątplenie jest możliwem. Kto chce się wody napić, chwyta za szklankę, nie pytając się o to, czy zapamiętane doświadczenie ma tak-sowany walor przedmiotowy, czy mamy słuszną rację, spodziewając się, że doświadczenie przyszłe do przeszłego będzie podobne. Przy czynnościach bardziej skomplikowanych, naprzykład kiedy chodzi o zapewnienie bytu rodzinie, ma człowiek do czynienia już nie z rzeczami bezwolnemi, tylko z ludźmi, o których wie wtedy napewno, że mają wolną wolę, a wiedząc o tem, wbrew wszystkim najmańdrzejszym, metafizycznym wywodom, zastosuje się do tego nawet zapamiętały determinista, kiedy weźmie się do praktycznego działania; nie będzie się więc spodziewał w stosunku z ludźmi, a choćby z tym samym człowiekiem, ścisłego powtórzenia się dawniejszych doświadczeń, będzie tylko uważał za rzecz prawdopodobną, że przyszłe doświadczenia będą mniej więcej do przeszłych podobne. Nie wda się także w wątpliwości wynikające z twierdzenia, że znamy własne tylko konieczne urojenia, że rzeczy samych wcale nie znamy, tylko będzie najzupełniej pewny, że ma do czynienia z ludźmi, posiadającymi istotę duchową najzupełniej do naszej podobną, czującą, pożądającą, poznającą; będzie zatem ludzi przekonywał, namawiał, kusił, zwalczał na sposób, mogący prawdopodobnie posłużyć do ziszczenia powziętych zamiarów; co więcej będzie ich przede wszystkim kochał i nienawidził, dowodząc tem samym najwyraźniej, że w żadne sofistyczne nie wierzy wątpliwości. Skoro człowiek postanowi coś zrobić, czegoś dokonać, wierzy poprostu w proste rzeczy, a kiedy się ktoś wobec niego zachowa w sposób niegodziwy — oburzy się i potępi winowajcę, choćby teoretycznie, ile mu się podoba przeczył różnicy pomiędzy złem a dobrem moralnem — a przeciwnie, nie oburzy się, tylko zawstydzi, jeśli mu ktoś pokrzyżuje zamiary, pochwyciwszy go na złym uczynku. W wielkiem niebezpieczeństwie zwykli się nawet modlić ateusze, a czynią nieraz śluby, których potem nie dotrzymują. Kto się raz zabrał do czynu, rzucił z siebie całkiem Hamleta, a przywdział Fortynbrasa na cały czas, w którym przy dziele wytrwa. Tylko, że Hamlet był tak bardzo mądry, miał tak krytycznie wyćwiczony umysł, że nigdy nie mógł się zebrać do działania — umiał tylko ślicznie gadać: nie wiedział czy ma się starać o rękę Ofelii, czy się kocha w Ofelii? nie wiedział, czy ma się pomścić za śmierć ojca — i bardzo genialnie był zupełnym niedołągą. Woli już człowiek dążyć do mylnie obranego celu, byle działał. Działać, być kimś i czemś, może ten tylko, który w coś bezwzględnie wierzy i wskutek te-

go swoje postępowanie pochwali, ukocha; przeciwników, albo przynajmniej ich działanie, znienawidzi, a wytrwa do końca, mimo wszystkie przeciwności na drodze, którą sobie obrął; jeśli powziął zamiar wielki, głowę raczej łoży, a od zamiaru nie odstąpi.

Korczak odezwał się teraz: — Z tegoby wynikało, że rozwój inteligencji bywa tylko w pewnych granicach zbawiennym; że skoro te granice przekroczy, bywa szkodliwym, że lepiej robić głupstwo, niż namyślać się rozumnie. A przecie — jeśli jest jaki dogmat, na który się każdy rozumny i wykształcony człowiek pisać musi, to chyba ten, że przeznaczeniem i obowiązkiem człowieka jest rozwinąć w całej pełni ludzką swoją istotę. Chodzi zapewne o rozwój ciała, o zadośćuczynienie przyrodzonym, rodzinnym i społecznym instyktom, ale chodzi przede wszystkim o rozwój tego, czem się człowiek od zwierząt różni, czem się wzbija nieskończenie ponad całą resztę przyrody — chodzi o rozwój ducha. A czemże jest duch, jeśli nie świadomością, wiedzą? Odnawiamy ducha zwierzętom, choć pożądalają, czują, pamiętają, tak samo jak my, do tego stopnia, że mogą wywołać nasze żywe współczucie, że same kochają nas lub nienawidzą, nieraz najwyraźniej współczują z nami. A dlaczegoż to najzmyślniejszym nawet zwierzętom ducha nie przyznajemy? Dlatego, że przypuszczamy, iż zachowują się naksztalt lunatyka, który, jakkolwiek działa nieraz celowo i to w sposób nierównie doskonalszy od zwierzęcia, skoro jest w stanie mówić, śpiewać, czytać, pisać albo grać na fortepianie, i jakkolwiek wyraża najrozmaitsze uczucia — o tem wszystkim sam nie wie. Zwierzęta niższe poruszają się jednakowo, ilekroć tych samych doznają wrażeń, a owad tak niechybnie wpadnie w płomień, skoro dostrzeże płonąca świecę, jak igła magnesowa swoje stanowisko zmieni, skoro prądowi elektrycznemu ulegnie. Mówimy, że takie zwierzęta, na których postępowanie, żadne doświadczenie wpłynąć nie może, wykonują instyktowe odruchy. Takich, i to częstokroć nader skomplikowanych odruchów, bywa bardzo wiele w życiu wyższych zwierząt, którym jakiegoś rozumu odmówić nie można; zdarzają się i u człowieka, nie tylko wtedy, kiedy up. mimowolnie oczy zmrzrzy, by uniknąć uderzenia, albo ramiona roztworzy, by nie stracić równowagi, ale ilekroć działa pod wpływem namiętności tak silnej, że człowiek przestaje być poczytalnym, a żądze instyktowe wskazują cele różne, potrzebne dla utrzymania jednostki albo rodzaju, bywają tak przemożnymi bodźcami do działania, że niema obawy, aby najkrytyczniejszy nawet Hamlet od wszelkiej w życiu wstrzymał się czynności. Zwierzęta atoli wyższe, zmieniają swoje po-

stępowanie pod wpływem doświadczenia, wskutek czego im zmysłność i pamięć przyznajemy. Ale rzekłbym, że tu zachodzi jedynie plastyczność instynktów, zmieniających się pod wpływem silnego wrażenia, albo wrażeń często powtarzanych w sposób odpowiedni, zabezpieczający byt zwierzęcia albo rodzaju, wśród okoliczności różnorodnych, a wytwarzający czasem, zwłaszcza pod nadzorem człowieka, dziwną biegłość, tak zwaną tresurę. Przy dziedziczności instynktów, miałbym ochotę nazwać instynktową zmysłność pszczoł lub mrówek, skutkiem naturalnej tresury niezliczonych pokoleń. Takto, w świecie nieżywotnym żelazo może nabrać właściwości magnetycznych, albo może je utracić. Rozważwszy to, co się nazywa doświadczeniem i to, co się nazywa wychowaniem u człowieka, musimy przyznać, że tu także chodzi tylko o nabycie ruchów nie przyrodzonych, ale starowniejszych i wedle okoliczności urozmaiconych, a umożliwiających zadośćuczynienie pożądlivościom ludzkim. Wysoka doskonałość, niezmierne urozmaicenie uczynków, których się człowiek nauczyć może, jeszczeby go nieuprawniała do tego, żebyśmy mu ducha przyznali, bo jest poprostu wynikiem jego doskonałej organizacyi cielesnej. Ale tem człowiek różni się zupełnie od zwierząt, że wie o swoim doświadczeniu, o tem co pamięta, o tem co robi, o tem czego pożąda i o tem, co czuje. Bliżej niepotrzebuję wiedzy określać. Kto chce rozumieć, zrozumie, że to teoretyczna istność, bez praktycznego celu, a jednak posiadająca tak wysoką godność, że człowieka zamienia w rodzaj bóstwa. Człowiek sam jeden wie o sobie, a zatem sam jeden dla siebie istnieje, kiedy wszelkie stworzenie bezrozumne, będąc jedynie przedmiotem ludzkiego poznania, nie istnieje samo dla siebie, istnieje dla człowieka, obdarzonego duchem, to jest wiedzą. Wiedza, to zatem najostateczniejszy cel stworzenia, a zarazem najistotniejsza treść ducha. Obowiązkiem, jeśli słowo obowiązek ma mieć jakiegokolwiek znaczenie, jest rozwój nieograniczony własnej wiedzy u człowieka. Jeśli prawdą jest, że wszelkie istnienie jest dążeniem do ujawnienia swojej istoty, na co się i Arystoteles i Platon zgadzali, samo istnienie nasze jest tylko nabywaniem wiedzy, a dążeniem do wszechwiedzy. Czyżby wobec tego wolno było żądzę wiedzy kępować przesadami, ograniczać dogmatami? Choćby to było rzeczą bardzo dla zmysłowego człowieka wygodną, nie może się człowiek na to zgodzić, nie zrzekając się człowieczeństwa.

Teraz podjął Koziello: — Wywody pańskie były bardzo zajmujące a w części, dla mnie przynajmniej, całkiem nowe i godne zastanowienia. Wniosek ostateczny nie jest dla mnie nowy, a są-

dzę, żeś pan świadomie powtórzył powszechnie głoszone hasło, ubóstwiający wiedzę — tak zwaną naukę, *la science, die Wissenschaft, knowledge*, głoszącą, że scyentyficzna, teoretyczna prawda jest czemś doskonałym, jak dla wierzących Bóg żywy, że jej trzeba szukać za każdą cenę, choćby się wiedziało, że zabije, albo zatruje sobą świat.

— Oczywiście—rzekł Korczak—moje zdanie o pierwszeństwie wiedzy, nie jest ani nowe, ani oryginalne. Słuszność tego zdania jest ogólnie przyjęta w nauce. Można by przezemnie powtórzone przekonanie przesądem naukowym nazwać. Ale mimo to, że stoję w obronie ducha wątpiącej krytyki, śmiem twierdzić, że ten przynajmniej przesąd niezbitą głosi prawdę. Jeśli jest prawdą, że po owocach poznasz drzewo, poświadczy cały postęp nauk słuszność tego zdania.

— Niezawodnie prawdą jest—przyznał Koziełło—że drzewo poznasz po owocach; ale ja twierdzą, że postęp nauk zawdzięczamy, nie żadnej wiedzy teoretycznej, tylko potrzebie praktycznej ducha ludzkiego, dążącego do jaknajdoskonalszego bytu, do szczęścia, a przede wszystkim do wszechmocy, zapewniającej to szczęście. A nabyłem przekonania, że wiedzy teoretycznej wcale nie ma, że istnieje tylko zbiór wiadomości praktycznych; że wiedza nie jest bynajmniej celem, lecz bywa tylko środkiem do celu. Okłamujemy siebie samych i bluźnimy szkaradnie, obwołując Bogiem zbiór doświadczeń zapaniętanych, nauczający nas o tem, jak mamy postępować, aby być doskonałymi, a przeto szczęśliwymi.

Korczak zawołał: Teraz dopiero muszę powiedzieć, żem usłyszał zdanie zupełnie nowe. Ciekaw jestem, jak pan to zdanie uzasadnisz?

— Dwoma słowami chyba nie potrafię—odpowiedział Litwin—ale gdybyś pan kiedy chciał usłyszeć historię mojego rozwoju umysłowego — może być, że nie przekonałbyś się o prawdziwości mojego twierdzenia, zrozumiałbyś pan jednak przynajmniej, jakim sposobem do takiego niezbitego przyszedłem przekonania.

Korczak tymczasem spojrzął na zegarek; dostrzegłszy jaka była godzina, wstał z miejsca i oświadczył, że musi pójść spotkać się u Płonki ze znajomym. I tak spóźnił się już, ponieważ go rozmowa zajęła. Cieszył się, że będzie miała dalszy ciąg. To powiedziawszy odszedł, a ja, jako przyjaciel jego od dzieciństwa, wiedziałem, że poszedł dlatego, ponieważ się zaniosło na jakieś długie opowiadanie, a pan Stanisław lubił gadać, lubił roznawiać, lecz cudzych długich opowiadań nie znosił. Wiedziałem zatem także, że dalszego ciągu tej rozmowy nie wywoła nigdy Korczak. Ale

ja miałem swoją rację, dla której intelektualnej spowiedzi Koziółki byłem niezmiernie ciekaw. Gdyśmy zatem sami na tarasie zostali, prosiłem go żeby mnie to powiedział, co chciał mówić Korczakowi — bo mnie rzecz niezmiernie zajęła.

Koziółko namyślił się przez chwilę, a potem rzekł: — Przyznam się, że myślałem, iż nikt moich wywnętrzeń słuchać nie zechce, że ich zapowiedzią zakończę zbyt teoretyczną i całkiem bezcelową dyskusję. — Ale skorom sam zaproponowałem, a pan propozycję przyjmujesz, cofać się nie mogę, a łatwiej się wysłowię przed jednym tylko słuchaczem. Przyznaję się, że czuję tego potrzebę, a jeśli pana znudzę, proszę mi przerwać. Potrzebuję się wygadać, bo jestem, przynajmniej sądzę że jestem, u jakiegoś przełomu. Bądź co bądź przełamała się zarozumiałość, którą mają młodzi. — Potrzebuję się wygadać, — a pan przerwiesz, jeśli będę nudził.

Moja ciekawość wzmogła się teraz jeszcze w dwójnasób; miałem uczucie, że jak się zaczną zwierzenia we cztery oczy, dowiem się o wszystkim co mnie zajmowało, będę mógł pani Zakliczynie dobrze poradzić, może i pomóc skutecznie.

Prosiłem ponownie Koziółkę, aby opowiadała. Westchnął głęboko i rzecz swoją rozpoczął: — Mam może ważny powód do wywnętrzeń. Wiem, że mi ludzie bardzo wiele mają do zarzucenia, że niektórzy mają słuszny żal do mnie, że mnie wielu nawet unika z powodu postępków, których uniewinniać nie myślę. Błądziłem niezawodnie; a jednak zdaje mi się, że nie zasłużyłem na potępienie. Gdy szczerze opowiem historię swoją duchową — mam nadzieję, że pan przyznasz, iż moje błędy nie były wynikiem złej z gruntu, nieszlachetnej natury, że u człowieka młodego, posiadającego bardzo bujną, niestety, wyobraźnię i majątek, który go uwolnił od troski o chleb powszedni, były koniecznym niemal wynikiem okoliczności, w których się znajdował i ducha czasów, stoczonych sceptycyzmem, stawiających indywidualny rozwój jednostki ponad wszystko, co innym pokoleniom było drogie. W innych czasach byłbym się może poświęcił całopalnie dla jakiejś idei. — Nie było idei, dla którejbym się mógł poświęcić; gdybym nie miał tej przekłętej wyobraźni i uczuć gorących, byłbym się stał zwyczajnym człowiekiem, jakich wielu. Ale koń przeznaczony do tego, aby pancernego jeźdźca niósł do ataku na nieprzyjacielskie szeregi, nie odrazu da się zaprządz do pług; trzeba czasu, aby uznał konieczność.

Byłem synem jedynakiem bogatych rodziców. Matka odumarała mnie wczesnie; ojciec, gospodarz zawołany, odesłał już

czternastoletniego chłopca z księdzem mentorem, do szkół niemieckich, do Drezna, a później w Lipsku kończyłem uniwersytet. A chodziłem na filozofię, bo tam mnie ciągnęła imaginacja, żadna wrażeń. Nie na to się uczyłem, aby potem naukę wyzyskać praktycznie, tylko, aby wypełnić pamięć wyobrażeniami, albo choćby tylko nazwami rzeczy dalekich, albo nie dostrzeżonych i potem jak w kalejdoskopie przerzucać te wyobrażenia, roić sobie przeróżne nie rzeczywiste, ale barwne obrazy, i cieszyć się tem, że w ten sposób tworzę, albo krzeszę światy. *Knowledge is power*, wiedza to potęga, powiedział niegdyś Bacon, a dla mnie była potęgą rojenia, albo czasem, ciągle prawie, urojeniem potęgi. Bo wyobrażając sobie boje i rewolucye, królów dawnych i dawne cywilizacye, bogów i dziwa opiewane przez poetów, kraje dalekie i zwierzęta niebywale, albo cuda, które człowiek w przyszłości wykonać może, wydawałem z siebie, wytwarzałem w myśli prawie zawsze istnego sobowtóra, drugiego Antoniego Koziełłę, dokonywającego cudów pośród urojonego świata, zdobywającego dla siebie potęgę, albo chwałę, a przedewszystkiem chwałę, która jest potęgą nad cudzemi wyobrażeniami, mającą przetrwać śmierć. Byłem podobny do dziecka przeglądającego książkę z obrazkami; a wtedy chwalono mnie powszechnie, przytaczano jako wzór młodzieży, sam zaś wynosiłem się dumnie ponad kolegów, robiących studia zawodowe; o nich sądziłem, że pracują samolubnie dla chleba, sobie przyznawałem, że szukam bezinteresownie wiedzy, najwyższego dobra, w myśl tego, cośmy dopiero co od Korczaka słyszeli.

Po historykach i poetach wzięłem się do filozofów, pociągnięty ich sławą i czcią, jaką ich imię jest otoczone. Dowiedziałem się od nich, że to, co dotąd brałem za wiedzę, jest niczem, że to są wiadomości o różnych rzeczach, sprawiające rozkosz chłopcom; że należy badać istotę rzeczy, której nie dostrzeżesz zmysłami. Nie tyle od filozofów, ile od wszystkich, z którymi się stykałem, od kolegów i profesorów, z książki i z dziennika, dowiedziałem się równocześnie, że wpojone we mnie w dzieciństwie artykuły wiary, to opowieści i przesady — że co najmniej winien człowiek wykształcony zbadać rozumowe ich podstawy, zawyrokować samodzielnie o tem, czy są zgodne z prawdą, że ten, kto tego nie uczyni, grzeszy przeciw wiedzy, owemu bóstwu czczonemu wyłącznie po uniwersytetach; że także przypisów moralności i zasad społecznych nie należy przyjmować na wiarę. Zacząłem tedy wszystko krytykować, jak sądziłem wówczas, samodzielnie, a w istocie idąc na pasku dogmatów i przesądów nowożytnej nie-

wiary. Zrazu żał mi było świętości, ale przyjąłem za rzecz pewną, że prawa natury są niezmiennie, że wszystko działa się zawsze tak jak za dni naszych, w naszym powszednim otoczeniu; ten dogmat powszechnie przez naukę głoszony, potępiający, jako nierozsądek, wiarę we wszelką cudowność, okazał się taranem, który obalił, najpierw wiarę w katolicyzm, potem w chrześcijaństwo, wreszcie w Boga osobistego i w nieśmiertelność duszy, zastępując religię wszelką zdaniem o twórczej potędze mego osobistego ducha, rojącego sobie świat, których nie usiłowałem jasno zrozumieć, skoro we mnie wmówiono, że wewnętrzna sprzeczność bywa znamię najwyższej metafizycznej prawdy. Rozumiałem natomiast dogmaty przyrodników, głoszących, że myśl, świadomość, wola i uczucie są wytworem mózgu, że człowiek jest zwierzęciem przypadkowo wydoskonalonem przez grę doboru płciowego i walki o byt, że wreszcie świat jest bezbarwną i bezprzymiotową kupą nieskończonej materii, czy też poprostu środowisk siły, których wzajemne, posłuszne prawom mechaniki poszturgiwanie się, tłumaczy powstanie zjawisk, tak niczem do mechanicznego ruchu niepodobnych, jak barwa i dźwięk, myśl i uczucie. Uwierzyłem równocześnie, że człowiek jest własnym celem, że jego obowiązkiem pierwszym jest rozwinąć własną istotę w całej pełni, że wolność mojej woli jest złudzeniem i że robię zawsze to, do czego mnie mechaniczny a konieczny ruch atomów zniwala i że wreszcie mam służyć społeczeństwu, przede wszystkim zwalczając staroświeckie przesady, miane pospolicie za świętość, dopomagając prócz tego do zwycięstwa demokracji powszechnej i do jaknajwiększego wydoskonalenia przyrzędów, za pomocą których człowiek władnie przyrodą. Przyjąwszy te wszystkie nowoczesne dogmaty ze ślepą wiarą, nie próbowałem nawet sprzeczne ich nieraz nauki pogodzić z sobą, a byłem niezmiernie dumny z tego, że swego ducha ze średniowiecznych pęt oswobodziłem.

Takim to byłem studentem, przejętym na wskroś niemieckimi doktrynami i w dodatku strasznie zarozumiałym, kiedy mnie śmierć mego ojca przywołała z powrotem na Litwę. Objąłem majątek tak doskonale zorganizowany i przynoszący tak znaczne dochody, że mogłem mieć wiele czasu wolnego—wtedy nawet kiedy wcale dobrze majątkiem zarządzałem. Inni w moim położeniu używali tego czasu na zabawę. Ja chciałem działać dla dobra swego społeczeństwa. Muszę sobie przyznać, że jakkolwiek byłem młody i strasznie niewytrawny, zdałem sobie sprawę, że to będzie praca niezmiernie mozolna, że świetnych sukcesów zdo-

być nie mogę, że muszę się wyrzec wszystkiego tego, co wyobraźnię zapala. Postanowiłem poświęcić osobistą ambicję, byle się w naszym położeniu na coś przydać. Chciałem zwalczać przesady, równać i bratać stany, podnosić bogactwo kraju. Zabrałem się do pracy z zapalem i rozbiłem sobie głowę o kanty niezliczone jakiegoś dziwnego a nieruchomego muru, który mnie otaczał zewsząd. Byłem przygotowany z góry na to, że się spotkam z niepodobieństwami, istniejącymi niezawisłe od społeczeństwa, spodziewałem się także nieufności ludu; ale tego przeniesić nie mogłem, że obywatelstwo okoliczne, że warstwy oświecone sprzeciwiały się stanowczo moim projektom, zgodnym z treścią katechizmu nauki, wywiezionej z niemieckiego uniwersytetu. Nic a nic według swojej myśli przeprowadzić nie mogłem. Mężczyźni lekceważyli mnie z razu, jako niepraktycznego dzieciucha, oburzali się potem na mnie, jako na aroganckiego zarozumialca. Panie żegnały się przedemną, jak przed złym duchem, obwoływały mnie kacerzem, bezbożnikiem, lekkomyślnym burzycielem ładu społecznego. Gdym takiego doznał przyjęcia, nie dziw, że sądziłem społeczeństwo swoje z największą surowością. Opór, który spotkałem, przypisywałem lenistwu, albo sobkowstwu; cnót istotnych nie dostrzegałem, a widząc same tylko czasem istotne, a czasem urojone wady, nabrałem żalu do świata, tego, co Niemcy nazywają *Weltschmerz*. Cały świat wydał mi się niedorzecznością. Zerwałem szorstko z ludźmi w sposób, który mi przysporzył nieprzyjaciół; zamknąłem się w swoim dworze, a zawsze spragniony zasługi, postanowiłem jej szukać nie w praktycznym działaniu, tylko w pracy naukowej.

Zabrałem się teraz dopiero na seryo do swoich filozofów i przyrodników. Praktyczne niepowodzenia pozbawiły mnie jednak naiwności, z którą wpierw połykałem każdy dogmat nauki nowożytnej, domagając się od niego tego tylko, aby się sprzeciwiał przyjętym wpierw zdaniom. Polityczne i ekonomiczne prace, psychologiczne roztrząsania natury ludzkiej, które wpierw z największem czytałem nabożeństwem, wydały mi się teraz przeważnie tak zupełnie naiwnemi a niepraktycznemi, tak sprzecznemi z mojem, choć krótkim doświadczeniem, że dostrzegłem, iż przedewszystkiem należy krytykę zwrócić przeciw temu, co się podaje, jako nieomylny wynik krytycznej nauki; że tu na nic się nie przyda samo tylko rozumowanie, że owszem probierzem tego, czy coś mam za prawdę, będzie to, czy będę działał z dobrym skutkiem, zgodnie z nauką podaną, koniecznie nieprawdą—rzeczą, w którą nie wierzę i wierzyć nie mogę, to co mnie żadną



miarą nie może spowodować do tego, abym nawet próbował działać tak jak człowiek istotnie wierzący w tę naukę nie do uwierzenia. Gdy raz takiego nabyłem przekonania, runęły wszystkie metafizyczne i przyrodnicze hipotezy spekulatywne, które brałem dawniej za prawdy niezbite. Oburzenie moje przeciw innym ludziom, albo przeciw powszechnemu porządkowi rzeczy, to oburzenie, które we mnie żal do świata nieukojonny wzbudziło, miało swoje źródło w tem, że ludzie, wyznając zresztą nieraz głośno zasady pospolitej moralności, działali z umysłu, albo z bezwzględnej głupoty w sposób tym zasadom przeciwny, że ład świata nie wydawał mi się ani miłościwym, ani sprawiedliwym. Jeśli kogo spotkałem, który nietylko działał niemoralnie, ale prócz tego głośno niemoralnie wyznawał zasady, oburzałem się tembardziej, a zawsze pochylałem uczynek z pospolitą etyką zgodny, podziwiałem poświęcenie, powszechnie jako cnotę uznane. Samego siebie sądziłem, tak jak sądziłem innych i ład świata cały. Nic tu wskórać nie mogły wszystkie przemądre rozumowania o względności pojęć moralnych—i wszystkie odrzuciłem, jako coś do czego się nigdy zastosować nie mogę, czego za prawdę praktycznie uznać nie mogę, jako coś wprost zdrożnego, oburzającego. Jeszcze śmieszniejszymi wydały mi się twierdzenia, w gruncie rzeczy zgodne filozofów i przyrodników, jakoby świat, który dostrzegamy, był podmiotowem urojeniem, w niczem niepodobnem do tego, co jest w rzeczy samej. W to nikt ani przez chwilę nie uwierzył; owszem, każdy czuje się w bezpośredniem zetknięciu z rzeczywistością. Gdy znów o atomach czytałem i odrobinowych ruchach materji, lub nieważkiego eteru, pytałem o to, czy kto, pod jakimkolwiek warunkami, choćby się cudem stał tysiąckrotnie, milionkrotnie mniejszym niż jest, a posiadał zmysły niesłychanie bystre, bystrzejsze nierównie od wzroku spotęgowanego przez najdoskonalszy mikroskop — uchwyci albo dostrzeże taki atom, taki eter, takie drobinowe drgnięcie, same rzeczy bezprzestrzenne, bezbarwne, zupełnie bezprzedmiotowe? I musiałem wszystkie te urojenia przyrodników odesłać między metafizyczne mrzonki. Żyję wśród świata barwnego, namacalnego i czuję, że z nim walczę, że pożądam panowania nad nim i obcowania z innymi posiadającymi świadomość istotami: z ludźmi. Przed trzema wiekami powiedział Descartes: „myślę, więc jestem,“ i na świadomości myśli gruntował pewność własnego bytu, dźwignię wszelkiej innej pewności. Odtąd wyszli z lędźwi Descartes'a niezliczeni sofisci; zrazu powtarzali jego zdanie, aż wreszcie odkryli, że myślenie zjawiskiem także tylko, a duch osobisty, to jakaś substan-

cya, której, myśląc, nikt z myślenia nie wywnioskuje. Podali zatem nawet swoje własne istnienie w wątpliwość. Ja ich myśleniem i rozumowaniem nie zbiję, ale nigdy im nie uwierzę, bo pożądam jednolitego trwania i osiągnięcia tysiącznych zamiarów, a to pożądanie ciągle nazywam sobą; nie myśl, wola jest moją istotą, istotą każdego człowieka, istotą każdego jestestwa; nie należy mówić: „myślę, więc jestem.“ Należy mówić: „pożądam, więc jestem.“ Wszelkie myślenie bywa sługą pożądania, i samo bywa pożądanem nieoddzielnem od rozkoszy i boleści. Więc rzuciłem księgi między rupiecie; zwątpiłem w Boga uniwersytetów, w ową teoretyczną wyłącznie wiedzę, której nikt nie osiągnie, ponieważ nie istnieje i postanowiłem żyć, jako człowiek, tak jak tego moja istota pożąda.

Zal powszechny do świata targał moją duszą gorzej, niż kiedykolwiek. Poznałem wpieryw praktyczną obłudę cywilizacji, zwyczajną, straszną ignorancję tak zwanych wykształconych, którzy powszechnie nie wiedzą o tem, o czem dziecko dziesięcioletnie powinno wiedzieć, którzy myślą tylko o zadośćuczynieniu potrzebom osobistym i osobistej próżności a zbałamuceni przez obyczaj sztuczny, biorą za potrzebę szkodliwy nawet często zbyt, za chlubę marnostkę, za religię przesady strzegące przywilejów stanu, a co najgorsza, mają za ludzi tylko tych, którzy się wytwornie ubierają, którzy wybrednie jedzą—a znają się na różnych niepotrzebnych małpiarstwach. Teraz potępiłem wiedzę, całą naukę, bez którejby naszej sztucznej cywilizacji nie było. Wraz z Tolstojem potępiłem cywilizację, jako rzecz rdzennie złą; chcąc być człowiekiem, nie chciałem być cywilizowaną małpą; za ludzi uznałem tylko prostaków, tylko chłopów—i postanowiłem żyć, jak oni żyją. Oddaliłem kucharzy, przebrałem się po chłopsku, z chłopami się bratałem, nibyto jako równy z równymi. Bardzo mnie mają ludzie za złe ówczesny okres mojego życia—i mogą nie jedno słusznie potępić. Zważ Pan, że nie byłem starcem jak Lew Tolstoj, lecz byłem przeciwnie bardzo młodym jeszcze chłopcem, i że chciałem schłópieć, aby żyć. Pracowałem czasem w polu, jak parobek, że aż zgrzebna na mnie koszula cała przemokła od potu, a myśl zakółkowała, za co pracy błogosławiłem, ale też hulałem jak parobczak, miewałem chłopskie miłostki, bywałem pijany. Aby się do reszty zrównać, opuściłem duży dwór, kazałem w nim mieszkać rządcy, a sam przeniósłem się do futuru, do chaty ogromnej. Było mi chwilami dobrze, bo byłem królem chłopskim, a pozbywszy się pańskiego obyczaju, miałem pieniędzy bez końca, które mogłem rozrzucić między koleżków

ręką szczodłą a bardzo nierozsądną. Stary a poważany chłop spytał mnie na chłopskim weselu, kiedy się myślę żenić? Odpowiedziałem mu bezmyślnie, żeby mi wyszukał dziewczynę. Chłop odpowiedział: „Ja wam żony nie znajdę, bo wy się z panią ożenicie; a już czas; szkoda wam się tak poniewierać i ludzi rozpuszczać.“ Temi słowami obudził mnie stary gospodarz ze snu: zrozumiałem, że wcale nie żyję, jak człowiek, człowieczeństwa w sobie nierozwijam; że owszem prawdę morduję, wyprawiając niegodną komedję. Że się bawię w występnego króla, który lud swój od pracy i cnoty do próżnowania i rozpusty ciągnie, a chłopem nie stałem się wcale, bawię się chłopami, tak jak dziecko lalką, którą tłucze. Nawet wiedzy i cywilizacji się nie wyparłem, bo na to, aby mieć pieniądze na hulaszczą sielankę, administrowałem majątkiem, jak człowiek wykształcony. Aby stać się chłopem, trzeba było dwór spalić, majątek rozdać, ożenić się z chłopką i z nią po chłopsku biedować. Rozkoszowałem się panowaniem bezmyślnem, a stawszy się chłopem naprawdę, byłbym istotą bezsilną, po której stąpają bogaci i oświeceni, jak po posiadzce. Możebym się potrafił lepiej od drugich bronić; ale czem, jeśli nie owem wykształceniem, które potępiłem? Więc znów nie byłbym chłopem, tylko cywilizowanym człowiekiem, przebranym za chłopą, nie wiedzieć po co, chyba na to, aby się wyzbyć mocy, skurczyć w sobie człowieczeństwo. Aby wiedzę, aby myśl zupełnie odpędzić, musiałbym się chyba zapracować i zapić na śmierć, zbydlęcić, spaść nieskończenie niżej chłopą. Porządny chłop, to człowiek ciekaw tego, co mu się w życiu przydać może, starający się usilnie o pomnożenie swojego mienia, a tem samym swojej mocy; nadewszystko wierzy gorąco w religię, i w praktyki religijne, obyczajowe, lub wprost przesadne, mniejsza o to jakie, które wykonywa z największem często ciała udęczeniem, ale w przekonaniu, że tem samym zbliża się do potęg nieznanych, świętych lub groźnych, które są dla jego ducha pięknością, unoszącą go nad troskę codzienną. A dla mnie, czemby były te obrzędy i zabobony?

Obudziłem się, jak powiadam. Zrozumiałem, że wiodę życie niedorzeczne. W kraju odmienić tego życia nie mogłem odrazu: trzeba było ludziom na czas dłuższy zniknąć z przed oczu; więc zaniechawszy chłopskiej maskarady, pojechałem do Szwajcaryi, a w zacisznej pensyi w Turgawie, przemyśliłem sprawę, jak wte dy sądziłem, do końca. Aby mózdz być człowiekiem spełna, trzeba mózdz wiele, mózdz tyle, aby żadnej nie uledez łatwo przemocy i owszem wołęg swojną ludziom i rzeczom narzucać, świat otacza-

jący przerabiać tak, aby mojemu osobistemu służył rozwojowi. Na to, aby mózdz, trzeba wiedzieć. Wiedza bowiem, to nie żadna teoria od reszty duszy i od życia oderwana, to zdolność przewidywania zdarzeń i zastosowania się do różnorodnej istoty rzeczy. Gdy sobie zdałem sprawę z tego czym jest wiedza, przestałem gardzić cywilizacją i nauką. Tylko, że nie czyniłem z wiedzy bóstwa i ostatecznego celu; stała się dla mnie środkiem dzielnym, dopomagającym do pełnego rozwoju mojej osobistości, do zadośćuczynienia mojej żądzy, zamienionej przez świadomość w wolę, żądzę domagającą się życia i szczęścia. Aż nadto rzeczą oczywistą, że nauki przyrodnicze uczą człowieka, jak się ma zachować wobec bezrozumnej przyrody; oczywisty ich pożytek praktyczny sprawił nawet, że wielu te nauki uważa za jedynie ważne, zapominając przytem, że historia, nauki społeczne i psychologia podają nam nierównie ważniejszą wiadomość o tem, czego się po ludziach, po narodach i po sobie samym spodziewać mamy, jak się mamy zachować wobec ludzi, wobec narodów i wobec siebie samych, jeśli mamy postawić na swoim, pożądane osiągnąć szczęście. Co więcej, dopiero za pomocą tych nauk, zajmujących się duchem ludzkim, dowiadujemy się jaki użytek z narzędzi wymyślonych za pomocą wiedzy przyrodniczej może nas uszczęśliwić, jaki nam zaszkodzić jeno może. Hypotezy marne przyrodników, w które dosłownie wierzyć niepodobna, mają swoją doniosłość o tyle tylko, o ile naprowadzają na odkrycia praktycznie doniosłe. Tak samo nauka nie gardzi najdrobniejszą historyczną albo przyrodniczą wiadomością, nie mającą żadnej praktycznej doniosłości, bo spodziewa się słusznie, że ta drobnostka, może być ogniwem w łańcuchu szczegółów, za którym idąc dojdziemy wreszcie do ważnych istotnie, a wpierrw nieznanych prawd. Wiedza ludzka jest tak dalece praktyczną tylko, że skoro czujemy, że nam jakaś wiadomość na nic się nie przyda, zapominamy o niej, a pamiętamy uporcezywie o szczególe będącym w związku z naszym aktualnem zajęciem. Więc nie należy gardzić nauką, bo wiedza to istotna potęga. Na to mianowicie, żeby mózdz być człowiekiem, trzeba poznać siebie samego i poznać ludzi — tylko nie z samych ksiązek, ale przedewszystkiem z życia. Postanowiłem tedy żyć tam, gdzie bije życie najsilniejszym tętnem, a żyjąc, badać siebie i drugih.

Z dziwaczego chłopomana przedzierzgnąłem się tedy w wykwintnego salonowca, i rzuciłem się w wir stołeczny, szukając ludzi, którzy żyć mogli na wielką skalę i robiąc ustawiczne doświadczenia na nich, będące zarazem doświadczeniami robionemi

na samym sobie. Znów zasłużyłem na niejedną ostrą nagane. Od zbrocheń najgorszych uniałem się ochronić, bo chcąc żyć jak najwięcej, szanowałem zdrowie i majątek. Ale mój żal do świata zamienił się w cynizm bezecny. Myślałem tylko sam o sobie, ludzi lekceważyłem i robiłem na nich ustawiczne eksperymenta *in anima vili*. Sprowadzałem młodych i starych na manowce, uwodziłem kobiety, aby doświadczyć swojej władzy nad ludźmi, istotę człowieka poznać. Dostrzegłem wkrótce, że postawienie na swoim, że opanowanie innych ludzi, że słowem zwycięstwo mojej woli nad wolą obcą, stało się dla mnie celem, stało się dla mnie przyjemnością pożądaną dla siebie samej, bez względu na dalsze praktyczne skutki. Trudziłem się nieraz srodze, obchodziłem się z drugimi z okrutną, z przewrotną nawet bezwzględnością, aby poigrać wolą spotęgowaną przez wiedzę; nie mało tem się chlubiłem, mieniąc się przeto wyższym od zwierząt i od ogółu ludzi, którzy się trudzą tylko na to, aby uczynić zadość potrzebie, aby niebezpieczeństwa uniknąć, a byłem tak zaślepiony, że tego nie widział, iż ta moja domniemana wyższość, to pycha, która ze mnie robiła coś gorszego od ludzi i od zwierząt, bo istotę przetworzoną, wbrew przeznaczeniu swemu, na podobieństwo Szatana. Z zimnym uśmiechem szedłem między ludzi, budząc u nich uczucia, które często ich serca krwawiły, a które dla mnie zabawką tylko bywały.

Przekonałem się niebawem, że poznawać bez praktycznego celu bywa dla człowieka taką samą rozkoszą, jak zwyciężać, choćby tylko dla igraszki. W gruncie rzeczy poznanie, to zwycięstwo samo przez się, to tajemnica wydarta wszechświatu, to zdolność przewidzenia tego co będzie, albo co być może, wyobrażenia sobie tego co było, to prócz tego możliwość zwycięstw odniesionych w wyobraźni, przez urojony sobowtór własny, poruszający się swobodnie po nieskończonej przestrzeni, zawracający dowolnie w przeszłość, albo ulatujący w przyszłość, to wreszcie potrzeba człowieka, który czuje, że rozwinie się w pełni dopiero wtedy, gdy wiedząc wszystko, wszystko będzie mógł. Stąd już u dziecka ciekawość dla rzeczy, o których nie wie, czy mu się przydadzą, stąd ciekawość uczonych, która każe im nieraz wszystko poświęcić, dla zbadania jakiejś tajemnicy. Tej potrzeby poznawania nie ma żadne zwierzę, a najtępszemu człowiekowi cięży bezczynność intelektu, tak, że szuka niedorzecznej gry, łamigłówek, passyansu, aby rozum zająć. Postanowiłem tedy szukać doskonalszego rozwoju swojej osobistości nie tylko w ćwiczeniu woli, ale w poznawaniu tam nawet, gdzie jemu praktycznego zwycię-

stwa zawdzięczać nie mogę. Wróciłem do książek naukowych, które czytałem teraz, sądząc ich treść samodzielnie i ćwicząc rozum potężnie. Zająłem się sztuką, jako przedmiotem poznania; nie opuszczając zabawy z ludźmi w wielkim świecie, stałem się wzorowym dyletantem, podług recepty Renana i jego przyjaciół.

Tak zwycięstwa i doświadczenia praktyczne, jak używanie dzieł sztuki nie mogły się obejść bez wzruszeń. Dostrzegłem, że wzruszenie każde sprawia przyjemność, że człowiek aby się rozwinąć w pełni, nie tylko wolę, nie tylko intelekt, lecz także uczucie swoje ćwiczyć musi. Szukałem odtąd wzruszeń w miłostkach, wzruszeń w sztuce; wymyślałem się nawet we wszystkie religie i wszystkie zabobony, aby mistycznych doznać wzruszeń. Poznałem wkrótce, że wzruszenia sympatyczne, miłosne od nienawistnych przyjemniejsze, i to postawiło w pewnej mierze kres bezwzględności eksperymentów na ludziach. Gniewałem się teraz na siebie za niejedyn czyn dawniejszy, a przebywanie z idealną sztuką wieków wiary, zacząłem przekładać nad igraszkę z ludźmi. Stałem się poprawniejszym, tak zwanym sympatycznym, czułym dekadentem; ale dekadentem byłem na wskroś, i jak wszystkich dekadentów tak i mnie ogarniała rozpacz czarna. Życie mi się wydało bezbrzeżną pustynią, po której ulatują różne miraży, widziadła bezistotne; istnienie wydawało mi się coraz bardziej bezcelowym żartem. Nie raz powstała we mnie myśl samobójstwa i podobnie jak Hamlet, byłbym się samobójstwa z pewnością dopuścił, gdybym tylko był pewny, że śmierć to unicestwienie.

Interesa majątkowe domagały się wreszcie mojej bytności w kraju. Po kilkuletniej niebytności powróciłem tedy w strony rodzinne. Praca konieczna koło interesów, wydała mi się dziwnie orzeźwiająca, a wspomnienia z dzieciństwa, wywołane wszyskiem co widziałem, napawały mnie rozkoszą pełną rozrzewnienia. Całkiem innym teraz okiem patrzałem na ludzi, którzy mnie otaczali: ani obywatelstwa nie chciałem nawracać, ani z chłopami nie chciałem się bratać; studyowałem jednych i drugich, jako ciekawe okazy rodzaju człowieczego. Chłopa znałem lepiej, obywatelstwo i inteligencya wydali mi się ludźmi, mimo ciągłego narzekania, w gruncie rzeczy szczęśliwsiymi a przynajmniej spokojniejszymi, od ludzi równie wykształconych, albo równie majątnych, których na szerokim spotkałem świecie; imponowali mi zwłaszcza ci, którzy sami wyrzekali się wszelkich wygód, aby z poczucia obowiązku zagrożony ruiną finansową majątek dla swych spadkobierców uratować i ci zamożni, którzy ustawicznie radą i uczynkiem sąsiadów wspierali. Oczywiście nikomu już tego nie brałem za

złe, że nie podzielał wyobrażeń, które niegdyś ze szkół wyniosłem. Aby tedy swoją uzupełnić znajomość ludzi i własnej istoty, postanowiłem parę lat pożyć z tem społeczeństwem, na sposób najbardziej poważanych obywateli, spróbować czybym i nad nimi także nie potrafił zdobyć sobie przewagę. Więc zabrałem się do zajęć wspólnych, nie jedno robiłem lepiej od innych i doczekałem się wkrótce tego, iż mówiono o mnie powszechnie, że się ustatkowałem, iż zaczęto mnie nawet chwalić. Robota, o ile przy niej istotnie ludziom ponażałem, sprawiała mi chwilami nierównie większą przyjemność, od wszystkich niegdyś światowych sukcesów. Mogła mnie uszczęśliwić, gdybym był miał zamiar wytrwania na posterunku. W gruncie rzeczy byłem niepoprawnym dyletantem i dekadentem; robiłem dla odmiany, więc wszystko mi ciężyło. Wreszcie zapragnąłem błękitów południa i w Palermie zabawiałem się znowu z mężatką z wielkiego świata. Jednak nie wyczerpałem jeszcze eksperymentu obywatelskiego, więc wróciłem na Litwę.

I tu zdarzyło mi się coś dla mnie całkiem nowego. Na licznem zebraniu w domu Księstwa Korybutów, poznałem dziewczynę, dziecko prawie, istotę bez żadnego doświadczenia, która mnie przykuła do siebie jakimś urokiem przypominającym wonie nieskalanej wiosny...

W chwili, w której Kozięłło to mówił, uwaga moja była do najwyższego stopnia napiętą; widocznie sam zmierzał do sprawy, która mnie najwięcej zajmowała; chciał mówić o Pannie Celinie, chciał wytłómaczyć sposób, w który się wobec niej zachował. Lecz niestety, właśnie w tej chwili weszła Pani d'Estrée na taras. Gdy ją zobaczył, posyłałem babę do kaduka. Pewny jestem, że z okna dostrzegła, iż rozmawiam sam na sam z Kozięłłą i przyszła wszelkim wynurzeniom przeszkodzić.

Kozięłło unilkł niezręcznie, skoro ją zobaczył. Uśmiechnęła się i siadając koło nas rzekła od niechcienia: Trzeba dzisiaj używać pogody, bo moja meteorologia zapowiada na jutro burzę. Okropne, ciężkie, czarne chmury gromadzą się powoli nad Gubałówką. To wróży wicher halny, specjalność Zakopiańską, bardzo ciekawą, ale wcale nie uroczą, więc póki wicher halny się nie zerwie, siedzieć będę na tarasie, ile tylko będzie można.

Pani Leokadya umilkła, — a myśmy także milczeli; więc po chwili przemówiła znowu: Panowieście zapewne prowadzili bardzo mądrą a zajmującą konwersacyę. Proszę się nie żenować i dalej rozmawiać. Jeśli chodzi o rzecz, którą można bez zbyt specjalnych wiadomości zrozumieć, będę słuchała z ochotą. Jeśli

chodzi o wagi molekularne, o onto-i filogenezę, albo o pisma klinowe—będę się przypatrywała Gewontowi.

Kozięłło spojrział znacząco na markizę, a potem rzekł: Mówiliśny o rozmaitej miłości mężczyzny dla niewiasty. Twierdziłem, że są tej miłości dwa główne rodzaje: miłość dla niewiasty, którą się szanuje i miłość dla niewiasty, której się nie szanuje. Pierwsza istnieje w małżeństwie, albo dąży do małżeństwa; wszelka inna jest mniej lub więcej namiętną zabawą mężczyzny z istotą przez siebie lekceważoną.

Pani d'Estrée spytała: — A dlaczegoż nie ma być zabawą kobiety z mężczyzną przez siebie opanowanym?

— Ogólnie—odparł Kozięłło—nie dałaby się definicya Pani utrzymać. Małgorzata nie opanowała Fausta, ale Faust niezawodnie lekcewał Małgorzatę. Bywają wypadki, że Kleopatra opanuje Antoniego. W takich wypadkach Antoni słuchał Kleopatry, ale z pewnością jej nie szanował.

— Dlaczegoż nie miał szanować pięknej i rozumnej królowej? spytała pani d'Estrée.

Kozięłło odpowiedział:—Szanuje się tylko kochając, jeśli się zamierza kogoś uszczęśliwić. Mężczyzna wdając się w miłośćkę, albo wprost naiwną niewiastę oszukuje, a wtedy lekcewał ją niezawodnie, albo umizga się do kobiety, która wie, że to tylko umizgi, i sam jest zatem przeświadczony, że się ta kobieta sama nie szanuje, i żadnego szacunku nie jest warta. Takiej kobiety nikt nie uszczęśliwi; daremneby były wszelkie usiłowania. Bo szczęście można tylko dać niewieście, spełniając wspólnie z nią obowiązki, a kobieta, która się świadomie w miłośćkę wdaje, obowiązek odrzuca, w jego miejsce goni za wrażeniami, za niemi gonić nie przestanie, niczem się nie zadowolni, o sobie myśleć zawsze będzie, i dręcząc się ustawicznie, samą siebie na wieczne skaże nieszczęście.

Na tem zerwała się rozmowa, a Kozięłło uklonił się niebawem i opuścił taras.

W. DZIEDUSZYCKI.



## *Wyższe studia zagranicą a życie narodowe.*

---

„Młodzież jeszcze w obywatelskim duchu nie ugruntowana, jeszcze w swym sposobie myślenia niestała, wyjeżdżając zagranicę, prędko się da uludzić tamecznym zwyczajom i właściwym tych krajów wygodom. Tak obywatel powróci z myślami francuskimi do Polski, w której koniecznie żyć i czynić powinien po polsku. To odwiedzanie cudzych krajów już teraz namiętnością Polaków stało się.

„Tak choć już nie jesteśmy Polakami, jeszcze się dziwujemy, dlaczego nam ziemię cudzoziemiec odbiera.“

STANISŁAW STASZYC.

Zagranicę — po naukę! Oto hasło, które jest teraz na ustach wielu. Zamknięcie uniwersytetu i politechniki, niemożność przewidzenia, kiedy się w nich na nowo rozpoczną wykłady, oraz niepewność, czy w przyszłości nie zajdzie znów jaka przerwa w nauce — wszystko to skierowuje oczy młodzieży na zachód, do tamtejszych zakładów. Prąd ten zresztą istniał zawsze i teraz nabrał tylko większej siły i rozmiarów.

W stosunku do zagranicy wogóle panował u nas i panuje wszechwładnie przesadny kult. Malując w czarnych barwach nasze zacofanie, przeciwstawiamy mu jej postępy, rysujemy całą przepaść, jaka nas od niej oddziela. Przywykliśmy przedstawiać sobie Europę, jako ideał, niedościgniony prawie dla takich, jak my, barbarzyńców. Wszystko też, co nosi na sobie zagraniczną markę, nabiera dla nas specjalnej wartości.

Tę samą miarę przykładamy, rzecz naturalna, i do zagranicznego wykształcenia. Dyplom tamtejszy cieszy się u nas wszędzie dużem uznaniem i daje posiadaczowi pierwszeństwo przed innymi. Wierzymy, że kto wraca z zachodniej wszechnicy, ten przywozi z sobą i rozum, i porządny zapas wiedzy ogólnej, i dokładną znajomość swego fachu.

Jeszcze bardziej do takiego poglądu się przyczyniał rzeczywiście fatalny stan u nas wyższego szkolnictwa, brak odpowiedniej atmosfery umysłowej, brak zupełny uzdolnionych kierowników, oraz niezaspakajanie najelementarniejszych potrzeb nauki.

To też nic dziwnego, że wyjazd zagranicę na studia przedstawia się dla młodzieży naszej nadzwyczaj pociągająco. W marzeniach swych piastuje ona projekty wyjazdu, a ten, komu się uda je urzeczywistnić, uważa to za najwyższe szczęście. Młodzież sądzi, że się wyrwa na szeroki świat z ciasnego partykularza, że trafia do krynicy czystej wiedzy, gdzie z pierwszej ręki czerpać będzie potrzebne wiadomości, że się zanurzy w strumieniu kultury europejskiej i popłynie z najświeższymi prądami myśli nowoczesnej. Elektryzuje ją myśl, że na własne oczy zobaczy na katedrach ludzi, o których dotąd przywykła ze złości czytać w książkach, że wprost z ich ust posłyszysz nowe teorie, rzucające snopy światła w ciemne gąszcze zawitych zjawisk, upaja radością świadomość, że pod ich kierunkiem zaprawiać się będzie do samodzielnych badań i szerszej pracy naukowej. Opowiadania o bogatych, we wszystko zasobnych laboratoryach, o przeróżnych wspaniałych muzeach, o olbrzymich wszelkiego rodzaju zbiorach, o bajecznych udogodnieniach nareszcie, jakie spotyka tam na każdym kroku młodzież oddająca się poważnym studjom — dopełniają miary i decydują ostatecznie o wyborze.

Niemałą rolę gra też chęć zobaczenia tych krajów, które wyprzedziły nas na drodze postępu, zapoznania się z ich kulturą, z bardziej rozwiniętymi stosunkami społecznymi, wreszcie po prostu ciekawość przypatrzenia się odmiennym typom ludzi, ich obyczajom i sposobowi życia.

Obecne warunki, jak nadmieniliśmy, w wysokim stopniu sprzyjają spotęgowaniu tego ruchu, który grozi niemal masową emigracją młodzieży. Jestto objaw bardzo poważny, mogący mieć doniosłe skutki dla kraju — objaw, nad którym warto dłużej się zastanowić.

Czas jest poddać tę kwestyę gruntowniejszemu zbadaniu i wyświetlić krytycznie, czy rzeczywiście panujący pogląd ma rację bytu.

Nie chodzi tu o to, by powstrzymywać od wyjazdu, bo na to niepodobna liczyć, o ile się radykalnie nie zmienia u nas warunki: gdy młodzież nie może studyować w kraju, trudno ją hamować, by nie szukała nauki gdzieindziej. Ale wiele zależy na tem, w jakim kierunku fala ta pójdzie: czy skieruje się do polskich uniwersytetów i politechnik, w owej tak niesłusznie pomiananej Galicyi, której szybkie postępy powinnyby nareszcie zmusić nas do porzucenia dawnego niepoehlebnego o niej zdania, czy też ominie tę ostatnią i rozleje się po całej Europie w myśl utartych dotychczas zapatrywań.

Gdyby nawet owo roztrząsanie i tego celu osiągnąć nie zdołało, swoją drogą jest ono koniecznem, bo przynieść może tę korzyść, że da świadomość szkody i strat, jakie wyrządza obce wykształcenie, poznanie zaś niebezpieczeństwa pozwoli w większym stopniu się od niego zabezpieczyć. Z jednej strony młodzież, wiedząc, co jej grozi, będzie się starała o unikanie tych fal życia zagranicznego, gdzie srożą się najgorsze wiry, mogące ją porwać w swe odmęty, potrafi obmyśleć pewne środki przeciwdziałania, zawczasu uzbroi się w odporność. Z drugiej strony zaś najbliższe otoczenie rodzinne tej młodzieży zwróci baczniejszą uwagę na te spustoszenia, które czynią w jej duszach obce wpływy, rozpocznie z nimi wyteżoną i systematyczną walkę i wszelkie usiłowania skieruje ku temu, by synowie lub krewni mogli, wracając do kraju, równie łatwo zrzucić z siebie szkodliwy i zgubny osad obcy, jak ze stóp swych otrząsnąć pył podróży.

Błąd dotychczasowej opinii polega głównie na tem, że całą tę tak złożoną sprawę wychowania młodzieży, rozpatrywano li tylko z jednego stanowiska, a mianowicie z punktu widzenia pożytku naukowego. Zamykano oczy na to, że rozwój młodzieży w żaden sposób nie może być sprowadzony wyłącznie do zadań naukowych, bo to jest jedna tylko jego strona, bardzo ważna, co prawda, ale nie jedyna, a nawet bynajmniej, nie najważniejsza. Główny przecież cel wychowania w ogóle, powinien polegać na tem, by młodzież wyrabiała się na prawdziwych obywateli kraju, na

dzielnych ludzi o tęgich charakterach i zdrowych zasadach, umniejszających czynem je stwierdzać. Zadaniem młodzieży w wyższych zakładach naukowych nie jest jedynie zdobycie wiedzy, wykształcenie fachowe, przygotowanie do przyszłej pracy zawodowej, nawet rozszerzenie swego widnokregu umysłowego nie powinno być jej wyłącznym dążeniem. Nie można zapominać o tem, że otrzymane świadectwo dojrzałości nie uczyniło jeszcze młodzieńca rzeczywiście dojrzałym, że wychowanie jego bynajmniej jeszcze się nie zakończyło, ale wchodzi tylko w inną fazę, kiedy kierownictwo postronne zastępuje bardziej samodzielna praca nad sobą.

Wiek młodzieńczy jest właśnie tym okresem, kiedy w człowieku formują się określone zapatrywania na życie i jego cele, kiedy się szuka idei przewodnich, któreby służyły za drogowskazy na przyszłość, kiedy jednym słowem wytwarza się ogólny światopogląd, dający treść wszelkim usiłowaniom i dążeniom jednostki.

Zarazem jest to czas, kiedy młodzież wstępuje w szranki życia społecznego, poznaje warunki kraju swego, zaczyna zaprawiać się do pracy dla dobra ogółu, przygotowuje się do przyszłej działalności publicznej, urabia się na obywateli kraju.

Wreszcie jest to okres ostatecznego ukształtowania się charakteru jednostki, urabiania się jej siły moralnej, hartowania woli, kiedy jedne cechy wysuwają się na pierwszy plan, nabierają mocy i wyrazistości, inne zaś, przez nie przytłoczone, słabną i nikną.

W wychowaniu młodzieży koniecznym jest baczne zwrócenie uwagi na wszystkie te strony oraz równomierne ich traktowanie.

Nigdy zaś, pod grozą najcięższych następstw dla sprawy ogólnej, nie można patrzeć na wyższe wykształcenie li tylko, jako na środek zdobycia skutecznego oręcza w walce o byt. Kraj potrzebuje co prawda rozumnych, biegłych i wykwalifikowanych fachowców, ale w bezporównania większym stopniu brak mu ludzi idei i czynu, o wypróbowanej działalności moralnej, pojmujących jasno jego położenie, chcących i umiejących pracować nad zaspokojeniem żywotnych jego potrzeb.

Dlatego też w żaden sposób nie wolno pomijać milczeniem całokształtu warunków, w jakich młodzież odbywa swe studia, gdyż te warunki właśnie decydują o tem, czem będą następne pokolenia, które wejdą w życie. Zależnie zaś od tego, co te ostatnie w nie wniosą, tą lub inną drogą pójdzie cały przyszły rozwój społeczeństwa naszego.

Spędzenie zagranicą tego okresu młodości, kiedy się u człowieka ostatecznie kształtują linie oblicza duchowego, a rysy psychiczne nabierają stałego i określonego wyrazu, nie może nie wpły-

wać wysoce szkodliwie na młodzież. Jak wszędzie, tak i tutaj są, rzecz prosta, wyjątki, ale te zawdzięczają swą odporność specjalnym warunkom (przedewszystkiem zaś, jak to zobaczymy później, wybitnie silnemu podłożu narodowemu w rodzinie), nie mogą przeto być brane w rachubę, gdy się mówi o ogóle.

Każde kulturalne społeczeństwo baczenie i zazdrośnie strzeże swego wpływu na młodzież i nie wypuszcza z rąk kierownictwa nią, wychodząc ze słusznego stanowiska, że tylko własne społeczeństwo może wychować ludzi takich, jakich mu rzeczywiście potrzeba. Tymczasem my, wysyłając młodzież do wyższych uczelni zagranicę, z lekkim sercem, zupełnie dobrowolnie, oddajemy jej dusze obcym, którzy najczęściej tylko wykoszlawić je i wypaczyć mogą, uważamy to za rzecz zwyczajną i zdajemy się nie odczuwać przytem cienia nawet wątpliwości. Tembardziej jest to dziwne, że ster wychowania u nas w szkołach średnich nie od nas zależy, przeto tem większe znaczenie powinniśmy nadawać tym środkom, które w naszym ręku pozostały, tem więcej je cenić i tem pełniej wyzyskać.

Odbywanie wyższych studyów poza swym krajem, w ogóle szkodliwe, na naszą młodzież dla łatwo zrozumiałych względów działa przeważnie wprost rozkładająco. My jesteśmy w tem wyjątkowem położeniu, że ze wszystkich stron zalewają nas fale obcego życia, które płyną nie tylko szerokim otwartym strumieniem, ale przesiakają również ukrycie najdrobniejszymi szczelinami, docierają do najbardziej zdawałoby się niedostępnych dla nich dziedzin. Położenie takie każe nam nadzwyczaj troskliwie baczyć, by uchronić się od wszystkiego, co osłabia wznoszone przez nas wały ochronne lub zwiększa napór powodzi. Zamiast tego, niepomni niebezpieczeństwa, zajmujemy się przekopywaniem nowych kanałów, którymi mógłby się łatwiej wdrzeć do nas żywioł obcy. Ten ostatni, idący z zagranicy, natrafia już u nas na pola, stojące pod wodą, na grunt zniszczony, na zmarniałe plony, podnosi tylko poziom zalewu, grożąc temu, co zdołało jeszcze ocaleć na wyżynach.

\*

\*

\*

Rozumie się samo przez się, że przy rozpatrywaniu kwestyi wpływów, jakie wywiera zdobywanie wykształcenia na obczyźnie, na pierwszym planie należy postawić stronę narodową, gdyż tu przedewszystkiem oczekiwać trzeba najdotkliwszych szczerb.

Odbywanie wyższych studyów w obcych zakładach naukowych przyczynia się w znacznym stopniu do wynarodowienia duchowego, które nie koniecznie musi polegać na zapomnieniu swego języka i wyrzeczeniu się ojczyzny: jest to krańcowy tylko jego wyraz. Obejmuje ono cały szereg objawów, stanowiących stopnie przejściowe do tej ostateczności, występuje w najprzeróżniejszych formach, nie tak, co prawda, jaskrawych, ale zawsze niebezpiecznych. Można mówić bez błędów najmniejszych po polsku, uważać się za Polaka, a pomimo to nie czuć i nie myśleć po polsku.

Tak często słyszymy i powtarzamy to wyrażenie, a jednak przedstawia się nam ono mglistem i nieuchwytnem. Rozpatrzmy więc, jaka właściwie treść w tem pojęciu się ukrywa.

Istnieje cały system pojęć, uczuć i instynktów, które są wspólne olbrzymiej większości członków jednego narodu i składają się, razem wzięte, na wytworzenie pojęcia tak zwanej duszy narodowej. Wiekowe współżycie położyło na zbiorowisku jednostek, stanowiących naród, niezatarte piętno specyalne: wyrobiło w ich umysłach jednakowe na wiele spraw poglądy i zapatrywania, wetchnęło im w serca wspólne umiłowania, ideały i dążenia, wszczepiło im w krew jednostajne impulsy — jednym słowem wytworzyło w ich duszach cały system ogólnych pojęć, uczuć i instynktów.

Taka jednolitość stanowi właśnie ów potężny czynnik, który spaja rozproszone cząstki w organiczną całość, służy za wiązadła duchowe, łączące jednostki w społeczeństwo, przerabia szarą, niesforną i rozbitą masę ludzką na żywy organizm narodowy, wlewa weń duszę i nadaje określony charakter. Węzły te są głównym i niezbędnym warunkiem istnienia społeczeństwa, gdyż bez nich niemożliwym byłoby jakiegokolwiek ugrupowanie i zrzeszenie. Posiadają one taką siłę, że jednostka, choćby chciała się wyłamać z pod ich rygoru, wysunąć z nałożonych pęt, często nie może już tego uczynić i nawet wbrew własnym intencjom musi działać tak, jak tego dobro ogółu wymaga. W nich leży moc narodu, one decydują o jego wartości i znaczeniu, od zakresu, jaki obejmują, i napięcia, jakie posiadają, zawisłym jest dalszy rozwój jego.

Owa spójnia duchowa nie jest wytworem chwili, który daje się osiągnąć przy dobrej woli i zapale na poczekaniu. Wieki całe składają się na to, by ją w dane środowisko wpoić i ugruntować. Wzrasta ona bardzo powoli i stopniowo, przechodząc z oj-

ców na synów, z synów na wnuków, a każde pokolenie coraz ściślej cementuje dawną budowę, a zarazem dorzuca do niej świeże cegiełki.

Dlatego to na najtrwalszych podstawach oparty jest byt tych narodów, które umiały zachować ciągłość w swym rozwoju historycznym, umiały połączyć z wysokim kultem dla tradycji wymagania postępu i te ostatnie do niej zastosować. Naród zaś, który utracił cześć dla swej przeszłości, który widzi w niej tylko strony ciemne, który pozwala ją plugawić i wyszydzać na każdym kroku, sam jeszcze w tem pomagając innym, traci zarazem grunt pod nogami, staje się chorym moralnie, wreszcie całkiem wyrodnieje i ginie.

To też pierwszym obowiązkiem każdego społeczeństwa jest przejąć spuściznę duchową, jaką zostawili mu przodkowie, oczyścić ją od usterek, pogłębić i rozszerzyć, bacząc przytem pilnie, by nie dotknęły jej skazy lub zboczenia, i wreszcie przekazać ją następcom.

Proces ten odbywa się po części niezależnie od woli ludzkiej — drogą tak zwanej dziedziczności moralnej. Natura człowieka posiada zdolność przekazywania potomności zarówno fizycznych swych cech, jak i duchowych. W ten sposób pewne charakterystyczne właściwości danego narodu przechowują się w szeregu pokoleń, przechodząc z jednego na drugie i coraz silniej się ugruntowują.

Poza tem jednak olbrzymią rolę gra tutaj odpowiednie wychowanie, a później wpływ otoczenia. Pierwsze uczucia, stanowiące podkład do późniejszych przekonań, pierwsze zarodki poglądów daje rodzina. Doniosłem jest jej znaczenie, bo ona rozpoczyna tę budowę, która się składa potem na istotę duchową człowieka. Dalszym stopniem jest szkoła, która powinna być nie tylko miejscem, gdzie się ładują do głowy rozmaite wiadomości, ale także gdzie się kształcą charaktery. Zresztą urabianie psychiki dziecięcej odbywa się z równą, a bodaj nawet czy nie większą siłą i poza świadomością pedagogów przez samo tylko ciągłe obcowanie dziecka z nimi i z kolegami. Szkoła daje mu zetknięcie się z szerszym światem, jest pierwszą organizacją publiczną, w którą ono wchodzi. Już tutaj życie zaczyna wymagać zadatków uczuć społecznych w większym zakresie, rozwija je i nadaje określoną formę. Szkoła powinna pielęgnować i wzmacniać to, co wszczepiła i w dalszym ciągu wszczepia rodzina, oba te wpływy muszą działać ręką w rękę, wzajemnie się wspierając i dopełniając. Gdzie tego niema, nie może być mowy o jakichś rezultatach dodatnich,

tam zaś, gdzie istnieje walka między tymi czynnikami, gdzie szkoła chce wpoić to, co krańcowo przeczy zasadom, głoszonym przez rodzinę, tam dusza dziecka staje się polem do harców dla dwóch wrogich sił, wszystko w niej narażone jest na stratowanie, zdrowe ziarna społeczne podlegają zniszczeniu, a jej samej grozi zamienienie się w gołą, wyjąłowioną płaszczyznę, na której potem często tylko chwasty wybujać mogą.

Nie możemy się nad tą kwestyą dłużej zatrzymywać. Błędy systemu szkoły średniej u nas są uznane przez ogół, choć ten ostatni nie zdaje sobie jeszcze dokładnie sprawy z ich rozmiarów. Natomiast nie uświadamiamy sobie wcale, że wychowanie młodzieńca trwa w dalszym ciągu i po przestąpieniu przezeń progów wyższego zakładu i nie kończy się bynajmniej z chwilą, gdy uczeń zasiądzie na ławie uniwersyteckiej lub politechnicznej. Młodzieniec taki posiada, co prawda, pewne podstawy, ale te nie utrwały się w nim dostatecznie i nie są jeszcze w stanie wytrzymać naporu różnych wicherów życiowych. Dotychczas inni zajmowali się jego kształceniem, nadając mu pewien kierunek, teraz on bardziej samodzielnie rozpoczyna pracę nad sobą. Dotychczas przyjmował wiele rzeczy przeważnie bezkrytycznie, teraz wchodząc w życie, zaczyna sam się w nim rozglądać, analizować i oceniać wszechpłonne weń zasady, przyszacowywać swe pojęcia. Wnikając głębiej w stosunki, poznaje masę stron, dotychczas dla siebie zakrytych, na które musi sobie wyrobić pogląd własny; staje przed nim ogrom zadań, które musi nieodwołalnie w ten lub ów sposób rozwiązać, budzi się w nim szereg wątpliwości, na które musi niezbędnie znaleźć odpowiedź.

Taranem biją weń wówczas wszelkie wpływy zewnętrzne, modelując wrażliwą i podatną naturę młodzieńczą, która gwałtem szuka wyjścia z labiryntu zagadnień i idzie za tymi światełkami, co pierwsze najsilniej olśnią jej oczy, biorąc je za gwiazdy przewodnie na dalszą drogę żywota. Stosownie do tego buduje sobie ogólny światopogląd, obciosowując dawne zreby i wznosząc z nich albo wspaniałą wieżę, z której odślaniają się dalekie horyzonty, albo też niską, zapadłą chałupę, przyrosłą do ziemi.

I wtedy właśnie, kiedy oddziaływanie społeczeństwa na młodzież jest tak potrzebnem, kiedy otwiera się możliwość spełnienia tego zadania na szerszą skalę, kiedy nastaje ostatni czas do powetowania poniesionych poprzednio strat, młodzież nasza usuwa się z pod rodzinnego kierownictwa. Zagranicą dostaje się pod wpływy obce, zwykle dla nas nieprzyjemne, a często jawnie wrogie. Poglądy i uczucia otoczenia wbrew woli osobnika udzielają



mu się zupełnie nieświadomie, dusza jego nieznacznie przesiąka nimi, a włókna mózgowe i nerwowe nastroją się specjalnie na pewne tony, dając harmonijne oddźwięki na bijące w nie poszumy. Prelekcyje profesorów, otoczonych aureolą sławy, obyczaje kolegów, z którymi choć nie zawsze się przestaje, ale z musu ciągle się styka, opinia całego środowiska, wśród którego się żyje—wszystko to, będąc na dobitkę często tendencyjnie przeciwko polskości skierowane, nie może przejść, nie pozostawiwszy po sobie śladów dotkliwych.

Jest to strata niepowetowana, gdyż jednostki te, gdy wrócą z zagranicy z urobionymi przekonaniem, nie będą już posiadały dawnej wrażliwości i podatności i nie poddadzą się już tak łatwo oddziaływaniu swego społeczeństwa. Rozwój psychiki idzie już znacznie słabiej w wieku dojrzałym, nie urywa się jednak, nie zatrzymuje na pewnym stopniu, jak to dzieje się z rozwojem fizycznym, ale posuwa się ciągle w tym lub owym kierunku, zależnie od parcia środowiska. Każdemu wiadomo, jak dalece pozbawia zwykle cech narodowych, nawet ludzi starszych, dłuższy pobyt na obczyźnie. Nasze położenie pod tym względem jest wyjątkowe, bo nawet u siebie w kraju na każdym kroku spotykamy się z wpływami obcymi, które się wszędzie szeroko rozpostarły, kładąc swe piętno na każdej dziedzinie życia. Działalność ich widziny wszędzie, czy to chodzi o język, czy o obyczaje, czy też o prawa i instytucje, czy o myśli nasze i uczucia wreszcie.

W takich warunkach tembardziej powinniśmy się strzedz, by uchronić czystość naszych pierwiastków narodowych i nie wprowadzać do naszego życia więcej jeszcze elementów obcych. Rezultaty takiego ogólnego stanu rzeczy, nie omieszkały się u nas w krótkim przeciągu czasu objawić, zasnuły ołowianemi chmurami horyzonty naszego życia społecznego i zaciężyły nad niem fatalnem brzemieniem.

W pokoleniach, wyrosłych w tych warunkach, nie mogło się wyrobić poczucie ściślej łączności z rodzimem środowiskiem, nie społy się one całkowicie duchowo ze swem społeczeństwem, nie stały się jego nierozzerwalną częścią, nie przejęły odeń tego wszystkiego, co ono miało do przekazania, to jest całej tak drogocennej spuścizny narodowej. Wytworzyły się rzesze obywateli, niedospolonych do całości, nie poczuwających się do ściślej z nią łączności, których serca nie biją w takt ogólny, lecz dają pewną dysharmonię, słabną i rozluźniają się więzy społeczne, a rozwój narodowy zostaje wstrzymany i nawet cofa się wstecz.

Rzeczy takie, które stanowią podstawę bytu każdego narodu, niezbędny warunek jego istnienia, które wszędzie dawno weszły w krew i ciało ogółu, stały się elementarnymi pewnikami, wprost odruchami instynktu samozachowawczego, które załatwiane są niemal bezwiednie, jak oddychanie powietrzem—u nas nie bywają dość odczuwane, wywołują gromkie spory i szerokie dysputy, wymagają jeszcze gruntownych i specjalnych udowodnień.

U wielu wynarodowienie idzie jeszcze dalej. Tendencje obecne wypierają powoli u nich swojskie, niweczając je i zajmując ich miejsce. Dawny dorobek narodowy w duszach zostaje zrujnowany, wsiąkają w nie natomiast nowe poglądy i dążenia, szkodliwe w zastosowaniu do naszego narodu, działające nań rozkładająco. Rwą się brutalnie wiązadła, spajające dane jednostki ze swym społeczeństwem: to, nad czego wytworzeniem pracowały wieki, niszczy lekkomyślnie jedno pokolenie. Zjawiają się typy ludzi, związanych z narodem tylko przez język, którego używają, duchowo zaś zupełnie mu obcych, stanowiących nie komórki jednego organizmu, ale ciała przeszkadzające prawidłowej jego działalności.

Zatracają oni właściwy punkt widzenia na sprawy swojskie i zaczynają je oceniać ze stanowiska obcego. Zanika u nich wprost zdolność zrozumienia i odczucia niektórych specjalnych właściwości naszego narodu, niektórych rysów polskiego charakteru. Zdawałoby się, że nie posiadają oni już nerwów, które spełniały tę funkcję. Tępieje u nich ogólna wrażliwość na sprawy polskie, jako od zimnych gładów odbija się od nich wiele fal życia narodowego, nie płyną oni z niemi, ale im twarde opór stawiają, często nawet dodatnie strony nasze rażą ich odwykłe oczy, które się już do czego innego przystosowały.

Coraz liczniej wreszcie zjawiają się jednostki i grupy, które ostatecznie już zerwały wszelki związek ze społeczeństwem i ze sprawą narodową, które ośmielają się jawnie i otwarcie przeciwko nim występować, których głównym celem właśnie jest rozbięcie narodu. Na narodowość patrzą oni, jako na przeżytek dawnej epoki, nie mogący się ostać wobec powiewów ducha czasu, wstrząsających podstawami dzisiejszego ustroju i zwiastujących ugrupowanie się ludzkości na innych, niż dotychczas, zasadach. Patriotyzm uważają za objaw szczytkowy, niegodny człowieka iście postępowego, zaciemniający tylko jasność myśli i hamujący szerokość poglądów, za uczucie wsteczne, przeczące wszelkim nakazom moralnym, mącące ideę ogólnej sprawiedliwości, nie pozwalające wznieść się na wyżyny, skąd ogarnąć można ludzkość całą. Ka-

żdy żywszy wyraz miłości dla ojczyzny, to zdaniem ich wstętny szowinizm, który piętnują i tępią zażarcie; każdy akt obrony narodowej — to podła zaborczość; każde usiłowanie uchronienia się od wynarodowienia — to idiotyczne zasklepanie się w przeżytych formach. Takie idee szerzą wśród mas, gdzie zyskują zwolenników wskutek nieuspołecznienia lub ciemnoty i zatruwają warstwę całe.

Na ogół biorąc, brak nam tego ukochania swojszczyzny, które odgarniając szarą powłokę, odsłania w niej skarby nieprzebrane; brak poczucia obowiązków względem swego społeczeństwa, bo pomimo, że ono gwałtownie potrzebuje rąk do pracy, tak mało ich się ku niemu wyciąga; brak dostatecznego szacunku i czci dla przeszłości, którą się mało zna, a jeszcze mniej ceni; brak wiary w przyszłość narodu, nad którą, zdaniem wielu, jako nad sprawą przebrzmiałą, zatrzasnęły się już wrzeczadze historii, grzebiąc na wieki w podziemiach.

Jednych olśniewają kulturalne postępy Zachodu, zwłaszcza zaś doprowadzone do ostatecznych granic w dzisiejszych warunkach udoskonalenia technicznej strony życiowej, które każdego przedewszystkiem biją w oczy, wpajając przeświadczenie o bezwzględnej wyższości wszystkiego, co stamtąd pochodzi. Czysto powierzchowne porównanie z naszymi warunkami wzbudza jedynie na ich ustach uśmiech politowania dla naszej pracy kulturalnej. Nie biorąc pod uwagę trudności, które polskie społeczeństwo ma do przewyciężenia, przyzwyczajają się oni traktować z pogardą wszelkie usiłowania jego w tym kierunku. Ciskają gromy na nasze opłakane stosunki, ale żaden z nich palcem nie ruszy, by zaprowadzić jakąś zmianę na lepsze. Nie zdają sobie sprawy, że jeśli jest źle, to w tem bezsprzecznie leży również częśćka ich własnej winy, że krytykując kraj swój, krytykują zarazem samych siebie. Grają rolę ofiar, które się poświęcają, decydując się żyć wśród dzikich ludzi, w dzikich warunkach pół-Azyi, pozwalając się zaliczać do „minderwerther Nationalität,“ ubierają się w pozę, mającą mówić, że już tak wiele przez to złożyli na ołtarzu ojczyzny, że tylko wdzięczność od potomności należyć im się może.

Innych zachwycają idące z przeciwnej strony rzekomo wolnomyślnie szerokie poglądy, wypływające z wybuchania antyspołecznych tendencji i zupełnej nieznajomości życia społecznego, polegające na odrzuceniu wszelkich form, w jakich się ono objawia, i na wyzwoleniu jednostki z pod wszelkich obowiązków, jakie ono może względem niej stawiać. Duszą się w rzekomo ciasnej atmo-

sferze „szlachetczyzny i klerykalizmu,“ nie znajdując ujścia dla swych burzycielskich popędów, z pogardą traktują „zaśniedziałe umysły i zasklepione głowy, zagrzechłe w domowych kałużach,“ przeciwstawiając im rozmach duszy, nie uznającej żadnych pęt, żadnych obowiązków.

Co do przeszłości naszej, to ta wywoływała na ogół tylko słowa potępienia. Największem uznaniem cieszyły się u nas dzieła uczonych tej szkoły, która się przedewszystkiem zajmowała ciemnymi stronami naszej historii, przyzwyczajono się przedstawiać ją, jako jeden wielki szereg błędów i omyłek, z lubością starano się wywlekać wszelkie brudy, nadając im znaczenie ogólnego tła, nie widziano nic dodatniego, nie takiego: coby zasługiwało na pochwałę i cześć.

W tem w znacznej części szukać trzeba przyczyny stałe się u nas powtarzającej, zawziętej i zacieklej walki młodych ze starymi, stanowiącej nieodłączną cechę narodów rozbitych lub niedojrzałych. Wychowana w cudzoziemszczyźnie młodzież zupełnie nie rozumie starszego pokolenia, nie zdaje sobie sprawy z podjętych przez nie usiłowań, nie widzi rezultatów, do których ono doszło, bo wszystko, co ma cośkolwiek wspólnego z przeszłością, nie znajduje żadnego echa w jej sercach, lecz przeciwnie wydaje się wstecznem i ubolewania godnem. Wyobraża ona sobie, że to, co było dotąd, powinno czem prędzej zapaść się w ponury, zapomniany zmierzch dziejów, a od niej dopiero rozpocznie się nowa, prawdziwa historia. Zdaje się jej, że dla ludzkości całej rozpała zorze jasnych świtów, a tymczasem wznosi w tym celu wielkie stopy z próchna, które świeci jedynie dzięki otaczającym je ciemnościom.

Stąd ten brak ciągłości w naszym rozwoju, nie spotykany u wyrobionych społeczeństw narodów, ta dążność do przebudowywania całego życia od dołu do góry. Znaczna część młodzieży zamiast pomnażać i pogłębiać dorobek przeszłości, uważa za najważniejsze swe zadanie i najświętszy obowiązek zniszczyć doszczętnie wszelkie rezultaty dotychczasowej pracy, by i śladu po nich nie zostało, a w ten sposób oczyścić drogę wolnej od dawnych grzechów przyszłości, która czysta i niepokalana zatoczy wtedy nad ziemią łuk swych promieni, niosących szczęście w najskrytsze zakątki. Zapał i energia idzie wyłącznie na pracę negatywną, na burzenie, na działalność zaś twórczą, na przygotowanie materiałów na fundamenty i wznoszenie nowej budowy — braknie już sił i czasu.

Na przyszłość naszą narodową zapatrywano się naogół nadzwyczaj pesymistycznie. Nie widziano przez długi czas pierwiast-

ków, niosących odrodzenie, ani źródeł, skąd przyjść mogło pokrzepienie. Powstały kierunki całe, szerzące niewiarę w siły narodu, w naszą zdolność do współżycia społecznego, łaknącego spokoju za wszelką cenę, za cenę zmarnowania chwil, odpowiednich do posuwania się naprzód, za cenę utraty zajmowanych pozycji, nawet za cenę godności narodowej.

Oslabienie węzłów, tworzących z nas naród, posunęło się znacznie. Nawet te zasady najogólniejsze, z których każdy powinien wychodzić, urabiając swe przekonania i które muszą być dla wszystkich członków jednego narodu bądź co bądź wspólne, nawet te pierwotne założenia są dziś u nas, u różnych ludzi, krańcowo odmienne i wzajemnie się wykluczające. Jeśli porównamy przeszłe pokolenie z teraźniejszym i ówczesny stan umysłów z obecnym, to uderzyć nas musi olbrzymia zmiana, jaka zaszła w istocie duchowej narodu naszego. Gdy przed czterdziestu paru laty stanowiliśmy, pomimo istnienia stronnictw i znacznej często różnicy w zapatrywaniach społecznych, bądź co bądź jednolitą całość, gdyż czynnik narodowy decydował ostatecznie o wszystkim, — dziś na całej linii, w najdrobniejszej sprawie występuje na jaw zupełny brak jakiejś stałej, ogólnej i przez to silnej opinii publicznej, wypływa na wierzch straszna rozbieżność w pojęciach i dążeniach, oczywistą staje się absolutna niemożliwość znalezienia wspólnego gruntu, gdzieby się spotkały zgodnie sprzeczne, walczące z sobą kierunki;—krótko mówiąc: dusi nas zmora kompletnego chaosu i powszechnej dezorganizacji. Dawniej istniała granica, której przekroczenie pociągało za sobą ogólne potępienie, dziś najgorsze objawy tego rodzaju zawsze znajdują obrońców w pewnym gronie ludzi, tak, że niema wprost czynów wzbронionych z punktu widzenia dobra powszechnego.

\*

\*

\*

Mówiliśmy dotychczas przeważnie o wpływie zubożniają-cym lub zniechęcającym do wszelkiej realnej pracy na gruncie swojskim, rzućmy teraz okiem na inne pozornie wręcz przeciwnie zjawisko nieudolności praktycznej przy najlepszej nawet woli służenia swemu społeczeństwu. I tutaj również, pod względem społecznym studia na obczyźnie okazują się czynnikiem szkodliwym.

Młodzież kształcąca się w kraju, ma przed sobą pole, gdzie pod kierownictwem starszych, korzystając z ich wskazówek i doświadczenia, zaprawiać się może do pracy obywatelskiej. W ten sposób powoli poznaje nie teoretycznie z książek, ale z własnej praktyki kraj, zaznajamia się z panującymi w nim stosunkami, zaczyna odczuwać jego potrzeby i wynajdywać środki do ich zaspokojenia, zaczyna rozumieć interesy jego, których konieczną jest obrona. Biorąc udział w wypadkach i zbliżka śledząc ich bieg oraz wyniki, jakie przynoszą, nabywa umiejętności obserwowania faktów społecznych i wyciągania z nich odpowiednich wniosków. To pozwala jej czerpać swe poglądy wprost z życia, rozwijać je stopniowo wraz ze wzrostem zakresu działania, z rozszerzaniem się faktycznego widnokągu. Wreszcie ułatwionem jej jest wyrobienie w sobie wielkiej i trudnej zdolności wcielania swych idei w czyn, od razu bowiem dążyć może, by każda myśl piękna, każdy popęd zapalny—znalazły urzeczywistnienie. Próba ogniowa życia wykazuje szybko ich wartość i umożliwia sprawiedliwą ocenę, co chroni od upajania się haszyszem szumnych frazesów i bicia czołem przed fałszywymi bożkami złudnych urojeń.

Wszystkiego tego pozbawieni są odbywający studia w obcym otoczeniu. Nie wyrabiają oni w sobie przekonania przez czynny udział w życiu społecznem swego narodu, lecz jedynie przez powierzchowną obserwację obcych nam i duchem i formą społeczeństw. Wracają do domu z zakrzepłymi już pojęciami, zaczerpniętymi z cudzoziemskich wzorów, i pozostają już przy nich.

Tak samo, jak co do strony narodowej, tak i pod tym względem położenie nasze jest wyjątkowo niepomysłne, dlatego też i tu rezultaty okazują się dla nas stokroć zgubniejszymi. Stosunki w kraju są takie, że my specjalnie całą siłą trzymać się musimy gruntu realnego, bo wszystko nas od niego odrywa. Życie publiczne w tem znaczeniu, jak je rozumieją na Zachodzie, u nas nie istnieje i płynie jedynie wązkim korytem, które sobie toruje z mozołem. Brak instytucyj, w których ono się rozwija, ogromnie utrudnia ogółowi branie w niem udziału, brak zaś możności decydującego oddziaływania na bieg rzeczy, wpływa w znacznym stopniu na osłabienie zainteresowania się niemi. Niedopuszczenie do tej szkoły społecznej, jaką wszędzie stanowią organy samorządu, uczące ludność myślenia o sprawach ogólnych, nie pozwala na wyrobienie się społeczne szerszych warstw.

Co do teoretycznego wykształcenia w tym kierunku, to ono jest zależne od praktyki życiowej, gdyż ta ostatnia zwykle pobudza do żywszego zajęcia się niemi. U nas całe teoretyczne wy-

kształcenie sprowadza się u wielu do paru ulotnych broszurek, przerzuconych w wolnych chwilach, i do ożywionych, lecz nieraz jałowych dyskusyj w gronie koleżeńskim. Bagaż taki umysłowy wystarczyć im musi na przyszłość, gdyż dalej kształcić się później nie mają czasu, a często i ochoty, życie zaś samo ich nie rozwija, gdyż nie nauczyli się czerpać zeń nauki, nie potrafią wyciągać stosownych wniosków ze spotykanych objawów.

W tych warunkach, gdy tak trudnem jest zdobycie doświadczenia, tem bardziej nie powinniśmy pozbawiać młodzieży tej nauki, jaką mogą dać jej starsi pracownicy; gdy tak nie łatwem poznanie kraju własnego — wysłać ją z niego na dłuższy czas; gdy tak niedostępną umiejętność obserwowania życia — oddalać ją od tych jego spraw, które są najbliższe i najzrozumialsze; gdy tak mało wykonalnem oblekanie się dążeń w czyn — pozbawiać ją tej praktyki zupełnie; gdy wszystko naokół składa się na to, by zrobić z nas doktrynerów, tembardziej jeszcze nie powinniśmy się sami do tego przyczyniać.

Wychowawcy szkół zagranicznych, widząc na każdym kroku zewnętrzną wyższość Zachodu nad nami i niezdolni jeszcze wznieść się do pewnego krytycyzmu, przejmują się przesadnem uwielbieniem dla wszystkiego, z czem się tam spotykają. Stąd dążność do wprowadzenia u nas żywcem obcych wzorów, nie odpowiadających ani charakterowi ludności, ani też jej potrzebom. Chcieliby zmienić wszystko: prawa, instytucye, obyczaje nawet, przeobrazić nas całkowicie na modłę Zachodu, zrobić z nas jedynie jego blade odbicie. Nie pojmują oni tego, że sztuczne fłance zwiędną wkrótce na nieodpowiednim dla nich gruncie, że sięgnąć trzeba natomiast w głąb własnej narodowej twórczości, rozwinać zarodki w niej tkwiące, wznosić podwaliny z materiałów, które ona dostarcza.

Poglądy ich zupełnie są niezastosowane do naszych warunków, to też i działalność, którą podejmują, albo wisi w powietrzu i obraca się wniwecz, albo, co gorsza, wyrządza dotkliwą szkodę narodowi. Naszych stosunków w żaden sposób nie można mierzyć zwykłą miarą polityczną, stosowaną w państwach zachodnich. Odrębne, zupełnie oryginalne muszą być drogi, które sobie torujemy, odrębne sposoby działania, odrębne nawet całkowicie cele i zadania, mające nam przyświecać. Tymczasem ludzie, wzorujący się na stosunkach zachodnich, stawiają u nas te same postulaty, które tam ciągle słyszeli. Nie rozumieją tego, że dążenia te, mając tam doniosłe znaczenie i dużą wartość realną, u nas często przyczyniają się tylko do rozkładu społecznego, a w naj-

lepszym wypadku stają się pustemi hasłami bez najmniejszej treści, są mgłą niezdrową, nie dającą rozpoznać istotnych potrzeb kraju.

Weźmy dla przykładu tak zdaje się na pozór jasny, nie nasuwający żadnych wątpliwości co do swego pożytku i tak pociągający postulat powszechnego obowiązkowego nauczania szkolnego. A jednak u nas postawienie go nie miałyby najmniejszej racji bytu, gdyż nie posiadamy i w bliższym czasie nie moglibyśmy nawet zdobyć, ani odpowiednich środków, ani dostatecznie uzdolnionych nauczycieli; wprowadzenie zaś go w życie w istniejących, do ostatnich czasów warunkach, przyniosłoby nawet niepowetowaną szkodę.

Nie odczuwamy sami, jak dalece w mózg się nam wżarł nałóg operowania obcemi kategorjami politycznemi, nie mającemi u nas żadnego sensu. Zatracamy umiejętność zdobywania doświadczenia własnego i zdolność samodzielnego myślenia, bo nie możemy się otrząsnąć z pod tyranii pojęć, zaczerpniętych od innych, które u nas zmieniają absolutnie swą treść i znaczenie.

Dochodzi do tego, że nawet na stromiścu chcemy się dzieścić na modłę Zachodu. Mamy przecież u siebie moc niemieckich liberałów, francuskich radykałów, pruskich agraryuszów, którzy oryentują się lepiej w stosunkach zagranicznych, niż swoich, biorą za swe przekonania gotowe formuły tam ukute i kruszą w kraju kopie o sprawy, nie mające żadnej styczności z naszymi. Jedni gnębią z animuszem i zaciekłością na naszym gruncie zwolenników szkół duchownych we Francyi, drudzy z zadziwiającą erudycją i znajomością najdrobniejszych szczegółów, zasypują argumentami, odsądzając od czci i wiary, już to przyjaciół, już to przeciwników Dreyfusa. Ale zato najdonioślejsze wypadki, wstrząsające do głębi podstawami naszego bytu, nie znajdowały u nich należytego odbicia, a nawet nieraz przechodziły zupełnie bez wrażenia, bo ich nie rozumiano, albo też nawet nie zwracano na nie wcale uwagi.

W sztucznej cieplarni, w jaką z musu przeobraziło się nasze życie publiczne, wyhodowały się dziwne objawy doktrynerstwa, którego nie można nazwać inaczej, jak scholastycyzmem myśli. Słowa przesłaniają ludziom treść, puste dźwięki zastępują istotę rzeczy; ludzie stają się niewolnikami słów, jakimiś scholastykami ze średniowiecza w nowoczesnych kostiumach, którzy komentują oderwane zdania przeciwników, miast sięgnąć do treści ich wywodów, czepiają się uparcie słów oddzielnych; dla których na przykład pominięcie jednego przymiotnika w formułce powszechnego głosowania, wydaje się zbrodnią nie do darowania. Dla nich war-



tość ma nie to, o ile dany wniosek został odczuty przez obradujące nad niem zgromadzenie, o ile stał się realną potrzebą dla uczestników jego, ale samo formalne umieszczenie go w rezolucji przez zgromadzenie przegłosowanej, bo z poza słów i liter nie dostrzegają oni treści. Tak samo papierowa wiedza przesłania im życie. Nie chcą się odwrócić od swych zielonych stolików, by spojrzeć na jasny świat, by otrząsnąć się z pyłu bibulanego, odetchnąć świeżem, orzeźwiającem powietrzem. Przy rozstrzygnięciu jakiej kwestyi, pierwszą troską ich nie jest uświadomienie sobie tego, co gdzieś widzieli lub słyszeli, faktów z własnego doświadczenia lub przykładów wziętych z otoczenia, ale przypomnienie tego, co kiedyś przeczytali, jakiejś cytaty, którą zdołali wyszperać wśród zdań pewnej liczby uznawanych i czczonych przez siebie powag. Miast badać rzeczywistość, komentują oni dzieła swych mistrzów, by z ułamków ich myśli, jak ongi z wyrażen biblii, opracowywać systematy całe i w nich szukać rozwiązania wszystkich zagadek.

Nie istnieje dla nich nic nowego pod słońcem, gdyż rozwój wypadków został podług nich dawno już przewidziany i opisany przez mistrzów. Zaszły fakt jakikolwiek nie pobudza ich do pracy myślowej, bo na wszystko mają gotowe już odpowiedzi, sięgają jedynie po zbiór przykazań swej wiary i, jak inżynier w notesie danych matematycznych, tak oni szukają tam formułki, pod którą dałoby się dane zjawisko podciągnąć. Każda wątpliwość jest dla nich rozstrzygnięta, najzawilsze kwestye rozcinają jednym cięciem miecza. Cały bowiem swój światopogląd zmieścili w popularnym i nadzwyczaj uproszczonym systemie, gdzie wszystko wypływa jedno z drugiego, jest logiczne, jasne, zwarte, a zwłaszcza tak niesłychanie proste, gdzie każda rzecz leży w odpowiedniej szufladce, tak, że dość tę ostatnią wysunąć, by znaleźć żądane rozwiązanie. A że tam ten uproszczony system nie zawsze staje w zgodzie z życiem, które jest zawile, trudne do zrozumienia i nie daje się ułożyć w żadne sztuczne przegródki, to któżby tam dbał o takie drobnostki.

Nakładają sobie specjalne szkła na oczy, by widzieć wszystko w jednym kolorze, wołają karykaturować rzeczywistość, byle uchronić całość formułek, bo nie one do życia, lecz życie do nich stosować się powinno. Raz wytknąwszy sobie kierunek, trzymają się go już przez całe życie. Błądząc po manowcach, wyobrażają sobie, że kroczą szerokim gościńcem, nie czują, że co krok potykają się o kamienie, wpadają w doły, lecz jak ślepi idą wprost przed siebie, nie oglądając się wcale dookoła. Nic nie może zachwiać ich przekonań, gdyż zamykają oni oczy na najoczywist-

sze prawdy; najcięższe argumenty odbijają się, nie zostawiając nawet skaz, od twardego i grubego pancerza doktryny, w który się zakuwają od stóp do głów; wątpliwość nie znajduje nigdy drogi do ich duszy. Obojętnym jest dla nich, gdy nauka, rozwijając się dalej, przechodzi do porządku dziennego nad ich teoryami i obala jeden po drugim te filary, na których opierało się sklepienie tych ostatnich. Praca cała ich wówczas polega li tylko na wyszukiwaniu przyczyn, dla których dzisiejsi uczeni odwrócili się od głoszonych przez nich prawd, na obrzuceniu ich błotem i podsuwaniu im nawet niecnym intencjom fałszowania wyników badań dla własnego interesu. Walczyć z nimi logiką nie sposób, bo okazuje się ona tu tępym narzędziem: gdzie gra rolę wiara, owa bezgraniczna ufność w słuszność swych haseł, tam rozumowaniem nie poradzić nie można.

Dlatego to w parze z ciasnotą idzie fanatyzm. Uważają doktrynierzy, że jeśli kto im przeczy, ośmiela się tem samem świętokradzką dłońią targać na to, co oni czczą, jako świętość. Stąd ta niesłychana zaciekłość, z jaką się rzucają na każdego, nie podzielającego ich zdania, ta straszna nietolerancya, jaką się odznaczają. Co się nie mieści w ściśle oparkanionej zagrodzie ich pojęć, uważają za niepotrzebne i nie mające racji bytu, obawiają się, by nie stało się dla nich wrogiem i nie urosło w niebezpieczną siłę. Wolał zawczasu uprzędzić podobny wynik i odrazu zajmują względem wszystkiego, co się po za promieniami ich krótkowidztwa dzieje, stanowisko skrajnie nieprzyjazne i niechętne, starają się zdusić wszelką inicjatywę postronną w tych dziedzinach, które uważają za niepodzielny teren swego panowania. Nie zaginął jeszcze ród Omarów, podkładających bez najmniejszego wzruszenia ogień pod wspaniałe biblioteki aleksandryjskie, na zasadzie historycznych słów: „jeśli księgi te zawierają w sobie to, co jest w Koranie, są one zbyt cenne, jeśli zaś mówią o tem, czego tam nie ma, są one szkodliwe.“

Działalność ich cechuje bezwzględność zimna i okrutna: wpatrzeni w migotliwe blaski sztucznych miraży, nie zwracają na to uwagi, że depczą nogami pokryte bujnym plonem niwy, niszczą owoc ciężkich prac i zabiegów licznych rzeszy. Nie żał im ofiar, niech giną tysiące pod kołami miażdżącego rydwanu ich idei, byle ten ostatni naprzód się posuwał, niech wody od krwi na czerwono się zabarwią, byle tylko zatryumfowała ich zasada.

Oderwani od życia za młodu, nie mieli możności zdobycia poczucia realizmu, rzeczywistość nie kładła kresu ich marzeniom, chłodny wiatr przeciwnieństw życiowych nie mroził ich szerokich

porywów, nie targał w strzępy z omamień utkanej zasłony, oddzielającej ich od świata. To też porywa ich pierwsza lepsza utopia, która roztoczyła przed nimi malowane tęcze swych szat, idą olśnieni za nią w krainę mieniących się złud, spoczywają na różnanych obłokach górnołotnych haseł, śnią złote sny o wiecznej szczęśliwości w przyszłym idealnym ustroju.

Goniąc za utopijnymi celami, poświęcają dla nich bez wahania najbardziej żywotne interesy kraju, gotowi są narazić go na niepowetowane straty, sprowadzić nań klęski najgorsze i niedole, o ile tylko spodziewają się, że z tego odniesie jakąkolwiek bądź korzyść ich doktryna. Jak marnotrawni synowie, szafują dobytkiem narodowym, nie znając jego ceny i marnując go na próżno dla nieziszczalnych urojeń.

Pracę nad polepszeniem terażniejszych stosunków uważa wielu z nich za niepotrzebną, reformy odkładają aż do czasu wprowadzenia idealnego ustroju, kiedy za jednym zamachem zniesioną zostanie wszelka niesprawiedliwość i nastąpi ogólna, wszechstronna poprawa bytu. Usiłowania w tym kierunku już obecnie nazywają oni marną łataniną zbutwiałego systemu, sztucznem podtrzymywaniem rozpadających się ruin, napadają na nie, jako na opóźniające tylko narodziny nowego porządku rzeczy.

Większość jednak przeważną ściągą z niebotycznych wyżyn na padół ziemski gwałtownem szarpnięciem twarda ręka losu, wielkie plany rozbijają się jeden po drugim o rafy podwodne nieprzewidzianych przeszkód, zostawiając po sobie tylko pianę na powierzchni, wicher rozwiewa kwietne puchy złudzeń, szron warzy resztki marzeń.

Część nabiera wobec tego wstępu dla wszelkich zabiegów życiowych, które wydają się im niskimi i poziomymi, wytwarza sobie własny oderwany świat sentymentów, przesycony sztuczną atmosferą wykwintu i piękna, gdzie swobodnie szybować może ich fantazya podbudzona, i chroni się tam przed wszelkiem zetknięciem z rzeczywistością, by nie urazić czasem przeczulonych nerwów o jej szorstką i chropawą powłokę. Nie widzą oni i nie chcą widzieć niedoli i nizin, bo psuje im to piękną harmonię, odrywa od spokojnego marzycielstwa. Zakrywają twarze dłońmi, by oszczędzić sobie widoku łez, zatykają uszy, by ich jęk jaki czasem nie doszedł.

Najwięcej zaś jest takich, co zniechęciwszy się przy pierwszych stawianych krokach i zmierzywszy całą nieprzebytą przepaść pomiędzy swymi pragnieniami a realnymi warunkami, uogólniają doświadczone rozczarowanie na każdą bez wyjątku ideę

i tracą wszelki polot. Ideały, zdaniem ich, to mrzonki, w które wierzą tylko naiwni, ale w życiu są one niepotrzebnym balastem, utrudniającym i tak już ciężką walkę o byt. Poświęcenie dla jakichś nieuchwytnych zadań dowodzi, podług nich, głupoty, z której jaknajprędzej otrząsać się potrzeba. Brutalnie burzą oni gmach swych uczuć i myśli młodzieńczych, śmieją się z tego, co czcili dotychczas, i duszą całą oddają się karyerze. Poza interesem osobistym nie już ich poruszyć nie zdoła, stają się bezwzględnyimi egoistami, pasożytami społecznymi, niosącymi z sobą zarazę moralną.

Wszyscy zaś oni bez wyjątku przeciwstawiają siebie społeczeństwu, uważając się za ulepionych, jak gdyby z innej gliny. Wdrapując się na szczytła własnej wyobraźni, sądzą, że się wznieśli na jakieś wyżyny, skąd mogą z góry patrzeć na tłum. Nie mając często żadnych danych po temu, pomiatają ludźmi prawdziwie zasłużonymi, którym nie są właściwie godni rzemyka u stóp rozwiązać. Pochodzi to stąd, iż społeczeństwo nie chce przyjmować nieomal gwałtem narzucanych przez nich obcych tendencyj, uważają przeto, że nie dorosło ono jeszcze do ich pojmowania, że jest niedojrzałe i mało kulturalne. Na każdym kroku stając w sprzeczności z otoczeniem, wyodrębniają się zeń zupełnie, formując jakąś oddzielną, zupełnie odciętą kastę, zasklepioną w sobie, jakieś wpatrzone w siebie kółka wzajemnej adoracyi, okurzające się dymem kadzideł, a pełne pogardy dla reszty. Nie stanowią części składowej społeczeństwa, ale traktują je, jako coś zewnętrznego, mówią o niem, jako o czemś zupełnie dla nich obcem. Dlatego też krytyka ich nie jest prześląknięta bólem serdecznym nad stanem kraju, ale przeciwnie, zieje jakąś dziwną nienawiścią prawie, wyziera z niej wprost lubowanie się w oczernianiu i wyszukiwaniu ciemnych stron, co ma tylko chyba na celu wykazanie, że przed nimi i poza nimi nie właściwie dobrego nie istniało i nie istnieje.

Brak realizmu i nieprzyzwyczajenie do wcielania swych poglądów w życie, ma jeszcze za rezultat to, że wprowadza obalamowanie opinii, co do istotnej wartości ludzi i wygłaszanych przez nich poglądów. Sztuczna zasłona przykrywa przepaść, oddzielającą słowa od czynów, wytarte liczmany sprytniej blagi i efekciarskiej pozy idą w obieg, jako cenne monety ze szlachetnego kruszcu wybite, rozszerza się duszna atmosfera fałszu i obłudy. Zatraca się poczucie, że wygłaszane opinie do czegoś zobowiązują, a nie są jedynie zwrotami retorycznymi, krasomówczemi ozdobami szumnie przedeklamowanej mówki. Przekonania stają się ja-

kąs szatą odświętną, którą się wdziewa jedynie na wielkie uroczystości, by się popisać publicznie, a przyszedłszy do domu, wiesza się ją na kołku, by nie krępowała ruchów przy codziennem jej używaniu.

W ciągłym rozkołysaniu jest pusty i gromki dzwon frazesów, luczy on, zagłuszając szmery cichej, lecz doniosłej pracy. Droga czynów staje się ciernistą i uciążliwą, zarasta nawet powoli zupełnie dzikimi głógami, gdyż coraz mniej znajduje się takich, co mają ochotę i wytrwałość nią kroczyć. Stępiwszy sobie wzrok przy blasku sztucznych ogni bengalskich, zapalanych przez zręcznych sztukmistrzów słowa, wsłuchany w trzask raket, pękających w gorącej atmosferze wiecowej, tłum staje się ślepy na poważną działalność skromnych pracowników, staje się głuchym na dobitną wymowę realnych faktów.

Zatraca się całkiem świadomość granic możliwości, zanika gdzieś przedział między twardą rzeczywistością, a lotnym światem pragnień, najniedorzeczniejsze hasła znajdują posłuch i pozyskują zwolenników. Rozsiada się i panoszy wszędzie wstrętna demagogia, ustrojona w barwne pstre piórka. Rej wodzą marni krzykacze. Im głośniej kto bije we wrzaskliwy bęben frazesu, schlebając niskim instynktom tłumu, tem głębszą ma rację i żywszy poklask, im dalej idącą i jaskrawszą rezolucję postawi, tem większą popularność zyskuje. Odbywa się jakiś straszny wyścig wzajemnego przelicytowywania się na frazesy, coraz to nowe bożki spychają stare, bo tłum zepsuty coraz silniejszych wrażeń się domaga. A tymczasem ciągle smagane przez dzikich woźniców konie unoszą we wściekłym pędzie wóz publiczny, który klekocze, podskakuje, rozbija się o kamienie, gwałtownie stacza na łeb na szyję w dół, ku przepaści, gdzie w końcu w kawały się może rozlecieć.

\*

\*

\*

Pod jednym jeszcze względem zagranica fatalnie działa na naszą młodzież, mianowicie obniża ogromnie poziom jej ideowy i wszczepia w duszę jad poziomego i płaskiego zmateryalizowania.

W tym kierunku daje się znaki już samo to, że przyzwyczajają się ludzie przez długi czas korzystać ze wszystkich udo-

godnień kultury, nie w zamian od siebie nie dając. Jak ptaki niebieskie, żyją oni z cudzych plonów, niczem się nieprzyczyniając do ich wytworzenia, nie biorąc żadnego udziału w usilnej pracy otaczającego społeczeństwa, które obficie swym potem użyźniać musiało ugory, zanim zamieniło je w kwitnące pola. Nie rozumieją oni przeważnie, ile to zabiegów i znoju kosztuje najdrobniejszy krok naprzód w rozwoju kultury, jakie piętzące się trudności przytem trzeba przewycięzać, lecz przychodzą do gotowego, wybrednie jeszcze przebierając, coby mogło zadowolić ich wybujałe wymagania. Wyrabia się w nich przekonanie, że wszystko to tak powinno być, że społeczeństwo obowiązane jest dostarczyć im tego, czego potrzebują, bo to się im z prawa należy bez żadnych z ich strony ofiar lub wysiłków. Natomiast sami nie poczuwają się bynajmniej do jakichkolwiek obowiązków względem swego kraju. Wytwarza się stosunek taki, że wszystkiego się żąda od społeczeństwa, a wzamian nic mu się nie daje.

Stokroć silniej jeszcze działa na wrażliwą duszę młodzieńczą całe życie Zachodu, na wskroś przesiąknięte grubym materializmem, owo powszechne dążenie do życia za wszelką cenę, ów brutalny egoizm, z jakim się tam każdy naprzód przepycha, nie bacząc, że szturcha i przewraca innych po drodze. Opaśli filistrzy, których sadło, jak najlepszy pancerz, chroni od wszelkich podnioslejszych wzruszeń, nadają ton życiu, przytłaczając wszystko ku ziemi. Każdy drepcze w ciasnym kole codziennych drobiazgów, urastających do rozmiarów jakichś poważnych wydarzeń, napawa się błogim spokojem, którego nie zakłócają żadne śmielsze dążności, żadne wyższe pragnienia, i szczyci się poziomością swych zapatrywań, jako zadatką zdrowia moralnego. Brak jakichkolwiek ideałów, któreby nadawały głębsze znaczenie krzątaniu dnia, wskazywały ogólniejszy cel, przyświecający pracy. Karyera—oto jedyne magiczne słowo, mające moc poruszenia tych warstw, wlewające świeży zapas energii w ich żyły, potęgujące niebywale napięcie ich mięśni i sił.

Jeśli taki stan rzeczy jest szkodliwy na Zachodzie, to dla nas stanowi on kwestyę życia lub śmierci. Społeczeństwo zagranicą może zachowywać się wobec wielu spraw biernie, może nie dbać o wiele żywotnych swych interesów, bo na straży ich zawsze stać będą powołane do tego organy jego. U nas cały ciężar tych obowiązków spada na barki samego społeczeństwa, ono musi samodzielnie o swych potrzebach myśleć i własnymi siłami je zadowalać. Dla biernych miejsca niema i nie mówiąc już o posuwaniu się naprzód, ale chwilowe nawet opuszczenie rąk grozi utratą

zajmowanego stanowiska. Ciężkie położenie wymaga większych ofiar ze strony społeczeństwa, większego zapału i poświęcenia, większego oddawania się sprawie publicznej, możliwie wszechstronnego wyzyskania wszelkich zdolności i wyteżenia wszystkich sił, jakie tylko osiągnąć się dadzą. Wstępujące w życie młode pokolenie nasze musi być przejęte innymi zasadami, musi być wdrożone do twardych obowiązków publicznych, musi być ożywione ideą pracy dla dobra powszechnego, musi umieć poświęcać dlań osobiste swe szczęście.

W Europie zajmowanie się sprawami społecznymi, toruje drogę do zaszczytów, służy wielu za szczeble do szybkiego wyniesienia się w górę, daje wpływ i znaczenie, wreszcie sławę i wawrzyny. U nas jest ono drogą ciernistą, na którą wstępują tylko ludzie dobrej woli, bo żadnych korzyści im ona nie da, a tylko straty osobiste przynieść może. Szeroko rozwinięte zagranicą życie polityczne samo wciąga ludzi, namacalnie przekonywując, jak dalece ich własny interes jest zależny od czynników politycznych, wskazując, jaki wpływ może mieć ich udział w działalności na zmianę tych ostatnich. Ostatecznie wreszcie wypełnianie niektórych obowiązków względem swego społeczeństwa jest przymusowem, tak, że każdy je wypełnia, czy ma chęć ku temu, czy nie. Upadek ideowości odbija się więc u nas tysiąc razy dotkliwiej, grożąc absolutną zagładą.

Jeśli kto za młodu, gdy serce jest gorętsze, a głowa zapalniejsza, nie przejmie się jakąś ideą, nie ukocha jej całą duszą, nie będzie się rwał, by dać jej szatę realną, ten w wieku późniejszym zostanie już napewno zimnym egoistą, czującym tylko na to, co go osobiście dotyczy.

Tymczasem młodzież naszą zagranicą nie może nie nęcić wesole, hulaszce życie tańszej studenteryi, trudno jej się oprzeć tej szumiącej i pieniającej się naokół werwą i namiętnością fali i mimowoli daje się ona jej pociągnąć, zapominając o wszystkim. Jedni wzorują się na burszach niemieckich i przyzwyczajają się spędzać dni i noce w knajpach przy kuflach piwa, drudzy uczą się rozpusty, marnując czas i zdrowie z gryzetskami francuskimi.

Studenterya zagranicą pochodzi wyłącznie z warstw zamożnych, to też nie żałuje sobie niczego i żyje na szeroką skalę, nie licząc się z groszem. Nasza młodzież w stosunkach z nią nabiera nawyknień do takiego życia, co zmusza ją do skupienia całej uwagi na to, by zdobyć odpowiednie ku temu środki, i nie pozwala na skierowanie sił do czegokolwiek innego.

Podobne marnowanie najlepszego okresu życia uznane zostało za zupełnie normalne i nie wzbudza żadnych protestów. Młodzież musi wyszumieć, tłumaczyć starsi i nie przychodzi im do głowy nawet, że tę żywotność i nadmiar energii, jaką posiadają ich synowie, możnaby przecież zużytkować na coś pożyteczniejszego.

Studenterya zagraniczna — to dzieci jeszcze, stosunkowo naiwnie patrzący na świat, nie rozumiejący jego treści; uic dziwnego więc, że myślą tylko o zabawie. Nie potrzebują się śpieszyć z dojrzewaniem umysłowym, bo kraj może czekać, aż okrzepną zupełnie ich siły, bo właściwie w życie wejdą oni dopiero po skończeniu studyów. U nas minął już co prawda bezpowrotnie na szczęście ten okres, kiedy ton życiu społecznemu nadawała młodzież, bo ona głównie myślała o sprawach publicznych, ale rolę pomocniczą zachowała ona dotychczas. I tę powinna pielęgnować i nieść zaszczytnie, bo zamienia ona dla niej szkołę obywatelską.

\*

\*

\*

Młodzież jednak studyująca zagranicą, odczuwa sama w pełnej mierze grożące jej niebezpieczeństwo. Dowodem tego jest ogólne dążenie z jej strony do wytworzenia sobie sztucznego życia polskiego przez skupianie się w odrębne kółka i zakładanie własnych instytucyj studenckich, tak, że teraz prawie wszędzie spotkać się możemy z polskimi stowarzyszeniami akademickimi.

Duże znaczenie ma również czytanie dzieł naszych wieszczów i myślicieli, które, wstrząsając potężnie umysłami i sercem, dają zbawienny pokarm narodowy.

Wiele pomaga utrzymywanie stałego związku z krajem przez częste komunikowanie się ze swoimi, przez stałe chociażby czytanie gazet i dzienników polskich, przez interesowanie się najdrobniejszymi nawet wypadkami, zachodzącymi w naszym społeczeństwie, przez zasięganie informacji o panującym w niem nastroju ogólnym i t. p.

Znaczną korzyść wreszcie przynieść mogą gruntowne i wszechstronne studia w dziedzinie nauk społecznych, byle tylko traktować je prawdziwie poważnie i poznawać dzieła uczonych, a nie wyłącznie popularne broszurki.



Są to jednak paliatywy, które nie zamienią nigdy tego wszechobejmującego i wszelkimi możliwymi drogami nawskroś przenikającego wpływu, jaki wywiera ciągła i bezpośrednia styczność ze swem społeczeństwem.

Ze wszystkiego, cośmy dotychczas mówili, nie wynika bynajmniej, byśmy się wyrzekali tego światła kultury, które po wsze czasy szło do nas z Europy, mieliśmy bowiem na myśli tylko młodzież. Zupełnie inaczej rzecz się cała przedstawia, gdy ktoś wyjeżdża zagranicę już po ukończeniu wyższego zakładu w kraju dla dopełnienia swego wykształcenia. Takie wyjazdy przeciwnie ze wszech miar korzyść przynieść mogą nietylko ze względów naukowych, ale też i ogólnie, gdyż wówczas w tych warunkach słabnie siła złych czynników, dobre zaś pozostają.

Człowiek z wyrobionym umysłem i charakterem, ustalonych poglądów i twardych przekonań, nie da się unieść wartkiemu potokowi cudzoziemszczyzny, potrafi płynąć przeciwko prądowi, nie zbłądzi na manowce doktrynerstwa, ominie zdradliwe wiry materializmu i powróci w zdrowiu, z bogaciwszy swe doświadczenie.

Zapoznanie się z kulturą zachodnią otworzy mu oczy na nasze braki, zobaczy on, do jakich rezultatów dojść można przy pracy, nauczy się, w jaki sposób trzeba dążyć do ich osiągnięcia, wyłuska zdrowe ziarno z błyszczących plew i wybierze to tylko, co znaleźć może w naszych warunkach szerokie zastosowanie i będzie dla nas rzeczywiście odpowiedniem.

Zbadanie stosunków społecznych tych narodów, które się już dalej posunęły od nas na drodze rozwoju, pozwoli wnikać głębiej w ich istotę. rzuci nowe światło na ich dotychczasowe pojmowanie, pozwoli skorzystać z doświadczenia innych, by przewidzieć kierunek, w jakim pójdzie i nasze społeczeństwo, i uniknąć uczynionych przez poprzedników błędów.

Przypatrzenie się cechom charakteru tak różnej od nas ludności Zachodu, jej zaletom, które dają jej pierwszeństwo przed nami, i wadom, od których musimy się uchronić, przyjrzenie się jej pojęciom i dążeniom, jej obyczajom i całemu układowi życia, toczącego się zupełnie odmiennym trybem, chroni od jednostronności, rozszerza ogromnie horyzonty, daje możność głębszych porównań, doprowadza do sprawiedliwej oceny rzeczy.

Ta jest jeszcze wygrana, że człowiek doświadczony nie potrzebuje tyle czasu tracić na próżno, by ogarnąć całokształt otaczających go stosunków, ale orientuje się szybciej w położeniu,

umie odrazu wynaleźć to, czego mu potrzeba. To też w ciągu roku lub dwóch skorzysta on bez porównania więcej, niż nie czujący jeszcze gruntu pod nogami i kroczący po omacku młodzieniec w ciągu całego swego kilkoletniego pobytu zagranicą.

Dlatego też, o ile całkowite odbywanie wyższych studyów zagranicą należy uznać za wysoce szkodliwe, o tyle znów należy gorąco popierać i starać się ułatwiać wyjazd tym, którzy dążą tam po ukończeniu nauk dla dopełnienia swego wykształcenia.

WACŁAW DUNIN.

# Józef Gołuchowski.

(Pierwszy pobyt w Warszawie. Pierwsza profesura).

Biografowie Gołuchowskiego w niemałym znajdują się kłopoty, gdy mają pisać o pierwszym jego pobycie w Warszawie, o studiach uniwersyteckich, o wycieczce za granicę przed objęciem katedry w uniwersytecie Wileńskim; dotkliwy bowiem brak danych, muszą zastępować podaniami, nie zawsze prawdziwymi, a często zawodnemi. Nawet taki poważny i krytyczny pisarz, jak Piotr Chmielowski, i ten zmuszony jest posiłkować się argumentami tego rodzaju: „jak chcą niektórzy,“ i t. p. Lecz, co dziwne, że prof. Chmielowski zanadto zaufał podaniom, w tych właśnie okolicznościach, gdy mógł je sprawdzić. „Sądząc z upodobań filozoficznych Gołuchowskiego, pisze Chmielowski <sup>1)</sup>, prawdopodobnem się wyda, iż oprócz przedmiotów obowiązkowych, słuchał także wykładów filozofii, zwłaszcza gdy w roku 1818 katedrę tę objął 34-letni Adam Ignacy Zabellewicz, nie orzeł wprawdzie, lecz człowiek rozumny, czytany i dobrze władający mową ojczystą.“ Bez względu na upodobanie, Gołuchowski jako uczeń prawa i administracyi, *był obowiązany* do wysłuchania kursu filozofii, jako przedmiotu głównego. Również nie ulega wątpliwości, że pierwszy rok słuchał wykładów Lindego (Zabellewicz, jako stypendysta, podróżował w celach naukowych po Europie), człowieka rozumnego, czytanego, ale powątpiewamy czy dobrze wykładającego po polsku.

<sup>1)</sup> Józef Gołuchowski. Filozofia i życie. Warszawa, 1903, ob. na str. VI.

„Pod koniec studyów uniwersyteckich... Gołuchowski przedstawił aż trzy rozprawy: filozoficzną po polsku, prawną i teologiczną po łacinie; za te łacińskie otrzymał dwa medale.“<sup>1)</sup>

Rzeczywiście Gołuchowski pisał i przedstawił trzy rozprawy, lecz *wszystkie* po łacinie. Teologiczna i prawna premiowane; filologiczna nie premiowana. Rozprawy na temat podany przez Wydział filozoficzny (po polsku) — Gołuchowski nie pisał. Poniżej podamy tytuły wszystkich tych rozpraw.

„Zostawszy nauczycielem w liceum warszawskim r. 1820, wykładał tu prawo natury (mój kursyw), ale nie długo“. Łatwo sprawdzić, że Gołuchowski w liceum warszawskim nie wykładał prawa natury, bo takiej katedry nie było; jak również, że był tylko korepetytorem w liceum. Natomiast jest pewność wszelka, że prawo natury wykładał w uniwersytecie Królewskim, jako magister legens. Nie czekając na rezultat konkursu do katedry filozofii w Wilnie, wyjechał za granicę dla dalszych studyów — a przed wyjazdem, jak się to niżej okaże, zabiegał, aby za powrotem do Warszawy, zajmowana dotychczas przez niego katedra, była mu powróconą. W obec tego, dowodzenie prof. Chmielowskiego, że: „Zawiadomiony przez rektora, Józefa Twardowskiego (sic), o postanowieniu Senatu, Gołuchowski wybrał się rzeczywiście w podróż, ale nie do Anglii, tylko na stały ład europejski“ — nie może się utrzymać. Również nie może się utrzymać przypuszczenie prof. Chmielowskiego, że minister Grabowski bardzo pochlebnie o Gołuchowskim opinię przesłał do Petersburga, polegając na „zdaniu filozofa Józefa Kalasantego Szaniawskiego, pełniącego wówczas obowiązki dyrektora wychowania i prezesa cenzury.“<sup>2)</sup> Nie, nie na tem zdaniu polegał Grabowski, lecz na opinii rektora Uniwersytetu.

„Czy po ukończeniu Theresianum Gołuchowski wrócił zaraz do kraju, czy też studyował jeszcze, zresztą bardzo krótko, w uniwersytecie heidelberskim, *jak chcą niektórzy* biografowie, podający, że tam jakoby otrzymał stopień doktora filozofii, nie wiadomo na pewno.“<sup>3)</sup> Otóż sam Gołuchowski, wbrew swym biografom, utrzymuje, że w Heidelbergu nie był wcale, lecz wprost z Wiednia, z Theresianum do Warszawy przybył.

1) l. c. VII.

2) l. c. XI.

3) l. c. VI.

Ażeby przyszłych biografów Gołuchowskiego wybawić z kłopotu, odnośnie przywiedzionej w tytule epoki z życia naszego filozofa, podaję w wierzytelnym odpisie, z autografów, te szczególności, które nie były dotychczas znane szerszej publiczności, a które zastępowano omówieniami, lub zawodnem podaniem.

\*

\*

\*

Przed otworzeniem Uniwersytetu Królewskiego w Warszawie, lecz już po otrzymaniu dyplomu królewskiego, zatwierdzającego Uniwersytet — Komisya oświecenia obwieściła w gazetach miejscowych i zagranicznych o wakujących katedrach. Posypały się oferty przeróżne, niektórzy zjechali nawet do Warszawy, aby osobiście popierać swą kandydaturę. Do tych ostatnich należał Gołuchowski. Wystosował do Komisji rządowej następujące podanie:

„Wysoka Komissyo Wydziałów Religijnych  
i Oświecenia Publicznego!

Nizej podpisany, dowiedziawszy się o zawakowaniu Katedry pośredniej Matematyki w tutejszem Uniwersytecie, pragnąc bydz użytecznym oyczystemu Krajowi, przybyłem tu z Wiednia. Racz Wysoka Komissyo Oświecenia wyznaczyć członków do wyexaminowania mnie; a ieśli zdołam przed niemi dowieść, że posiadam zdatność odpowiadającą chęci poświęcenia się dla użytku Krajowej młodzieży i posiadania tego miejsca z chwałą dla narodu, wtedy upraszam, aby mi powiezione zostało. Przyczem ośmielam się odwołać do załączonych tu moich zaświadczeń i niektórych słabych produktów moiej pracy w niemieckiem języku, które składam w dowód ciągłego oddania się naukom. Wysoka Komissya Oświecenia zechce więc łaskawie przyjąć pod Lit.:

A. Zaświadczenia w liczbie 12.

B. Ansicht des Einflusses der Mathematik auf die Bildung des Menschen, welche bei Gelegenheit einer besonderen und strengeren Prüfung aus dieser Wissenschaft. Wien 1816 in 8-o.

Rozprawa o wpływie matematyki na kulturę człowieka, wydana przez nizej podpisanego z powodu ścisłego egzaminu z niższej i z wyższej Matematyki złożonego w obecności wyznaczono-

nych Cesarskich Komisarzów przed IM-ci Panem Lindner, Kapitanem sławnym matematykiem i najpierwszym Profesorem Korpusu Artylleryi w roku 1816. Po odbyciu tegoż niżej podpisany od N. Cesarza Dekret pochwały i nadzwyczajną pensją w nagrodę otrzymał.

C. Skizzen einer Reise nach Konstantinopel etc. Pesth, 1817. Podróż do Konstantynopola ułożona i wydana przez niżej podpisanego z udzielonych materyałów Barona Stürmer, 1817. Na końcu znajduje się obrachowanie sferyczno-trygonometryczne odległości Konstantynopola od Wiednia.

Dan w Warszawie, d. 12-go Września 1817.

Józef Gołuchowski (m. pp.)

mieszka przy ulicy Ś-to Jerska pod № 1773.“

Powyższe podanie przesłano do Rady Ogólnej Uniwersytetu. Opinia Rady była lakoniczną: w Uniwersytecie miejsca nie ma. Staszic własnoręcznie napisał: „Złoży dowody swojej umiejętności w Naukach Matematycznych przed Towarzystwem elementarnem—Staszic.“

#### Protokół Examinu IPana Józefa Gołuchowskiego.

„Dnia 20 września 1817 r., stawił się w Towarzystwie Elementarnem dla złożenia examinu IPan Józef Gołuchowski. Rodził się w Łączkach w Tarnowskim Cyrkule r. 1794 w dziedzictwie Rodziców, którzy już nie żyją. Początek edukacji swojej odebrał w Pińczu w szkole normalnej, a ztamtąd udał się do Wiednia 1809 r. *i tam ciągle aż dotąd* (mój kursyw) *uczył się* w Akademii Terezyańskiej, zostając na koszcie Rządowym. Z Wiednia przyjechał do Warszawy, końcem otrzymania w tutejszym Uniwersytecie katedry Matematyki szredniej. Głównemi przedmiotami jego są: Matematyka, Fizyka, Filozofia i Historia; a z języków: łaciński, niemiecki i po części grecki.

#### Zdanie Towarzystwa Elementarnego.

IPan Gołuchowski okazał niepospolitą zdatność i znaczny w niej postęp, jak się to widzieć dało z odpowiedzi jego na czynione mu zapytania z Algebry wyższej, z Trygonometrii prostokreślnej i kulistej i, z teorii linii krzywych drugiego rzędu, których własności za pomocą rachunku dyferencyalnego wyprowadzał, przyczem okazał znaczną wprawę i zręczność w działaniach algebraicznych. Gdy się jednak zabiera do stanu nauczycielskiego, życzyć mu potrzeba: 1-o, ażeby oswoił się z Matematyką w języku Polskim,

gdyż ją teraz po łacinie tylko i po niemiecku wykładać może; 2-o, ażeby sobie przypomniał najważniejsze wiadomości z Matematyki początkowej, osobliwie z Algiebry; po 3-e, ażeby wziął się do czytania dzieł obszerniej wykładających Matematykę niż jest w krótkim zbiorze Wegi, który jeden tylko jest mu znajomy; po 4-e, ażeby starał się poznać metody późniejsze, podług których najważniejsze dzieła matematyki czystej i stosowanej są napisane.

Co do filozofii okazał, że dobrze jest obeznanym z teraźniejszym jej stanem, mianowicie w Niemczech północnych; co tym więcej jest do zadziwienia, gdy tyle lat w Wiedniu bawił, a zatem on tę znajomość winien własnemu czytaniu; schodzi mu zaś na wiadomości dawniejszych systemów, to jest na historii filozofii. W tych umiejętnościach, jak łatwo sobie wystawić można, większą ma jeszcze trudność w tłumaczeniu się językiem polskim, niżeli w umiejętnościach matematycznych.

Zwraca się podanie jego do Komisji Rządowej Oświecenia, przy którym znajdują się zaświadczenia Akademii Terezyańskiej w liczbie 12 i dwie książki przez IP. Gołuchowskiego w niemieckim języku wydane.

(Podpisano) Linde, prezes Towarzy. X. Kamieński,  
X. Szweykowski, X. Bystrzycki, E.  
Czarnecki, X. Dąbrowski, Armiński  
(do egzaminu zaproszony).

Na powyższym protokóle, Staszic napisał: „Komunikuje się W-mu Rektorowi Linde, czyliby P. Gołuchowski mógł być użytym w Liceum.“ „Opinia — Zdaje się, iż byłoby lepiej kandydata wprzód umieścić przy jakiej szkole wojewódzkiej, np. Płockiej. Linde.“

Do IP. Gołuchowskiego (11. X. 1817 № 3597).

Zapatrując się tak na załączone tu dowody kwalifikacyi IP. Gołuchowskiego, jako też na protokół odbytego przezeń egzaminu, i chcąc Mu podać sposobność do usług publicznych w zawodzie nauczycielskim, proponuje Mu zastępstwo Profesora w Szkole Wojewódzkiej Płockiej z pensją roczną złotych pols. Dwa tysiące i rychłej oczekuje Deklaracyi.

Minister Prezydujący *S. Potocki*.

Na powyższe odpowiedział Gołuchowski:

Wysoka Komissyo Wyznań Religijnych  
i Oświecenia Publicznego.

„Dziękując Wysokiej Komisji za daną mi pod dniem 11-go 8-bris 1817 wysoką rezolucyę, mam honor na Jej żądanie względem moiego deklarowania się z głębokiem uszanowaniem odpowiedzieć, iż powodowany zawsze winnem przywiązaniem do Ziemi Oczystey, starałem się ciągle i z największem natężeniem przysposobić się do iey usług, lecz w wyższem zawodzie. Odprawione częste za granicą popisy i szczęśliwie tamże zieduany sobie szacunek, wzbudziły we mnie tę przyjemną ufność, że przy założeniu tutejszego Uniwersytetu pożądana dla mnie nadeszła chwila. Porzuciwszy więc korzystniejsze za granicą widoki i majątek, przybyłem tu w tem celu, abym stając się użytecznym młodzieży Kraiowej, mógł oraz w Stolicy znaleźć i dla siebie sposobność poświęcenia się literaturze narodowej. Racz przeto Wysoka Komissyo wejść w tę okoliczność, a oraz łaskawie przekonać się, że ani zastępstwo Profesora w iakieykolwiekbydz Szkole Wojewódzkiej moim zamiarom nie odpowiada, ani też pensya 2,000 zł. pol. na utrzymanie się w moiem położeniu nie jest wystarczającą.

W Warszawie 19-go 8-bris 1817.

Józef Gołuchowski. (m. pp.)

\*

\*

\*

W chwili gdy Gołuchowskiemu proponowała komisya rządowa zastępstwo profesora w Płocku, on był już uczniem Uniwersytetu na Wydziale Prawa i Administracyi. W Albumie uczniów stałych, a zatem matrykulowanych, zapisany jest pod datą 15 września. Jeżeli się urodził w r. 1794, jak zaznaczono w protokule Towarzystwa Elementarnego, nie mógł mieć 24 lat w chwili gdy się zapisywał do uniwersytetu, a tyle jest podane. Chmielewski podaje datę urodzenia 11 kwietnia 1797 roku — miałby więc wówczas tylko lat 20, a co mniej więcej jest prawdopodobniejszem, albowiem 11-o letnim odwieziony został do Theresianum, a lat przeszło 8 tam przebywał, i wreszcie do Warszawy przybył — to się więcej zgadza z rzeczywistością, ale rektor Szweykowski sam wpisywał magistra w odpowiednią księgę i wyraźnie 27 lat zapisał. Powrócimy jeszcze do tego przedmiotu.



Po roku studyów, przy egzaminie przejściowym otrzymał jeden tylko stopień mierny z chemii. Zaznaczyliśmy wyżej, że Chmielowski zanadto zaufał podaniu, utrzymując, jakoby wykłady Zubelewicza, który w r. 1818 jeszcze Zabellewiczem się nazywał, zachęciły Gołuchowskiego do uczęszczania na wykłady nie obowiązujące go — filozofii. Wyżej podaliśmy, że wykłady te obowiązywały prawników; obecnie wyjaśniamy, że Gołuchowski, który nie mógł się pogodzić z tą myślą, że go katedra ominęła, przedsiębrał starania, aby pozyskać prywatną docenturę przy Uniwersytecie, a równocześnie studyować prawo. Oto odnośne jego podanie:

Wysoka Komisya Wyznań Religijnych  
i Oświecenia Publicznego.

Niżej podpisany czując w sobie szczególniejszy zapal do Filozofii (do której umiejętności nie bez postępów się przykładalem) i powodowany szczerą chęcią przez ten czas, który tu jeszcze mam przebywać, współrodakom stać się użytecznym, zanoszę prośbę do Wysokiej Komisji Wyzn. Relig. i Ośw. Publ., ażeby mi pozwoliła w dni niedzielne, lub jakiegokolwiek inne, wykładać w sali jakiej Uniwersytetu bezpłatnie, licznym amatorom odemnie tego żądającym: *Krótki zbiór systemów filozoficznych, takież władz umysłowych i logikę*, według Ghannera, Kruga lub Griesa. Mam nadzieję, iż Wysoka Komisya raczy się łaskawie przychylić do życzenia niżej podpisanego i tylu osób, których to obchodzi, tembardziej, że ani o tytuł profesora, ani o prerogatywy jakieby temu urzędowi służyć mogły, prosić nie ośmielam się, lecz bez względu na wszelkie zyski z czystej miłości do wymienionej nauki, i w celu odpowiedzenia zaufaniu, jakie niektóre osoby we mnie położyły, niniejszy krok czynię.

W Warszawie dnia 3 listopada 1818 roku.

Józef Gołuchowski  
mieszkający przy ulicy Długiej № 585, na drugim piętrze.

Rada Królewskiego Warszawskiego Uniwersytetu na powyższe przełożenie do Komisji rządowej na ręce Rady złożone, odpowiedziała iż prelekcji Gołuchowskiemu pod żadnym względem, w podaniu swoim wyrażonem, dawać nie może: ani widzi potrzeby Rada Królewskiego Uniwersytetu przełożenie w tej mierze czynić do wyższej władzy dla uzyskania żądanego pozwolenia.

(9 XI 1818).

Rektor prezydujący X. W. Szwejkowski.

Rada Uniwersytetu była w swem prawie niedopuszczając do publicznych wykładów Gołuchowskiego. W § 46 Statutu pierwszego a 4 § lit. b, Statutu drugiego z r. 1821, przed pół rokiem zaledwie przyjętego, wyraźnie powiedziano: „Nie może być odtąd profesorem przybranym (w dzisiejszem znaczeniu docent) ani upoważnionym (docent prywatny) kto niema przynajmniej stopnia Magisterii.“ Gołuchowski żadnego stopnia nie miał, mimo, że przechowała się aż do dnia dzisiejszego legenda, że przed przybyciem do Warszawy, doktoryzował się w Heidelbergu i jak powiada Chmielowski <sup>1)</sup> tam napisał rozprawę o Rzeczypospolitej Platona. Gdyby Gołuchowski miał jakiś stopień naukowy, gdyby miał coś więcej do zakomunikowania nad wspomniane powyżej dwie rozprawki niemieckie—byłby o tem wszystkim napisał, poddając się, jako kandydat do profesury Uniwersyteckiej, egzaminowi w Towarzystwie elementarnem. Potwierdza to w zupełności przełożenie Gołuchowskiego, które niżej podamy, że ani stopnia naukowego nie miał, przybywając do Warszawy, ani o Rzeczypospolitej Platona nie pisał.

\*

\*

\*

Związkom młodzieży akademickiej w Warszawie, poświęciliśmy specjalną rozprawę, a „Kwartalnik historyczny“ wydrukował ją w r. 1904. Otóż dużo miejsca poświęcam w niej Gołuchowskiemu, jako inicjatorowi i organizatorowi stowarzyszeń ściśle naukowych, które on nazywał: *Towarzystwo akademickie czcicieli nauk*. I nazwa Towarzystwa i czas powstania, na początku 1819 roku i duch Statutu owego Towarzystwa, który Gołuchowski własnoręcznie napisał, a rektor Szwejkowski potwierdził — naprowadziły mnie na myśl, że w tej organizacyi czynny przyjmować mógł udział Lelewel, niedawno przybyły z Wilna do uniwersytetu, znany przyjaciel młodzieży akademickiej i inicjator *Towarzystwa doskonalącej się młodzieży*, które za czasów jego studenckich założone było w Wilnie, a w szczegółach nawet przypominające „Towarzystwo“ Gołuchowskiego. Nie cofam i obecnie tego przypuszczenia, chociaż z tego co dotychczas mówiłem o Gołuchowskim, łatwo wywnioskować, że on sam, bez pobudki postronnej, był zdolnym

<sup>1)</sup> l. c. VII.

do inicjatywy; był ogromnie żądnym wypowiedania się publicznie, z katedry, a owe Towarzystwo właśnie do tego najwyborniej się nadawało. Kto zechce bliżej zapoznać się z tą stroną działalności jednego z najlepszych uczniów Warszawskiego Uniwersytetu, ten niech przeczyta wzmiankowaną rozprawę o związkach akademików w Warszawie.

\*

\*

\*

Dla zachęcenia młodzieży akademickiej „do szlachetnej emulacyi w rozwijaniu swoich wiadomości na piśmie,“ wszystkie wydziały uniwersytetu, ogłosiły w r. 1819 tematy do rozpraw konkursowych, nagradzanych złotymi medalami. Pierwsze rozstrzygnięcie konkursu odbyło się 20 stycznia 1820 roku. Gołuchowski przedstawił trzy rozprawy.

1) *Discrimen quod intercedit Christianam inter atque Philosophicam virtutem*. Rkps, 4-o, pismo bardzo ściśle, str. 32. Autor podaje przedewszystkiem *Virtutis definitio* (1—4), następnie mówi o „*Principium morale quoad rationem cognoscendi* (4—8); *principium morale quoad rationem essendi* (8—14); „*principium morale Theologicum*“ (14—22); „*de moralitatis elatere*“ <sup>1)</sup> (23—26), „*Discrimen philosophicam inter et Christianam virtutem*“ (27—32). Temat ogłosił Wydział teologiczny; nagrodę drugą, czyli medal złoty mniejszy, otrzymał Gołuchowski.

2) *Ordo quem Justinianus in Libro Institutionum secutus est synoptice expositus, et ratio hujus ordinis reddita; Indicata simul breviter et ea quae omissa in Libro Institutionum traduntur ab Imperatore in uberioribus Codicibus Pandectarum, codicis repetitae praelectionis et Novellarum Constitutionum*. Rkps. in 4-to, pismo bardzo ściśle, str. 366.

Treść: „*Praecognita*“ (str. 1—17), „*Prooemium Institutionum. Institutionum Liber primus*“ (17—89), „*Institutionum Liber Secundus*“ (89—184), „*Institutionum Liber Tertius*“ (185—277), „*Institutionum Liber Quartus*“ (278—366).

---

<sup>1)</sup> Wyraz niezrozumiały. Tak jednak jest wyraźnie w rękopisie. Może ma być: *elatione*?

Wydział Prawa i Administracji przyznał tej rozprawie 15 września 1820 roku nagrodę pierwszą.

3) *Vocabula Juris Pontificii collecta et illustrata*. Rkps. in 4-to, pismo ścisłe str. 75.

Temat do tej rozprawy podał Wydziałowi Nauk i Sztuk piękných profesor filologii Zinserling. Rozprawa ta nie była premiowaną. Nagrodę mniejszą otrzymał Jan Nepomucen Karwowski, a pochwałę Leopold Sumiński.

Przed przystąpieniem do egzaminu całokursowego na stopień magistra, Gołuchowski stosownie do Statutu, musiał złożyć rozprawę na zadany temat przez Wydział. Ponieważ ubiegał się o stopień magistra i prawa i administracji, pisał dwie rozprawy.

Pierwsza rozprawa: *Querelae inofficiosi Testamenti consideratae secundum Jus vetus et novissimum Romanum*. Cenzorem był dziekan Bandtkie, i rozprawę uznał za wzorową. Pod względem języka nie znalazł uchybień żadnych, co było rzadkością nadzwyczajną na Wydziale prawa i administracji. Rozprawa druga: Naukę finansową czy utworzyły dawne wieki, czy też czasy terażniejsze? Cenzorował prof. Skarbek, i zaopiniował również, że rozprawa jest wzorową.

Powyzsze rozprawy, a mianowicie trzy rozprawy konkursowe i prawna, własnoręcznie pisane przez Gołuchowskiego. Administracyjna jest innej ręki, tylko tytuł rozprawy i podpis autografowane.

Egzamin ustny zdał świetnie, dla tego i w patencie na stopień Magistra Prawa i Administracji, wydany 18 lipca 1820 roku, wyraźnie zaznaczono: „z najwyższem odznaczeniem.“

\*

\*

\*

W kilkanaście dni po otrzymaniu dyplomu na stopień magistra, Gołuchowski wystosował do Komisji Oświecenia, następujące przełożenie:

„Niżej podpisany ukończywszy fakultet filozoficzny w Cesarzsko-Królewskiej Akademii Terezyańskiej w Wiedniu, z czegom się przed trzema laty tak złożeniem świadectw, jako też i odbyciem

popisu przed zacyjnym członkiem Wysokiej Komisji, rektorem Linde, legitymował; tudzież ukończywszy na dniu 18 lipca 1820 r. Fakultet Prawa i Administracyi w Królewskim Warszawskim Uniwersytecie (jak świadczy dołączony tu patent), pragnąc osiągnąć stopień doktoratu tegoż fakultetu, zanoszę prośbę do Wysokiej Komisji, ażeby, końcem podania mi sposobności dwuletniej praktyki publicznej prawem przepisanej, raczyła mnie upoważnić do otwarcia w następującym roku kursu Prawa Natury podług załączonego tu programu.

W Warszawie, dnia 9 Sierpnia 1820 r.

Józef Gołuchowski Mg. O. P. i A.  
mieszka przy ulicy Nowy Świat № 1283.

*Program kursu prawa natury.*

W ogólnym wstępie będzie rzecz o samem Prawie Natury, jako nauce; końcem dokładnego poznania i zrozumienia ważnej tej części nauk prawnych, zaczniemy od:

I. *Charakterystyka Prawa Natury.* Tu wyłożymy naprzód: a) Istotę onegoż, z kąd wynika, do czego dąży, jakie są jego przedmioty, przez co całą jego dedukcyą uzupełnimy; potem uważymy: b) stosunek jego do nauk najbliższych z nim graniczących i różnicę jako to: do Etyki, Polityki, Prawa stanowionego, Filozofii prawa stanowionego. Za pomocą tego wszystkiego postawimy się zaraz z początku na prawdziwym stanowisku, z którego Prawo natury uważać należy i ducha jego zrozumiemy.

II. Zastanowiwszy się nad przedmiotem naszym w całości, rozbierzemy go na trzy części: t. j. na Prawo prywatne, rządowe i narodów.

Potem przytoczymy:

III. Źródła i nauki pomocnicze Prawa natury. Rys historyczny i literatura tego przedmiotu znajdą tu swoje miejsce.

IV. Najstosowniej zakończywszy wstęp, rozszerzając się nad pożytkiem naszej nauki i nad metodą, jaką w niej postępować należy.

Po wstępie ogólnym nastąpi rozbiór tych wyobrażeń, które wszelkim innym częściom za podstawę służąc, przed niemi wszystkimi wyłożone być powinny. Przedmiotem tego rozbioru właściwie nic innego być nie może, jak idea prawa i ogólne jej rozwiniecie. Przeto mowa będzie:

A) O prawie uważanem tylko co do formy i w prawdzie.

a) O idei prawa. Przygotowanie do dedukcyi tejże i dedukcyi sama; porównanie rzeczonyj idei z odpowiadającymi obowiązkami prawnymi; b) O najwyższej zasadzie prawa. Jaką takowa być powinna. Wystowienie onejże i forma. Co z niej wynika. Krytyka innych zasad Prawa natury.

B) O prawie uważanem ogólnie co do materyi, lecz bez względu na nadwyreżenie i zabezpieczenie onegoż. a) Podmiot praw; b) przedmiot praw: osoba mającego prawa; rzeczy, zobowiązania się innych osób; c) rodzaje praw; d) wykonywania praw, czyli posiadanie w najobszerniejszem znaczeniu. Dokładniejszy rozbiór onego; e) ustanie praw: konieczne, od woli zależące. Utrata praw przez przedawnienie lub przez kolizyą, z prawa natury wywiedzioną być nie może.

O prawie uważanem ogólnie co do materyi, lecz mając wzgląd na nadwyreżenie i zabezpieczenie onegoż. α) O nadwyreżeniu praw, β) o zabezpieczeniu praw, przez przymus — prawo do przymusu, rodzaje przymusu, wykonanie przymusu — przez polubowne środki.

C) O zastosowaniu formy do materyi prawa, czyli o prawnem osądzeniu; a) wyobrażenie tego zastosowania; b) ogólne warunki onego: podmiotowe, przedmiotowe.

Po ogólnej części nastąpi:

Część szczególna: O szczególnych prawnych stosunkach.

A. Prawo natury prywatne. W tem naprzód mowa będzie:

A) O prawie prywatnem bezwarunkowem, które jest zbiorem wszelkich praw człowiekowi z samego przyrodzenia służących i w prawdzie: a) o prawie człowieczeństwa ogólnie, b) o częściach pojedynczych toż prawo składających. Dalej:

B) O prawie prywatnem hipotecznem, czyli zbiorze tych praw, które człowiekowi nie same przez się, lecz dopiero za pośrednictwem jakiegoś czynu służą. W tym oddziale zastanawiać się naprzód będziemy, o nabywaniu praw w ogólności; potem a) o prawie własności t. j.: α) wyobrażenie własności, β) ogólne części własności, γ) rodzaje własności, δ) nabycie własności, ε) prawa właściciela (jus possidendi, disponendi, utendi), ζ) ograniczenie własności, η) utrata własności.

b) O prawach wynikających z umów.

I. Ogólna teoria umów. α) wyobrażenie umowy, β) essentialia umów, γ) zkaąd moc obowiązująca umów pochodzi, δ) ogólne skutki umów, ε) rozwiązanie umów.

II. Różne rodzaje umów. Tu nastąpi naprzód: podział ogólny, a potem rozbiór najważniejszych rodzajów, jako to: Pacta

conditionata, onerosa, aleatoria, accesoria, innominata etc. Nakoniec przechodzić będziemy najważniejsze umowy pojedynczo.

III. O prawie społeczności. Tu wyłożywszy wyobrażenie, podziały, tworzenie się prawa i rozwiązanie społeczności, zastanowiemy się nad niektórymi z najważniejszych onejże rodzajów, jako to: nad małżeństwem, nad kościołem.

B. Prawo natury rządowe.

A. Prawo rządowe bezwarunkowe. Przedmiotem tego będzie:

a) Założenie państwa. Przeszkody do bezpieczeństwa prawnego w stanie natury. Idea stanu tymże zapobiegającego. Prawna konieczność zaprowadzenia takowego. Zapowiedzenie tego stanu wspiera się na: pactum unionis, pactum subjectionis, pactum constitutionis. Idea państwa i essentialia onegoż. b) Prawne stosunki w państwie. α) prawa naczelnika państwa: zatem naprzód: o władzy państwa w ogólności (de imperio civili), potem o pojedynczych częściach tejże władzy, (co do formy, co do kierunku jej działania, co do środków przez nią używanych) szczególnie tu wyłożonym będzie rys prawa kryminalnego filozoficznego, β) prawa poddanych, jako pojedynczych członków i jako narodu.

B. Prawa rządowe hypotetyczne. Przedmiotem tej części będzie forma państwa, forma rządu i związki państw.

C. Prawo natury narodów.

A. Wyłożenie praw narodów: naprzód przyrodzonych, potem nabytych (własność narodów, umowy narodów).

B. Nadwyrężenie i zabezpieczenie praw narodów. Tu szczególnie mowa będzie o wojnie i o pokoju; nakoniec o idei wieczystego pokoju.

W tłumaczeniu tego systemu Prawa natury, trzymać się będziemy własnego układu i dzieła: Lehrbuch des Naturrechts von d-r Anton Bauer, Marburg 1808, 8-o, str. 364.

Po skończonym wykładzie zaś przejdziemy krytycznie ważniejsze dzieła w prawie natury, jako to: Feuerbacha, Kruga, Friesa, Kanta, Fichtego, Bendawida, Hufelanda, Heydenreicha, Schumanna i t. d. i t. d.

W Warszawie, dnia 7 sierpnia 1820 r.

Józef Gołuchowski Mp.

Komisya rządowa *brevi manu*, przesłała Radzie Uniwersytetu przełożenie i program powyższy, żądając opinii Wydziału Prawa i Administracyi.

Rada 14 września 1820 roku № 649 złożyła Komisji opinię dziekana i profesorów Wydziału Prawa. Opinia była następująca:

„Stosownie do wezwania W-go Dziekana wydz. Prawa i Adm. o udzielenie opinii względem IP. Gołuchowskiego, mam honor odpowiedzieć: lubo Prawo natury w Wydziale Prawa naszego Uniwersytetu gruntownie i we wszystkich swych częściach czytane bywa, przecie gdy idzie o przedmiot filozoficzny, każdy sposób wystawienia rzeczy i badania może być użytecznym. IP. Gołuchowski nadto jako gorliwy badacz umiejętności filozoficznych mnie jest znany, żebym nie miał spodziewać się, że i jego rozbiór tej materji korzystnym dla uczniów będzie. Autor, podług którego zasad czytać zamierza, jest jeden z znakomitych w tym względzie piszących; a gdy wreszcie obrany sposób przygotowania się do doktoratu, jest bardzo chwalebny, jestem przeto tej opinii, iż Wydział Prawa naszego Uniwersytetu życzenie IP. Gołuchowskiego, ile może popierać powinien.

W Warszawie, dnia 13 września 1820.

Alexander Engelke.

Równie i ja zdanie moje łączę ze zdaniem W-go Engelke.

X. Szaniawski.

Zdanie dwóch profesorów jest dostatecznem, nie mam nic do zarzucenia, życzyłbym tylko, aby prawo Rzymskie, jako najglówniejsze źródło nauki prawa, nie było zaniedbywane przez uczniów, mogących zostawać w tem mniemaniu, że prawo natury, mając kilku nauczycieli, jest najważniejszym przedmiotem.

Bandtkie D. W. P. i A.

Na zasadzie powyższego, Komisya Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przesłała do Rady Uniwersytetu:

„Upoważnienie JP. Gołuchowskiego Józefa do wykładania bezpłatnie w tutejszym Uniwersytecie Królewskim Prawa Natury, podług podanego programnatu, w godzinach mimo planowych, z tytułem lektora (*magister legens*), z obowiązkiem stosowania się do przepisów uniwersyteckich.

Za Ministra prezydującego radca Stanu *Staszic*.



Gołuchowski doczekał się katedry w uniwersytecie, chociaż lekcye jego były pozaplanowe, dla tego w Indeksach wzmianki o nich nie znajdujemy. Ze lekcye wykładał, że kurs, stosownie do przywiezionego powyżej programu, ukończył, na to znajdujemy dowody w następującem przełożeniu do Komisji Rządowej:

„Niżej podpisany pragnąc po ukończeniu wydziału filozofii, jako też prawa i administracyi, dalej się doskonalić w zawodzie filozoficznym i prawnym, abym kiedyś z pożytkiem dla kraju mógł łożyć me usługi, zamyslałam przedsięwziąć w pierwszych dniach kwietnia rb. 1821 uczoną podróż naprzód do Paryża, a potem do celniejszych uniwersytetów niemieckich, dla poznania się z celniejszymi filozofami i prawnikami i dla korzystania z ustnego ich wykładu.

Tym końcem zanoszę prośbę do Wysokiej Komisji

1-o. Ażeby mi raczyła dać uwolnienie na czas nieograniczonej od obowiązków Lektora Prawa Natury, *którego kurs właśnie w tych dniach do jakiejś całości doprowadzam (mój kursyw), z zostawieniem mi wolności wykładania tegoż samego przedmiotu po powrocie.*

2-o. Ażeby raczyła łaskawie na mnie mieć względy przy obsadzaniu zawakować mogących katedr prawa lub filozofii w tu-tejszym uniwersytecie. Czas tej uczonej podróży zamierzyłem sobie wprawdzie trzechletni; przedsięwiorąc ją atoli własnym kosztem, nie wiem jak dalece do skutku będę mógł doprowadzić; mam jednak nadzieję, iż Wysoka Komisya, nie zechce odmówić mi wsparcia, gdyby brak własnych funduszów miał mnie pozbawić owoców tej podróży.

Z tem wszystkiem szczerze wyznać mogę, iż najusilniej starać się będę, bym Rządowi nie stał się ciężarem.

W końcu, ponieważ nowe kursa wszędzie po Wielkiej nocy się rozpoczynają i mnie zatem wcześniej wyjeżdżać wypada, upraszam Wysoką Komisję o jak najprędszą rezolucję.

Józef Gołuchowski.

W Warszawie 12 marca 1821 roku.

Komisya powyższe przesłała do opinii Radzie Uniwersytetu, a ta pod dniem 22 marca № 1096 odpowiedziała:

„Podanie JP. Gołuchowskiego Lektora Prawa Natury w tu-tejszym uniwersytecie, składa Komisji Rządowej z prośbą, aby temuż wydać raczyła 1-o uwolnienie od dotychczasowych obowiązków, 2-o list rekomendacyjny otwarty, któryby mu wstęp czynił

tak do Uniwersytetów, jak i uczonych zagranicznych, tudzież zakładów naukowych. Komisya Rządowa mając wzgląd że JP. Gołuchowski dwie odebrał nagrody za najlepsze rozprawy, że ze stopniem celującym złożył examen z prawa i administracyi, że prawdziwie poświęca się naukom z upodobaniem i zdolnością, a stąd przez dalsze swoje sposobienie się za Granicą czyni piękną na przyszłość o sobie nadzieję — zapewne nie odmówi mu pisma zalecającego, które się zwykło wydawać wysłanym za granicę o koszcie rządowym? Co się tycze zapewnienia miejsca w wypadku wakansu, w tej mierze zdaje się że Komisya odpowie, że Uniwersytet postępować musi podług przepisów, równie jak względem kontynuowania przedmiotu za powrotem do kraju, który w tym roku rozpoczął.

Prezydujący Rektor X. Szweykowski.“

Wskutek powyższej opinii Rady, odebrał Gołuchowski następujący reskrypt Komisji Oświecenia:

„Przychylając się do przedstawionego sobie przez Radę Królewskiego Warszawskiego Uniwersytetu pod dniem 22 bm., № 1096, żądania JP. Gołuchowskiego, uwalnia Go z końcem bieżącego miesiąca od przyjętego obowiązku Lektora, czyli bezpłatnego wykładania Prawa Natury w tutejszym Uniwersytecie Królewskim.

Minister prezydujący

Stanisław Grabowski.

(30 III 1821 r. № 1932).

List polecający: Rector cum Senatu academico Lecturis Salutem.

Josephus Gołuchowski juvenis ornatissimus, cum philosophiae et jurisprudentiae studio totum se dedisset, et in utroque genere tantum profecisset, ut Magister Juris utriusque in Universitate nostra litteraria, facultate docendi simul impetrata, renuntiaretur; ne quid earum rerum a se abesse pateretur quas consequi usu homines aut diligentia possunt, exteris gentes, litterarum laude florentissimas, decrevit sibi adeundas. Probato perfectionis consilio, juvenem Vestrarum rerum fama ductum, ad Vos deducendum curavimus, a quibus et scientia augeri posset et exemplis, petimusque et cum ad sedes Vestras pervenerit hominem studio, consilio, opera, auctoritate juvare velit, tribuatiscque ignoto quidquid sine

detrimiento vestro commodari poterit. Quod si recte communii illa este dicuntur, pali ab igne ignem capere, si quis velit consilium fidele deliberanti dare, quae sunt iis utilia qui accipiunt danti non molesta; non dubitanus, quin quidquid in museis, palatiis, bibliothecisque vestris dignum cognitu servetur ejus inspiciendi facultatem nostro homini sitis datur eundem vestris sermonibus, studiis, moribus animum intendere passuri. Quae omnia ut faciat studio a Vobis petimus maximo. Valet.

Varsaviae ad 5 aprilis MDCCCXXI.

Rektor Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu.

Ponieważ JP. Józef Gołuchowski Magister Obojga Praw i Administracyi wykładający Prawo Natury, jako Magister legens w tujejszym Królewskim Uniwersytecie, otrzymał od Komisyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego pod dniem 26 marca rb. № 1932 uwolnienie od pełnienia przez siebie obowiązków, przeto Rektor niniejszem oświadcza JP. Gołuchowskiemu, iż do wyjazdu jego zagranicę ze strony Zwierzchności Uniwersyteckiej żadnej niema przeszkody.

W Warszawie dnia 31 marca 1821.

X. Szweykowski.

\*

\*

\*

Po wyjeździe Gołuchowskiego zagranicę, odebrał rektor uniwersytetu Warszawskiego, następującą korespondencyę urzędową z Wilna:

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Z dysertacyi przysłanych do konkursu o katedrę Filozofii w naszym Uniwersytecie, uznana za dostateczną *primo loco* miała w bilecie opieczętowanym nazwisko *Gołuchowski w Warszawie*. Osoba nam nieznaną, i o której w publicznej opinii nic nie mamy. Porządek zaś u nas wymaga, aby po otwarciu biletu, pierwszej powziąć wiadomość szczególną o kandydacie, nim się przystąpi do wyboru. JW. W. M. Pan Dobrodziej, będąc na czele

Uniwersytetu Warszawskiego, pod którego przewodnictwem profesorowie na nowo obrani zostali, zdaniem swoim prawdziwą pomoc dla naszego Uniwersytetu przynieść potrafisz. Urząd profesora publicznego jest ważny, a tymbardziej profesora Filozofii, i jeszcze w tym wieku pełnym zdań różnych i nowych. Zaufany przeto w gorliwości JW. W. M. Pana Dobrodzieja, ośmielam się zanosić prośbę o zdanie Jego co do osoby p. Gołuchowskiego, czyli jest w tym stanie, aby mógł odpowiedzieć tak ważnemu powołaniu, jakim jest profesor Filozofii. Dysertacya jego okazuje człowieka mającego dosyć wiadomości i mającego łatwość jasnego tłumaczenia się; lecz jaki jego wiek, a szczególnie jakie postępowanie, nam są niewiadome.

Oczekując łaskawej odpowiedzi, mam honor zostawać z wysokim szacunkiem i najpowinniejszym uszanowaniem

Jaśnie Wielmożnego W. M. Pana Dobrodzieja

Najniższy sługa

*Simon Malewski* Rektor.

№ 299

d. 12 maja 1821

JW. I. X. Szweykowski

Rektor Uniw. Warsz.

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Na żądanie JW. W. M. Pana z dnia 12, odebrane dnia 29 bm. <sup>1)</sup>, mam honor dać o p. Gołuchowskim następującą wiadomość. Pan Gołuchowski przybył do Warszawy z Teresianum Wiedeńskiego, w którym odbył kurs zupełny. Ponieważ ten Instytut jest w stopniu Akademii, przeto spodziewał się p. Gołuchowski, iż powzięte w nim usposobienie otworzy mu miejsce do jakiej posady w tworzącym się naówczas Uniwersytecie naszym. A że właściwa Filozofia, już wtenczas jego przedmiot ulubiony, miała swojego profesora, przeto p. Gołuchowski podał się do Matematyki, której katedry nie były jeszcze wszystkie osadzone, i tym końcem złożył dwie rozprawy swoje, drukowane w Wiedniu, jedną matematyczną, drugą matematyczno-filozoficzną. Lecz gdy mu wyłożono wszystkie warunki, jakie u nas są potrzebne do osiągnięcia katedry w Uniwersytecie, uznał sam, iż mu zbywało na znajomości niektórych części matematyki wyższej, a nadewszystko

<sup>1)</sup> Korespondencya wileńska datowana podług starego stylu.

znajomości autorów francuskich, tudzież uznał potrzebę nabycia doświadczenia nauczycielskiego w instytucjach niższych. Przyjął więc kilka godzin w liceum, a dogadzając nieograniczonej chęci rozszerzania swoich wiadomości, zapisał się do Wydziału Prawa i Administracyi. Po skończonych trzech latach zdał egzamen, z wielką zaletą swoją, ze wszystkich przedmiotów obudwu tych oddziałów; w obudwu otrzymał stopień Magistra z oznaczeniem postępu celującego. Zgłębiał te przedmioty nie dla tego, ażeby mu posłużyły do otrzymania urzędu w jednym lub drugim zawodzie, lecz żeby rozgałęziając swoje wiadomości, tym lepiej się ugruntował w właściwej Filozofii, nad którą jako główną nigdy nie przestawał pracować. W tymże celu chciał jeszcze ucześnieć na nauki lekarskie, lecz mu to profesorowie przez wzgląd nad pracą osłabione zdrowie, odradzili. Jako uczeń w roku trzecim ubiegał się o nagrody za rozprawy najlepsze, razem w trzech wydziałach i w dwóch otrzymał: otrzymał w wydziale prawnym większą, w teologicznym mniejszą. Obok pracy w liceum nie przestawał na samym słuchaniu licznych przedmiotów, lecz nadto czytał, rozmyślał, pisał bardzo wiele.<sup>1)</sup> Słowem, jest to rzadki przykład całkowitego poświęcenia się naukom. Prawdziwe jego powołanie do stanu nauczycielskiego stąd się okazuje, że będąc sam uczniem, już pragnął niecierpliwie udzielać kolegom wiadomości w ulubionym od siebie przedmiocie. Nie mogąc publicznie, dawał lekcye filozofii prywatnie, bez żadnej nagrody. Ta okoliczność, po zakazanych wszelkich związkach i schadzkach, zwróciła nań baczną uwagę, lecz się wkrótce okazało, iż zamiary jego były jedynie naukowe, jako skutek niepoohamowanej żądzy równie doskonalenia się jak udzielania się drugim.

Zwierchność Uniwersytetu, oceniając ten zapał szlachetny, tudzież wykazane nieraz w sposób niezaprzeczony, niepospolite talenta pana Gołuchowskiego, a nie mogąc mu dać odpowiedniej u siebie do jego skłonności posady, przychyliła się do jego prośby i upoważniła go do wykładania w roku bieżącym Prawa Natury, jako części filozofii, w godzinach extra-planu, bez tytułu profesora. Chociaż ten przedmiot był wykładanym przez profesora aktualnego, p. Gołuchowski miał dosyć słuchaczy. Wykład

---

<sup>1)</sup> Z podanego powyżej opisu bibliograficznego trzech rozpraw, ubiegających się o nagrodę i dwóch rozpraw magisterskich, które w druku do 50 arkuszy wynoszą, napisanych od grudnia 1819 do czerweca 1820, łatwo wnioskować o wielkiej pracowitości i ogromnej erudycyi autora.

jego był łatwy, jasny i porządkny, a co większa, nie rażący zdań nowością. Po jego ukończeniu, w kwietniu r. b. p. Gołuchowski dostawszy zasiłek pieniężny i opatrzony świadectwem Uniwersytetu, wyjechał na wojaż najprzód do Francji, a potem do innych krajów. Mało jest pism tak niemieckich, jak francuskich w jego przedmiocie, którychby już nie czytał i nie rozważał. Chce jeszcze pan Gołuchowski poznać żyjących autorów i z ich obcowania korzystać. Co jeśli mu teraz będzie dozwolone, przynajmniej do lat 2 i jeśli otrzyma wsparcie, którego się na rok drugi wojażu od rządu naszego spodziewał, tem mniej zostawi wątpliwości, że będzie w stanie odpowiedzieć tak ważnemu powołaniu, jakim jest nauczanie z katedry filozofii. Nie okazał on jeszcze zbytniego uprzedzenia o sobie, przyjął radę poznania się naprzód z uczonymi francuskimi i zwracania z niemi teorii do praktyki, a nie zapędzania się na wzór Niemców w świat idealny i transcendentny, przyjmie zapewne i rady zwierzchności Uniwersytetu Wileńskiego, a mianowicie księcia Kuratora, którego najprzód miał odwiedzić w Paryżu.

Podług księgi zapisowej pan Gołuchowski albo kończy teraz rok 27 albo zaczyna 28. Cały ten wiek spędził bez przerwy na naukach. Charakter moralny p. Gołuchowskiego jest bez żadnego zarzutu. Życie jego zgodne z zupełnem poświęceniem się naukom, zjednało mu wziętość i szacunek nietylko pomiędzy uczniami, ale nadto i pomiędzy profesorami. Z tego wiernego obrazu, jakim przybył do nas i jakim się u nas ciągle przez lat 4 okazywał (Nb. w r. 1817, 18 zapisał się na wydział prawa, ukończył 18 lipca 1820) p. Gołuchowski, tudzież z osądzonej jego konkursowej rozprawy, łatwo wnieść będzie J.W. W. M. Panu Dobrodziejowi, czyli mu katedra Filozofii może być powierzona. Ja tylko dodam tę uwagę, iż gdyby to szczęście, które mu zabłysnęło, miało go ominąć, może nie tylko on, ale i jego przedmiot w kraju naszym mógłby na tym szkodować. W Królestwie naszym daleki dla niego widok, <sup>1)</sup> dla osadzonej już katedry, a trudno przypuścić, aby kto z Rodaków z większym zapałem, a może i z większą zdolnością, poświęcał się temu przedmiotowi. Gdyby wiek, lubo już nie nadto młody, zwłaszcza, jeśli wojaż ukończy, lub inna jaka przyczyna, miały mu przeszkadzać do pozyskania

<sup>1)</sup> Ścisłe we dwa lata później zawakowała w Warszawie katedra filozofii, skutkiem nominacyi prof. Zubelewicza na inspektora jeneralnego Uniwersytetu.

zaszczytu Aktualnego profesora, tedy przez wzgląd na niepospolite nadzieje, jakie uniał wzbudzić o sobie, zwracając uwagę dwóch Uniwersytetów, radziłbym raczej zrobić jego do roku profesorem nadzwyczajnym, z pensją aktualnego lub jej najbliższą, aniżeli komu innemu, jeśliby był miernym albo nie rodakiem, oddawać na zawsze katedrę tak ważną i potrzebującą urabiania dla siebie języka.

Jestem z wysokim poważaniem

JW. W. M. Pana Dobrodzieja

X. Szweykowski.

Warszawa d. 4 czerwca 1821 r.

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Odebrałem Szanowne pismo JW. W. M. Pana Dobrodzieja z datą 4 czerwca t. n. s., w którym zadość czyniąc mojej prośbie i potrzebie Uniwersytetu naszego, zawarłeś JW. W. Pan Dobr. nie tylko świadectwo najważniejsze o p. Gołuchowskim, kandydacie do katedry filozofii w Uniwersytecie Wileńskim, ale razem wiadomość dostateczną, jakiej Uniwersytet mógł tylko potrzebować o tymże p. Gołuchowskim. Pismo to JW. W. M. Pana Dobrod. sprawiło to, że Uniwersytet wybrał JP. Gołuchowskiego na profesora Extra-ordynaryjnego; gdy przepis Ministra Oświecenia nie dozwala obierać na profesora ordynaryjnego nie mającego stopnia Doktora, ale z pensją profesora ordynaryjnego, to jest rubli srebrem Tysiąc pięćset, wedle programu ogłoszonego, i z obowiązkiem dawania lekcyi, jaki mają profesorowie ordynaryjni. Dodany jest tylko warunek istotny, aby p. Gołuchowski na rok przyszedł szkolny, to jest w miesiącu wrześniu przybył do Wilna dla zajęcia katedry, któremu na drogę przeznaczono rubli srebrnych Trzystu, i cała ta rzecz przeznaczona do decyzji i potwierdzenia JO. Xięcia Ministra Spraw Duchownych i Oświecenia Publicznego, co gdy otrzymane, nie omieszkać uwiadomić urzędownie o tem p. Gołuchowskiego. Tymczasem w Imieniu całego Uniwersytetu składam JW. W. M. Panu Dobrodziejowi podziękowanie za udzieloną wiadomość i opinię Jego o J. P. Gołuchowskim.

Jeżeli Uniwersytet Wileński będzie miał opatrzoną godnym profesorem i rodakiem katedrę filozofii, winien będzie to intere-

sowanie się JW. W. M. Pana Dobrodzieja o dobro i sławę Jego, oraz o pożytek edukującej się młodzi polskiej.

Zostają z wysokim szacunkiem i najpoważniejszym uszanowaniem

Jaśnie Wielmożnego W. M. Pana Dobrodzieja

Najniższy Sługa

Nr 367

Simon Malewski, Rektor.

d. 2 czerwca r. s. 1821

z Wilna

JW. J. X. Szwejkowski

Rektor Uniwer. Warszaw. i Kawaler.

Do Rady Uniwersytetu Królewskiego Warszawskiego

Podpułkownik Gołuchowski Leopold

Sztabu kwaternistrzostwa generalnego.

W zastępstwie nieobecnego brata mojego Józefa Gołuchowskiego, odebrawszy załączone tu w kopii wezwanie JW. Malewskiego, Rektora Uniwersytetu Wileńskiego, aby z przyczyny, że dysertacya jego w konkursie do katedry filozofii przyjętą została, jako kandydat przysłał śpiesznie na ręce JW. Rektora o sobie wiadomość czyli tak użwaną Konduit-listę, nim brat mój, teraz w Paryżu znajdujący się, w stanie będzie złożyć dowody, które wziął z sobą, mam honor upraszać Radę Uniwersytetu Król. Warszawskiego, aby mu potrzebne świadectwo z postępków jego w czasie, kiedy pod Jej władzą zostawał, wydać raczyła. Z strony zaś mojej czyniąc zadość żądanej przez Uniwersytet Wileński wiadomości, mam honor załączyć a) opis życia jego od urodzenia aż do epoki, kiedy wszedł do Uniwersytetu Król. Warszawskiego. b) Dziełka jego w niemieckim języku o matematyce, o które także jest kwestya w tem wezwaniu, c) nakoniec, na wszelki przypadek, gdyby tego żądano, mogę złożyć kopię legitymacyi jego szlachectwa.

Gołuchowski podpułkownik.

W Warszawie d. 9 czerwca 1821 roku.

Świadectwo wydane przez Uniwersytet Warszawski, jest identyczne z przywiedzionym wyżej listem Szwejkowskiego do Malewskiego, tylko nie tak ciepło napisane.



W dziejach Uniwersytetu wileńskiego pierwszym i, o ile wiadomo, jedynym przykładem, było niezatwierdzenie Gołuchowskiego przez ministra oświecenia na profesora — bez poprzedniego zebrania, na własną rękę, informacyj o jego przeszłości. Minister nie polegając na atestacyi swego Uniwersytetu, zwrócił się o nią do osoby stojącej zdala od Uniwersytetu wileńskiego i od ministerjum oświecenia, mianowicie do komisarza cesarskiego w Warszawie, Nowosilcowa.

Nowosilcow, postępując w tym wypadku zupełnie prawidłowo, zasięgnął o Gołuchowskim wiadomości w ministerjum oświecenia Królestwa Polskiego. Piszze więc do ministra Grabowskiego:

Monsieur le Comte. L'Université de Vilna, à la suite d'un Programme qu'elle avait publié en 1820, pour le Concours à une Chaire de Logique, de Métaphysique et de Philosophie morale alors vacante, ayant fait choix de M-r Goluchowski, Maitre ès Arts à l'Université de Varsovie, S. E. M-r le Prince de Golitzyn Ministre du Culte et de l'Instruction publique de l'Empire de Russie, m'a prié de lui fournir des renseignemens sur les principes et les talents de M-r Goluchowski, pour le mettre à même de confirmer cette nomination en connaissance de cause. Je prends donc la liberté, Monsieur le Comte, de m'adresser de nouveau à Votre Excellence, pour obtenir les renseignemens désirés, et saisis cette occasion pour Vous renouveler l'assurance de la considération très-distinguée avec laquelle j'ai l'honneur d'être.

Monsieur le Comte de Votre Excellence le très-humble  
et très-obéissant serviteur

Novossilzoff

à S. E. M-r le Comte de Grabowski.

Varsovie le 10/22 Août 1821 N-r 335.

Minister Grabowski zażądał opinii o Gołuchowskim od rektorów Liceum i Uniwersytetu. Linde pisze: „JP. Gołuchowski dawał w Liceum pod mojem okiem lekcyje greckiego języka i matematyki z zaszczytem dla siebie i korzyścią dla uczniów. Zasługiwał wciąż na jak największe zalety“ (23, VIII, 1821). Rektor uniwersytetu pisze: „JP. Gołuchowski uczęszczając do uniwersytetu, jako uczeń przez lat trzy, a potem wykładając w nim Prawo natury, jako nauczyciel — dał dowody niepospolitych talentów i rzadkiego poświęcenia się naukom. Zasady jego, podług których wykladał przedmiot powyższy, nie ściągnęły na siebie za-

dnego zarzutu. Obyczaje jego były zgodne z powołaniem nauczyciela publicznego. X. Szweykowski" (23, VIII, 1821).

Na zasadzie powyższej opinii, minister Grabowski odpowiedział Nowosilcowowi w ten sposób:

„Mam honor uwiadomić JW. Senatora, iż zasięgnąwszy wiadomości od Rektorów tak Uniwersytetu jako też Liceum, pod którymi p. Gołuchowski pracował, zgodnie mnie zapewnili, iż młody ten profesor równie co do zasad nauki, którą wykladał, jako też co do talentu i moralności szczególnież zjednął sobie zalety. Tym sposobem wywiązawszy się z wezwania pod d. 10/22 bm. mam honor załączyć wyrazy szczególniejszego szacunku

Stanisław Grabowski.

28 VIII 1821.

Nie mając żadnych danych, w jaki sposób Nowosilcow odpowiedział ks. Golicynowi, należy przypuścić, że albo list Grabowskiego w oryginale przesłał, albo w tymże duchu od siebie odpisał. Stosunki Nowosilcowa z Uniwersytetem Warszawskim w tej epoce były dość bliskie, już to z tej racyi, że studenci dawali się we znaki senatorowi, urządzając w teatrze manifestacye przeciwko aktorce, którą się Nowosilcow interesował: już też że jeden z profesorów uniwersytetu, Zinserling, sekretną a nie zaszczytną dla obu stron, prowadził korespondencyę, zachęcając senatora do bliższego wnikania w sprawy uniwersytetu, gdyż dotychczasowy sposób wykładów, jako ultra narodowy, może jest nieodpowiedni interesowi państwa rosyjskiego.

Lecz mimo tego wszystkiego nie śmiałbym twierdzić, że odpowiedź Nowosilcowa do ministra oświecenia, była nieprzychylną dla Gołuchowskiego i że dzięki jej, nominacya na profesora, tak długo się przeciągała.

\*

\*

\*

Rozpoczynając szkic niniejszy, zwróciłem uwagę na kilka usterek napotkanych w życiorysie Gołuchowskiego, pisany przez prof. Chmielowskiego; kończę szkic niniejszy sprostowaniem jeszcze jednej usterki w tymże życiorysie znajdującej się. Miano-

wicie, pisze Chmielowski, że Gołuchowski „sprawował urząd ministra oświaty“ w r. 1831; <sup>1)</sup> w cytowanej zaś rozprawie: „Filozofia i życie,“ na stronie XX pisze: „Powołany w r. 1831 do kierowania ministerjum oświecenia, z powodu czasów wojennych, nie mógł przedsiębrać reform, starał się jeno utrzymać owocną organizację szkół w porządku, co też mu się powiodło.“ Stanowczo twierdzą, że Gołuchowski nie był ministrem oświaty w czasie rewolucyi. Ministrami byli Lelewel do lutego, hr. Aleksander Bniński do lipca, a ostatnim był Kajetan Garbiński. Gołuchowski był radcą komisyi oświecenia. Jako radca, żywy przyjmował udział w zamierzonej reformie uniwersytetu. Wielu było wezwanych do przedstawienia projektów reformy. Pierwszy nadesłał projekt swój Trętowski; następnym był Gołuchowski. W odezwie do „Senatu Akademickiego,“ bardzo serdecznie napisanej, prosi o przyjęcie go, jako członka komisyi, jeszcze przez Lelewela zatwierdzonej. Wspomina o swoim zamiłowaniu do nauczycielstwa i przesyła: „Pierwsze myśli,“ dla rozpatrzenia przez kolegów. Otóż tych „myśli“ nie miałem w rękę. Szukano ich w roku 1832 bardzo pilnie, ale ślad wszelki zaginął, gdzie się podziały, nikt wówczas nie wiedział. Komisya ani razu nie zebrała się na posiedzenie. Czas był nie po temu.

JÓZEF BIELIŃSKI.

<sup>1)</sup> Przegląd filozoficzny rok VI, str. 31.

## Faryzeizm germański.

Bawiąc w Berlinie, w roku 1901, poznałem wybitnego przywódcę niemieckich centrowców, d-ra Liebera. W rozmowie naszej, z natury rzeczy, niemal odrazu, wkroczyliśmy na temat spraw polskich. D-r Lieber nazwał je „*das Schmerzenskind*“ niemieckiej polityki, a zarazem jej piętą achillesową. Nieustanne drażnienie kilkomicionowej, nadgranicznej ludności, określił mianem taktyki wstecznej, której skutki mogą być tylko przeciwne od zamierzonych.

I dodał — walka na noże nigdy nie przynosi strat jednej tylko stronie. Tak i na wschodzie Niemiec. Przyjemność ciągłych tryumfów, odnoszonych nad broniącą się polskością, staje się bardzo gorzką, gdy się zważy, jak bardzo pogłębia się z roku na rok przepaść, dzieląca obie narodowości, jak silnie hasło walki rasowej, wydane przez hakatyzm, obudziło poczucie samoistności rasowej wśród ludności polskiej. Pominąwszy już kwestyę etyki politycznej, powinni by Niemcy, z samego egoizmu narodowego, położyć kres radykalnym zapędom szowinizmu germańskiego na wschodzie.

Ale — zauważył z westchnieniem — opinia publiczna w społeczeństwie niemieckim zbyt jest pod tym względem zbalamuconą. Szerokie masy ludności nie mają żadnego pojęcia o rzeczywistym stanie kwestyi polskiej u nas. Ogromny aparat gazet i agencji prasowych systematycznie fałszuje informacje, dotyczące Polaków. Prasa niezależna, w szczególności centrowa, nieraz podnosi ową sztuczną zastłonę, ale i ona nie zawsze może to czynić bezkarnie. Fale antagonizmu rasowego już zaczynają także poruszać ciche wody w przystani katolickiego obozu. Mianowicie na Szlązku, położenie jest nader trudne. Niejeden z tamtejszych katolików Niem-

ców rozżalony jest na Polaków, że przestają uznawać wyłączną przewagę centrum i na własnych pragną stanąć nogach. Nawet, wychodząca nad Renem, bogata i bardzo niezależna *Kölnische Volkszeitung*, która śmiało występuje w rzeczach polskich, niełatwe ma zadanie wobec czytającej publiczności, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż inne katolickie pisma na zachodzie o wiele ostrożniejszemi są na punkcie uwydatniania krzywd, dziejących się Polakom.

Tak mówił przywódca centrowy, usprawiedliwiając oczywiście, zbyt nieraz jaskrawą jednostronność wielu katolickich pism niemieckich. Gdy mu jednak przeciwstawiłem argument, że przecie właśnie dokładne, a stałe, informacye o walce rasowej na wschodnich kresach państwa, musiałyby w końcu otworzyć oczy wszystkim ludziom dobrej woli, odparł z ożywieniem: Zapomniałeś pan wreszcie, że każdy dba najpierw o rzeczy mu najbliższe. Trudno wymagać od nas, byśmy ponosili całe brzemień informowania publiczności niemieckiej o ucisku katolików polskich. Czemuż Polacy sami nie postarają się o organ niemiecki, głównie ich sprawy traktujący, poważny, dający same wiadomości autentyczne i rozsyłany nietylko wszystkim redakcyom niemieckim, ale także jaknajwiększej liczbie mężów politycznych wszystkich obozów. Koszt byłby co prawda znaczny, ale opłaciliby się mnogością korzyści, któreby przyniósł. Ręczę panu, że waszym przeciwnikom takie stałe odkrywanie prawdy, byle zawsze sumienne, byłoby nader niewygodnem.

Rozmowa ta, ze zmarłym odtąd, leaderem najpotężniejszego stronnictwa w parlamencie niemieckim, zasługuje na wspomnienie, gdy w ostatnich czasach, w prasie polskiej poznańskiej, zjawily się rozpatrywania na temat niesłychanego rzeczywiście monopolu informacyjnego o naszych sprawach, znajdującego się w ręku niemal wyłącznie najzaciętszych wrogów wszystkiego, co polskie. Czy życzenie d-ra Liebera, by Polacy własnym organem w języku niemieckim stale prostowali rozsiewane o sobie fałsze, jest słusznem, o tem pomówimy w dalszym ciągu. Wiadomo, że tego rodzaju projekt już dawniej był omawiany w sferach polskich i że nawet przejściowo był wykonany przez popieranie ze strony polskiej poznańskich *Neueste Nachrichten*. Ale wiadomo również, jak krótką była epoka polskich wpływów w owej gazecie i jak niewielkie korzyści odniesiono z owego chybionego przedsięwzięcia. Myśl jednak sama przeciwdziałania w ten lub ów sposób niesłychanemu fałszowaniu informacyj o rzeczach polskich, nigdy nie przestała być jednym z tak licznych postulatów obrony narodowej na kresach.

W nowożytnym państwie, jak od wieków w międzynarodowej polityce, siła idzie przed prawem. Nie wynika stąd bynajmniej nieuwzględnienie wartości prawa, jako czynnika politycznego. I to prawo w swym najistotniejszym znaczeniu, jako wyrazu sprawiedliwości. Owszem, im bardziej czyn polityczny odbiega od istoty sprawiedliwości, tem większą staje się dbałość o zachowanie jej zewnętrznej formy. Tylko państwo o ustroju przestarzałym nie dba o pozory i daje samo właściwą nazwę czynom bezprawnym, które spełnia. Ale i ono najczęściej, choć z grubszego, stara się czynom tym dać tło prawa, usprawiedliwiać je wobec opinii fałszywem oświeceniem ich przyczyn i celów. Tem więcej państwo o ustroju na wskroś nowożytnym, stojące na wyżynie rozwoju materialnego, a zarazem i rozwoju myśli. Takim zaś państwem jest dzisiejsze cesarstwo niemieckie. Złożone z ludności bogatej, wykształconej, myślącej, wymaga ono od czynników kierujących niem starannego czuwania nad publiczną opinią, by z tej opinii uczynić podwalinę do politycznych działań. Osiągnąć zaś ten skutek można w Niemczech dopiero wtedy, gdy powiedzie się zdanie ogółu uczynić w danej sprawie, ile możliwości, jednogłosem, lub przynajmniej opanować większość umysłów. Z doświadczenia wiemy, że nie zawsze jest to rzeczą łatwą.

W walce z kościołem katolickim, ćwierć wieku temu, poprzedziło jawne ataki, systematyczne bałamućenie opinii publicznej za pomocą prasy rządowej i sprzymierzonej z nią na tem polu prasy postępowej, a niemniej i za pomocą mów parlamentarnych i zebrań ad hoc urządzanych. Wywlekano odwieczne straszaki rzymskiej zachłanności, budzono w najodleglejszych zakątkach kraju drzemiący fanatyzm protestancki, wyprowadzono znów na światło dzienne zapomniane widma inkwizycyi, wyzyskano popularność zwycięzców Danii, Austrii i Francyi, słowem użyto wszelkich środków, by naród niemiecki pobudzić do popierania jak najczynniejszego polityki zgnębienia ultranontanizmu.

Leć wszelkie starania nie doprowadziły do oczekiwanych rezultatów. Całe przedsięwzięcie było w założeniu swem chybotne. Na bardzo poważną mniejszość katolicką agitacja działała w sposób odwrotny od zamierzonego. Pokusy materialne odstręczały od sprawy kościoła tylko jednostki wśród duchowieństwa, a wśród pozornie zfanatyzowanej większości protestanckiej, pomimo jej rzeczywistej niechęci do wszystkiego co rzymskie, nie objawiał się zapal antykatolicki w tym stopniu, jakiego się spodziewano. Gdy przyszło do wyraźnego czynu, gdy prześladowanie stało się jaskrawem, pokazało się, że na czele akcyi stoi rząd i że

na niego spada całe brzemień walki. Laurami narodowego uznania, któremi niegdyś uwieńczyły północne Niemcy Lutra i innych reformatorów, nie było danem ozdobić swej skroni epigonom z epoki Bismarcka.

Przeciwnie zaś, gdy po kilku latach walki rząd zatrafił do odwrotu, gdy znów cały aparat oficjalnych informatorów opinii zaczął przekonywać ogół o konieczności zgody religijnej, ta sama opinia z względną łatwością dała się skierować w pożądaną stronę. Ci, którzy obawiali się, że ministerjum w swoim odwróceniu spotka się z takim samym zaciętym oporem ze strony protestanckiej, z jakim spotkało się w swej akcji zaczepnej ze strony zwalczanych katolików, pomylili się najzupełniej. Pójście do Canossy nie osłabiło bynajmniej stanowiska żelaznego kanclerza. Opinia publiczna w swej olbrzymiej większości zadowolona była z przywrócenia spokoju, którego przerwanie kilkoletnie już groziło poważnym rozłamem w łonie narodu na niekorzyść idei pruskiej.

Ten przykład, a możnaby przytoczyć wiele innych, wystarcza, by stwierdzić z jednej strony, jak ważnym czynnikiem w życiu nowożytnego państwa jest pozyskanie opinii dla celów sfer decydujących, a z drugiej, jak nieraz trudnem bywa to pozyskanie, gdy ów cel staje w jaskrawem przeciwieństwie do interesów poważnej części narodu.

Jakże się na tle tego stanu rzeczy przedstawia sprawa polska w Prusiech? Na pozór bardzo jasno i w sposób prosty. Polacy stanowią ciało obce, wsunięte klinem w obręb Niemiec. Ich poczucie odrębności rasowej, stanowi przeszkodę dla germańskiego *Drang nach Osten*. Sam fakt istnienia kilkomilionowego obcego społeczeństwa w pobliżu stolicy państwa i pomiędzy tą ostatnią a granicą, sprzeciwia się pojęciu jednolitości narodowej, będącego jedną z zasad państwowości niemieckiej. Więc na pierwszy rzut oka wniosek oczywisty: interes polski sprzeciwia się interesowi niemieckiemu, czyli, że polityka antypolska jest dla Niemiec korzystną, a zatem powinna u wszystkich Niemców być popularną. Ci, którzy ją prowadzą, mogą z pewnością, nietylko liczyć na poparcie ze strony opinii publicznej, ale nawet dać się przez nią wyprzedzić, ulegać jej parciu, płynąć za prądem, całą chwałą i wdzięczność narodową za tę akcję patriotyczną zachowując dla siebie, jako wykonawców pragnień i dążeń niemieckiego społeczeństwa. Z tego zaś wniosku drugi niemniej oczywisty: gdy akcja antypolska jest rzeczą pożyteczną dla ogółu niemieckiego i wśród niego popularną, przeto nie potrzeba żadnego wysiłku, by opinię usposabiać dla niej korzystnie. Duch narodu sam do

niej dąży, żąda jej i pragnie. Nie w sztucznie stroić szaty walkę rasową, lecz śpiewać jej chwałę, głosić jej wyniki należy ludziami słowa i pióra. Nie maskę hipokryzyi przywdziewać, lecz lutnię Tyrteusza w dłoń chwycić przystoi potentatom prasy i mównicy sejmowej.

Tak przedstawia się, pozornie, sprawa stosunku opinii publicznej do kwestyi polskiej w Prusiech. A jednak rzut oka na taktykę naszych prześladowców uczy nas, że w istocie mają się rzeczy inaczej. Pomimo głoszonej wszędzie, a zresztą w części bardzo prawdziwej, popularności polityki antypolskiej, widzimy ze strony jej kierowników wprost niesłychane wysiłki hipokryzyi. Kłamię się ciągle i wszędzie w rzeczach wielkich i małych, w ogóle i w szczególe. Kłamię się mądrze, systematycznie, z tradycyjną, dziedziczną, wciąż udoskonalaną sztuką. A przy tem pracowicie. Bo jak we wszystkiem innem, tak i w sztuce kłamania, nie wystarczy sam talent. Potrzebną jest praca. Prawdziwie zaś niezmierną jest ilość tej pracy. Od uczonego profesora i redaktora europejskiego pisma do prowincjonalnego kacyka, szlącego z zapadłych kątów swoje berychty, zawsze jeden ton, jedna nuta, przedstawianie sprawy polskiej według ułożonego z góry szematu. Rzekłbyś, stu malarzy poszło w świat, by malować krajobrazy różne, ale wszyscy słuchają jednego przykazania, wszyscy muszą w tem samem oświetleniu przedstawiać rozmaite sprawy. Całokształt tej roboty jest i ogromny i sztuki pełen. Widzimy zatem, że pozory ludzą, że pomimo rzeczywistego przeciwieństwa poczucia rasowego niemieckiego do polskiego, pomimo długoletniej oblawy mądrego organizowanej przeciw nam, czynniki, kierujące polityką antypolską, uznają za konieczne opinię publiczną obrabiać i wpływać na nią w pożądanym dla siebie kierunku.

Gdy się w ten sposób postawi zagadnienie, nabierze ono od razu osobnego i zasadniczego znaczenia. Staje przed naszymi oczami jedno z narzędzi, któremi szowinizm niemiecki gnębi polskość, narzędzie skomplikowane, nieraz nieuchwytnie w różnorodności swych działań, odczuwane przez nas na każdym kroku w swych skutkach, ale nie dość może znane w swej istocie. Stwierdzamy, że areopag potęg antypolskich w społeczeństwie niemieckiem, używając tego narzędzia nieustannie, daje najlepsze świadectwo jego użyteczności i ważności, a tem samem jego szkodliwości dla strony przeciwnej. Więc nasuwają się pytania dalsze. Jakie są przyczyny, dla których szowinizmowi niemieckiemu koniecznym jest fałszowanie informacji o rzeczach polskich? Następnie: jak wygląda owa organizacya fałszerstwa, a wreszcie, czy dla nas



Polaków istnieją środki, któremi moglibyśmy przeciwdziałać, i jakie są to środki.

Odpowiadając nażowe pierwsze pytanie, zaczniemy od śmiałego postawienia zasady, że w dzisiejszej swej postaci, szowinizm niemiecki bez systematycznego fałszerstwa w sprawach antypolskich po prostu nie mógłby obyć się ani chwili, że fałszerstwo to jest jedną z najgłówniejszych zasad jego działalności.

Jeżeli bowiem interes Niemców wobec Polaków jest jasny i prosty, mianowicie zdobywanie korzyści ekonomiczno-politycznych na wschodnim skrzydle potęgi prusko-niemieckiej, to przeciwnie taktyka, prowadząca do tego celu, jest i musi być rzeczą bardzo sporną. Różnorodność zdań w tej mierze wynika choćby tylko z historycznego pewnika, że systemy zdobywcze germanizmu na wschodnich kresach były już rozmaite. Na tem samem miejscu zastanawialiśmy się przed kilku miesiącami nad olbrzymiemi zdobyczami, które na terenie polskim przyniosła Niemcom ich dawniejsza taktyka infiltracyjna, oparta na tem, co nigdy nie zawodzi w stosunku wzajemnym dwóch sąsiadujących ras, na właściwościach naturalnych obu narodów. Nie brak w Niemczech ludzi, którzy dobrze zdają sobie sprawę z tego, jak nieustannie postępowała niemieczyzna w swym zwyciężkim pochodzie na wschód, dopóki korzystała z apaty i łatwowierności tych, którzy od wieków sami otwierali jej na oścież bramy swego kraju. Niedbałość Rzeczypospolitej o ginące zachodnie kresy słowiańszczyzny, zniemczony w trzech czwartych Szląsk piastowski, zniemczona zupełnie Brandeburgia, niemal zupełnie Pomorze i Prusy książęce, niemczone w samych granicach państwa polskiego miasta, kolonie niemieckie zakładane przez panów polskich jeszcze za czasów królestwa kongresowego i stanowiące dziś pod bokiem Warszawy, potężne warownie niemieckie, zgermanizowanie nawet w czasach porozbiorowych znacznej części szlachty kresowej, to wszystko wspomnienia, które myślącemu Niemcowi nie są obce. A niemięniej znanym jest w Niemczech obraz czasów późniejszych, walki otwartej, w której, co prawda, klęsk niemało poniósł żywioł polski, ale których ogólny rezultat jednak nie odpowiada olbrzymiemu nakładowi pieniędzy i wysiłków prawnopolitycznych walczącej na wschodzie Germanii.

Nieustannie przed oczami trzeźwiejszych polityków niemieckich staje zapytanie, czy szczucie narodowościowe przeciw Polakom, jaskrawe, hulaśliwe, pełne teatralnych efektów, jest rzeczywiście najlepszą polityką niemiecką na wschodzie, czy najprędzej, najbezpieczniej wiedzie do celu. I tym, którzy z kredką w ręku za-

bierają się do układania bilansu zysków i strat, bynajmniej nie jest obcym pewnik, że zysk bezpośredni z tej polityki przypada w udziale nielicznej, stosunkowo, części narodu t. j. karierowiczom politycznym i ekonomicznym, którzy z wojny tej żyją i na niej się tuczą, a w części także rządowi, który uwagę narodu odciąga od rozmaitych niewygodnych mu zagadnień wewnętrznych, skupiając ile możności zajęcie się ogółu eksperymentami in anima vili na terenie obcej rasy, zamieszkującej część państwa.

Wiadomą jest rzeczą, że, prócz junkrów i narodowo liberałów, ani jedno ze stronnictw w radach ustawodawczych nie solidaryzuje się zasadniczo z ogółem systemu politycznego, stosowanego wobec Polaków. Owszem, każde z nich, choć nie w równej mierze od czasu do czasu, ulega wątpliwościom, które dopiero silna i wpływowa ingerencja osłabia lub rozprasza. Więc wobec wszystkich, owym wątpliwościom przystępnych, a nienniej wobec kół szerszych, mianowicie, tam wszędzie, gdzie ilość osobników, ciągnących bezpośrednio osobiste zyski z obławy szowinistycznej jest mała, i gdzie wątpliwości niemiłe mogłyby znaleźć posłuch, organizatorowie i dowódcy jej muszą pilnować, by ich działalność przedstawiała się w jaknajlepszym świetle, by okazywała się potrzebną, konieczną. Drogą zaś jedyną ku temu jest opanowywanie opinii publicznej za pomocą publicystyki wszelkiego rodzaju, oraz świadectwami najróżnorodniejszymi, mowami i berychtami w celu usprawiedliwienia tej właśnie taktyki, której trzyma się obecnie rząd oficjalny i poduszczający go nieustannie rząd poboczny.

Oczywiście nie zawsze i nie wszystkim przypada do smaku działalność, nieraz naiwnie bezczelna, organizacyi fałszerstwa. Pomimo wszelkich usiłowań zabarwiania prawdy, odzywają się tu i owdzie w społeczeństwie niemieckiem głosy ironiczne, lub ostrzegawcze, które krytykują podawaną masom przez szowinistycznych kucharzy strawę. Ale ci ostatni zadowoleni są zupełnie, gdy ogromna większość narodu strawę tę przyjmuje, przyzwyczajają się do niej i nie ogląda się za inną. Powoli, lecz stale, wytworzył się w ten sposób smak publiczności osobny, apetyt polakożerezy, gwałtowny, dla którego najmiłszem jest połknięcie Polaka na surowo, choćby nawet taki specał miał się okazać niestrawnym.

Prócz tego wchodzi tu w grę znana zasada, mundus vult decipi. Nie brak w Niemczech takich, którzy, choć własne ich przekonanie nie jest zgodne z obecną formą systemu germanizacyjnego na wschodzie, sami pragną być oszukanymi. Trzeźwemu politykowi, pragnącemu może właśnie sposobem, przeciwnym obecnemu, ugruntować wpływy niemieckie na wschodzie, ale nie my-

ślącemu narażać stanowiska swego w walce z potężną organizacją szowinistyczną, jakże wygodną jest rzeczą ulegać straszakom, malowanym ciągle przez hakatyzm. On nie tylko nie gniewa się na szowinistów, że ubierają się w szatę hipokryzyi, ale owszem wdzięczny jest im za tę suggestyę, usprawiedliwiającą go przed samym sobą.

Wreszcie zapominać nie trzeba, że Niemcy, to kraj bojaźni Bożej, kraj w którym sztandar religii wysoko jest trzymany przez protestantów i przez katolików. Religia to czynnik państwowy, ważny i ceniony przez przedstawicieli porządku społecznego. To podpora tronu, to hamulec przeciw zawiściom społecznym i stanowym w obrębie narodu. Głosić jawnie i uroczyście potrzebę zasad religijnych, a równocześnie jawnie deptać najistotniejsze jej zasady, powoływać się przy każdej sposobności na miłość bliźniego, poszanowanie tradycyi, cześć dla czynników społecznych, zdawna istniejących, a działać wręcz przeciw tym wszystkim zasadom, gdy chodzi o pewną kategorię obywateli państwa, to przecież nie uchodzi, ba! nawet byłoby niebezpiecznem. Kapłani narodowej cnoty, z uroczyłą pozą wzywający do niej wierny lud, nie mogą żadną miarą wygłaszać równocześnie, że zasady którym czynią reklamę, są tylko warunkowemi, i że oto sami drwią z nich coram populo.

Więc gdy nieprawość ma być postawioną na ołtarzu, gdy cześć jej przez naród ma zostać oddaną, stroi się ją odświętnie, okrywa kwiatami, tak, że znika jej twarz rzeczywista. Gwałt, przemoc i bezprawie, stają się pracą zbożną, obroną domowego ogniska i pochodem kultury. Takim ideałom cześć oddawać wolno i trzeba: Cnota zdeptana nogami, ale wizerunek cnoty utrzymany wysoko na widowni. Zasada uratowana.

Ci zaś, u których zasad jeszcze najwięcej, ci, którzy sami niegdyś byli ofiarą przemocy, katolicy niemieccy, teraz przez rząd ugłaskani, z prześladowanych zamienieni na obsypanych zaszczytami i łaską, radzi są z błogiego spokoju dziś im danego. W swej większości nie mają oni najmniejszej ochoty poświęcać się za dolę cudzą. Lecz, że spokojne przypatrywanie się jawnej krzywdzie stanowi zaprzeczenie ideałów, które im przyświecały, więc i dla nich suggestya ze strony szowinizmu staje się rzeczą wygodną. Protestuje ten i ów, gorętsi odzywają się od czasu do czasu z upomnieniem lub naganą, ale całość stronnictwa zachowuje się biernie; zarazków szowinizmu, weiskających się w dalsze szeregi, nie tępi nikt stanowczo, bo przecież własny interes jest zachowany, a sprawa owych uciśnionych, według tyłu świadectw, jest

tak niesympatyczną, tak odstraszącą dla każdego patrioty germańskiego. Słowem fałszowanie opinii, suggestya szowinistyczna, jest nietylko koniecznie potrzebną fałszerzom samym, ale także pożądaną tym wszystkim innym, którzy dla świętego spokoju nie radzi podejmować się trudnej zawsze roli obrońców prawdy.

Dodać tu jeszcze należy wzgląd, wcale nie podrzędny, na zagranicę. Z dawien dawna państwa ciekawe były tego, co się dzieje u bliższych i dalszych sąsiadów, a nawet i nie sąsiadów. Tak jest i po dziś dzień. Któremuż mocarstwu jest miłym, gdy w szerokim świecie złe stosunki w jednej z dzielnic przybierają rozmiary ogólnie ludzkiego skandalu. Nawet Turcyja, choć mało cywilizowana, mocno uskarżała się, gdy prasa europejska drastycznie opisywała w ostatnich latach barbarzyńskie dręczenie spokojnych poddanych w jej wschodnich prowincyach. Wiadomo, jak nerwowo zachowywała się opinia publiczna w Anglii, wobec dowodów sympatyj dla uciśnionych Burów — dowodów okazywanych w całym niemal świecie. Żaden zaś naród, żadne państwo na kuli ziemskiej nie jest pod tym względem tak nerwowem, jak Niemcy.

Najmniejsza oznaka współczucia ze strony zagranicy dla losu mieszkańców polskich imperium germańskiego, wywołuje od Królewca do Strasburga niesmak i zaniepokojenie. Przysłowie o czapce, która gore, stwierdza się tu w zupełności. Gore ona od razu, choć jej właściciel mocny, bardzo mocny i posiadając siłę lwa, mógłby się zapewne obyć bez chytrności lisa. Ale nie obywa się on bez niej zasadniczo. Zatem nietylko do użytku domowego, lecz i na eksport, bałamucenie opinii w sprawach polskich, jest dla Niemców narodową potrzebą. Co zaś jest potrzebne, tego Niemiec z pewnością nie zaniedba. *Immer gründlich!*

Tu przechodzimy do drugiego zagadnienia, jaką jest organizacya tego, tak ważnego w polityce germańskiej, czynnika. Oddać musimy najserdeczniejszym naszym sprawiedliwość, że jest ona na punkcie rzeczy polskich wprost doskonałą. Gra tu oczywiście niepoślednią rolę nietylko ważność traktowanej kwestyi, ale także i długoletnia już wprawa i tradycya w praktyce. W tych samych bowiem Niemczech przykłady z ostatnich czasów wskazują nam w innych sprawach daleko mniejszą przezorność kół szowinistycznych. Znane *Hunnenbriefe*, relacye żołnierzy z wyprawy chińskiej, a niemniej fatalne rewelacye o gospodarce niemieckiej wśród nieszczęśliwych Murzynów afrykańskich, sprawiły dużo kłopotu sferom, dotkniętym owemi odkryciami. Odbyły się nawet procesy kompromitujące, jak np. znanego księcia Arenberga.

Aparat prasy zależnej musi pracować całą siłą pary, by utrzymać zapał narodowy w kwestyi kolonialnej w odpowiednim stanie napięcia.

Gdy chodzi o Polaków, o takich niezgrabnościach niema mowy. Aparat fałszerstwa działa prawidłowo, dokładnie, wszechstronnie. Bo też organizacya jego jest pierwszorzędną. Po pierwsze wyborny stanowi dla niego podkład to, że głosy uciśnionych słyszane są tylko przez nich samych. Język polski nie jest językiem europejskim. Książka polska, lub polska gazeta, czytana jest tylko przez Polaków. Bardzo nieliczne są redakcyje wśród innych narodowości, lub też pojedyncze osoby, władające naszym językiem. Więc cała kategorya informacyj polskich, pisanych po polsku, dla świata nie istnieje.

Pozostają informacje o stosunkach w dzielnicy pruskiej, udzielane przez Polaków w językach obcych. Te zaś ograniczają się przeważnie do języka niemieckiego. Pominąwszy rzadkie i szczupłe, bo z łaski przyjmowane niekiedy przez pisma katolickie, artykuły, zawadzają przedewszystkiem szowinistom niemieckim mowy posłów polskich w berlińskich ciałach ustawodawczych. Wyliczone w nich, są, z większym lub mniejszym darem wymowy, ale gruntownie i obszernie, krzyczące nadużycia ze strony niemieckiej, przedstawiana jest w całej swej grozie tragedia walki rasowej, strasznej i bezwzględnej, uprawianej na kresach. Wprawdzie sejm lub parlament - to zbiorowisko działaczy politycznych, obytych z wszelkiego rodzaju wrażeniami, o nerwach niełatwych do poruszenia; ale mowy poselskie zażywają w druku takiej samej nietykalności, jaka przysługuje posłom, gdy przemawiają w izbie. Wolno je powtarzać w prasie, bez obawy narażenia się na kłopoty ze strony prokuratoryi. Powtórzone zaś, mogłyby oddziaływać w sposób ujemny. Temu trzeba zaradzić.

Na pierwszy rzut oka nie zdaje się to rzeczą możliwą. W rzeczywistości jednak jest to stosunkowo dość łatwe. Pozornie nie tamuje nikt swobody informacyjnej. Poseł, który słyszał wygłoszoną mowę, dziennikarz, który tak samo słyszał ją z trybuny, może ją natychmiast podać do publicznej wiadomości. Co więcej, stenograficzne biura izb skuteczniają dosłowne powtórzenie w druku całego przebiegu posiedzenia, każdego na niem wypowiedzianego słowa, nawet okrzyków uznania lub niezadowolenia. Sprawozdania te, stenografowane podczas posiedzenia, natychmiast po niem bywają przepisane zwykłym piśmem i dostarczane, w kilka, lub kilkanaście, godzin później, mówcom do przejścia i stwierdzenia ich dokładności, poczem drukarnie izb spo-

rzządzają osobne wydania sprawozdań izbowych, w poszczególnych zeszytach, rozsyłanych darmo wszystkim posłom parlamentu, sejmu pruskiego, izby panów i niektórym urzędom państwowym, oraz bibliotekom. Po za tem, może, kto chce, prenumerować to wydawnictwo, jak gazetę, za pewną opłatą. Całość tych publikacyj wynosi już znaczną liczbę potężnych tomów i posiada wielką wartość bibliograficzną.

Zważywszy to wszystko, niewtajemniczony w zakulisową organizację służby informacyjnej skłonny jest do przypuszczenia, że chyba wszystkie drogi do uwiadomienia rzetelnego publiczności otwarte są najzupełniej. Lecz niech zada sobie pracę wertowania prasy niemieckiej podczas t. z. Polendebatten, rozpraw na temat spraw polskich. Wtedy stwierdzi, że mowy Polaków opuszczane są najczęściej zupełnie, a tem staranniej podane mowy naszych przeciwników. Większe zaś pisma, które dołączają do swoich numerów osobne dodatki parlamentarne i podają całe rozprawy z dnia, przynajmniej w ważniejszych kwestjach, niemal dosłownie, skracają tendencyjnie streszczenia z przemówień polskich. Najważniejszy argument opuszczony, najdrastyczniejszy przykład skreślony zupełnie. Czytelnik ma przed oczami twierdzenie ministra lub posła hakatysty, a po niem ogólnikowe zdanie, że Polak był z niego niezadowolony. I nietylko, że w sprawozdaniach tych nieuwzględnioną jest zasada — audiatur et altera pars, ale owszem wywołanem wrażenie, że chyba wielką być musi słuszność germanizatorów, gdy przedstawiciel polskości na żadną treśćciwą nie mógł zdobyć się obronę.

Tak czyni cała ogromna falanga pism, podlegających wpływom szowinistycznym. Trzeba zaś wiedzieć, że redakcyje setek pism prowincjonalnych, najczęściej wcale nie zadają sobie pracy i kosztu utrzymywania osobnych korespondentów parlamentarnych. Przedrukowują po prostu sprawozdania wielkich pism berlińskich, wybierając oczywiście te z pomiędzy nich, które danej redakcyi są najsympatyczniejsze. Stenograficzne sprawozdania biur izbowych nadechodzą dopiero po kilku dniach, gdy nowe sprawy stanęły już na widowni. Jest to zatem informacya spóźniona, używana jedynie przez pisma polskie, drukujące w całości mowy naszych posłów, jako dokumenta do historyi naszych dzielnic, a także dla tego, że w tej formie, wolno zamieścić niejedną uwagę, lub wyraz oburzenia, który w artykule redakcyjnym podpadalby pod rygor ustawy prasowej.

Dla pism niemieckich sprawozdania stenograficznego biura nie posiadają niemal żadnego znaczenia, wyjąwszy oczywiście owe

wielkie organy, które mają osobny układ z temi biurami i jeszcze podczas trwania posiedzenia odbierają manuskrypta stenogramów kartka po kartce, do natychmiastowego użytku drukarskiego. Otóż owe wielkie pisma są po części wprost w związku z organizacją czynnego szowinizmu, z owym rządem pobocznym, którego najwyższa komenda ześrodkowuje się w znanej ogólnie grupie z haute finance berlińskiej. Związek ścisły z tą grupą jest dla gazety i jej redakcyi rzeczą korzystną, a w niektórych wypadkach według obiegających, a wiarogodnych, bo przez konkurentów zawodowych niedyskretnie rozpuszczanych wieści, nawet nadzwyczaj korzystną. Korzyści te rosną, lub zmniejszają się, razem z rozmiarami wpływu danego organu na inne mniejsze pisma. Najmniejszymi zaś są one w zupełnie oficjalnych organach hakatyzmu. Te, jako własność potężnego związku, pokrywającego ewentualny deficyt w budżecie gazety, wykonywują po prostu jego rozkazy. Wpływ ich jest zresztą bardzo mały, gdy przeciwnie ważnym dla rządu pobocznego jest ten, który wywierają jego nieoficjalne, a jednak od niego zależne, pisma.

Podobnie mają się rzeczy w stosunkach prasy z rządem rzeczywistym. Któż nie zna historii sławnego *Reptilienfond*, liczącego wiele milionów marek, a utworzonego po części z zabranego po roku 1866 królowi hanowerskiemu prywatnego majątku. Używał go książę Bismarck do subwencyonowania prasy. Obecnie ów fundusz, zwany po polsku gadzinowym, już nie istnieje. Zwrócono go prawowitym właścicielom. Ale subwencyonowanie prasy bynajmniej nie ustało. Jest ono tak bardzo rzeczą w Niemczech uznaną, że nie stanowi nawet dla opozycyi parlamentarnej kamienia obrazy. Mówi się o niem i pisze, jako o rzeczy nieładnej, lecz której nikt nie może się dziwić. Od tak dawna, jak ludzie umieją pisać, potęgi polityczne dbały o zapewnienie sobie poparcia publicystyki, a z rozwojem nowożytnego dziennikarstwa, zagrzewanie brzęczącym argumentem poszczególnych organów do popierania danej polityki, bezustannie rośnie. To broń w arsenale politycznym zdawna ukłasyfikowana, a przystępna zresztą nie tylko władzy, ale każdej innej sile politycznej.

Fatalnym jednak dla nas zbiegiem okoliczności w Prusiech, owe finansowe wpływy, o ile dotyczą sprawy polskiej, nie są podzielone i częściowo sobie przeciwne, lecz owszem zbiegają się do jednego celu. Tak samo, jak hakatyzm, opłaca i rząd pruski publicystykę antypolską. Rachunki z owych tajnych funduszków nie są zdawane, ale, pomimo to, brukowa opinia berlińska rozpo-

rządza zawsze całym szeregiem wiadomości z tej dziedziny, a także i anegdotek nieraz nader pociesznych.

Tak np. przed dwoma laty bardzo nam nienawistny *Berliner Tageblatt* zamieścił pewnego poranku, ni stąd ni z owąd krytykę rządowej polityki wobec Polaków. Dziwiono się zrazu, ale wkrótce wtajemniczeni w sprawy zakulisowe zaczęli szeptać o pewnych korzyściach, tym razem nie natury ekonomicznej, które pragnęły uzyskać osobistości z kół tageblatowych. Uzyskanie tych korzyści okazywało się trudnem. Zaczęła się więc pomiędzy obu interesowanymi stronami wielce ożywiona dyskusya. Publicystyka mówiła — dajcie nam to, o co prosimy, a popierać was będziemy nadal skutecznie. Władza odpowiadała — macie już dosyć. Od słowa do słowa, przyszło do sprzeczki, w której ze strony wysokiej paść miało zdanie, że wreszcie niech gazeta sobie pobryka, jeżeli nie chce słuchać. Rząd się bez niej obejdzie i zwróci się do jej konkurentki. Pogardliwe te słowa, a szczególnie wzmianka o konkurentce, którą w tym wypadku miał być *Localanzeiger*, doprowadziła tageblatowców do wściekłości. Postanowiono pokazać rządowi zęby. I myślano odtąd nad tem, coby mogło mu być najnieprzyjemniejszym. Uradzono, że z pewnością koziołek dziennikarski w kwestyi polskiej. Na drugi dzień pojawiła się w numerze głównym notatka, krytykująca politykę niemiecką na wschodnich kresach.

Koziołek był istotny, ale zgrabny, zwinny, krótki, niekompromitujący zanadto, zostawiający drogę do odwrotu. *Tageblatt* wychodzi wczesnym rankiem. Otóż nie minęła jeszcze godzina, w której prawowierny berlińczyk zapija poranną kawę, a już telefon spraszał osobistości, odesłane w wilią z kwitkiem, na nową konferencyę. Jak ta ostatnia wypadła, łatwo się domyśleć. Najzabawniejszem zaś było, że sprytni zwycięzcy, szydzili jeszcze potem z powag, które im uległy, przyznając wobec kolegów zawodowych, że powagi owe, gdyby były mniej nerwowe i przeczekały jeszcze dzień lub dwa, byłyby wygrały sprawę. Dla gazety dalszy ciąg koziołków byłby przecież niewykonalnym ze względu na liczne więzy, łączące ją z czynnikami antypolskimi.

To w swoim czasie dość głośnie zdarzenie jest przykładem jednym z wielu, organizacji wpływów antypolskich w prasie ze strony rządu. Władza niemiecka prócz argumentów natury finansowej rozporządza mnóstwem środków w celu wpływania na prasę. I to nie tylko bezpośrednio, ale nieraz lepiej jeszcze pośrednio. Stronnictwa, nie będące z rządem w otwartej walce, choć oponują mu w wielu sprawach, zawierają z nim jednak w innych kompro-



misy. Niestety zaś, jednym z tych punktów, na których pomiędzy nimi a reprezentacją państwa kompromis najłatwiejszy, jest kwestya cudzej doli, kwestya polska.

Do rzędu czynników prasowych należy zaliczyć także biura korespondencyjne i agencye prasowe, a niemniej i agencye telegraficzne. Zasilają one prasę całą informacyami, a dla pism prowincjonalnych są niemal jedynem źródłem informacji z pierwszej ręki. I one bez wyjątku są podległe wpływom nam wrogim.

Pod tym względem prasa katolicka nie wiele odróżnia się od niekatolickiej. Wprawdzie nie może być u niej mowy o wpływach finansowych ze strony czynników szowinistycznych, ale wpływom innego rodzaju ulega i ona w przeważnej swej części. Centrum jest dziś u szczytu swego powodzenia, obsypywane łaskami przez protestancki rząd. Nie wielu z jego członków ma odwagę otwarcie stanąć w obronie pokrzywdzonych. Prócz tego, jak już zaznaczyliśmy, w jego łonie także zapuściła korzenie ogólna zajądłość antypolska, krzewiona przez szowinistów, choć nie tak silnie, jak w niektórych innych stronnictwach. Stąd wniosek blizki, że i organom centrowym nie wolno najczęściej zbyt obszernie zajmować się naszymi krzywdami. W niejednym z nich cieszy nas nawet obojętność, gdy spora liczba pism katolickich od czasu do czasu wyraźną wobec nas okazuje niechęć. Tak więc informacye nam korzystne, z góry skazane są na skreślenie.

Są, co prawda, wyjątki w tej mierze, ale zanim o nich pomówimy, należy nam wpieryw uzupełnić obraz niekorzyści, płynących dla nas z ustroju publicystyki niemieckiej. Powyżej przedstawiona organizacya milczenia, gdy chodzi o sprawiedliwe informacye na temat spraw polskich, działa nietylko na wewnątrz społeczeństwa niemieckiego. Z natury rzeczy oddziaływa ona także na zewnątrz wobec zagranicy, czerpiącej swe wiadomości najprzeważniej z niemieckich, zrozumiałych jej, pism. Wynika z tego, że nawet tam, gdzie nie brakłoby ochoty do wywlekania na światło dzienne niemłych Niemcom spraw i sprawek, aż nazbyt często, właśnie o rzeczach polskich, brak odpowiednich informacyj, dowodów i przykładów.

Pamiętamy, jak w czasie skandalów we Wrześni uskarżali się niejednokrotnie publicyści zagraniczni, przybyli do Poznania, na brak informacyj w swoich społeczeństwach o walce dziejowej, która toczy się na ziemiach polskich, należących do cesarstwa niemieckiego. I twierdzili, że wstrząsające wieści o dzieciach okrwawionych, o dramatycznych szczegółach procesu, wywoływały w ich ojczyźnie nietylko znane objawy sympatyj dla ludności naszych

dzielnic, ale równocześnie nieraz też okrzyki zdziwienia, że takie rzeczy dzieją się w kraju, z którego zazwyczaj żadna wieść nie przedostaje się na szeroką arenę publicystyki światowej, w kraju, który, szczególnie dla dalszej, nie sąsiadującej wprost zagranicy, przedstawia się najczęściej, jako spokojny szmat ziemi, o stosunkach w ogóle idyllicznych, zamęczanych tylko przez paru nieoprawnych polskich burzycieli. Bolesną dla nas było rzeczą słuchać tych uwag, których prawdziwość aż nadto nam jest znana.

Ileż boleśniejszym jeszcze jest rzut oka na taktykę wprost zaczepną organizacyi fałszerstwa opinii. Przemilczanie faktów, niemiłych szowinizmowi niemieckiemu, stanowi tylko jedną stronę jej działalności. Drugą, o wiele jeszcze groźniejszą, jest systematyczne zmyślanie wiadomości, dla nas szkodliwych, lub zabarwianie zjadliwe faktów wszelkiego rodzaju z życia codziennego naszych dzielnic. Pod tym względem machiavelizm kierowników niemieckiej opinii jest rzeczywiście niezrównanym. Każda sposobność jest dobrą dla nienawistnej fantazyi naszych najserdeczniejszych. Towarzystwo pomocy naukowej, polskie, przedstawiane jest jako organizacya polityczna. Taki sam zarzut czyniono już niejednokrotnie kółkom rolniczym, ba, nawet muzeum polskiemu i, risum teneatis, teatrówi polskiemu w Poznaniu! Towarzystwo przyjaciół nauk ulega również podobnym podejrzeniom.

Wymieniliśmy umyślnie same takie instytucye polskie, w których zasadniczo wszelkie polityczne zabarwienie jest wykluczonem. Cóż dopiero te, których istota jest związana z polityką, a więc np. Towarzystwa wyborcze i zebranie delegatów wyborczych, nadewszystko zaś prasa polska. Klasycznymi są nieraz cytaty z tej ostatniej w prasie niemieckiej, a niemniej i w mowach naszych przeciwników, wygłaszanych z trybuny parlamentarnej, lub z ławy ministrów. Poszczególne ustępy z artykułów wybrane są i zestawione tak po mistrzowsku, że świadczą zaszczytnie o pomysłowości tych, którzy je układali. Nieraz podaną jest teza, a opuszczoną antyteza, zmieniająca sens całości. Złączonemi bywają zdania, które w artykule oryginalnym przedzielone były całym szeregiem innych zdań, tak, że znów sens najzupełniej zostaje zmienionym. Do tych operacyj mozaikowych służą nie tylko pisma, wychodzące w obrębie państwa, niemieckie, ale i pisma polskie zagraniczne. Prasa zaś niemiecka niekiedy wprost zastępuje w przytoczonych cytatach jedno słowo drugim i bezwstydnie przypisuje danej gazecie polskiej zdanie, którego wcale nie wygłosiła.

Zupełnie wolnem dla najzjadliwszych plotek i najwstrętniejszych insynuacyj jest także pole korespondencyj miejscowych. Na

niem przodują innym gazety szowinistyczne, wychodzące we wschodnich dzielnicach państwa. Warto zagłębiać się w tę ogromną, codzienną literaturę, którą karmi się tak wielka część publiczności niemieckiej, a która znów służy za źródło informacji dla pism w innych prowincjach. Co chwila spotkać tam można drastyczną opowieść o zaczepliwości polskiej. Tu intrygi polskiego kupca zrujnowały zacnego, lecz prostodusznego handlarza germańskiego. Tam znów Polacy gwałtem pragnęli załatwić swoje zakupy u sympatycznego przybysza z zachodu, ale niesumienni agitatorowie wywołali taką wrzawę w miasteczku, że nikt nie śmie zajrzeć do składu nie polskiego. Ucisk Niemców straszny, wysiłki nieszczęśliwych pionierów germanizmu giną marnie wobec zajądłości naporu słowiańskiego.

Czasem obraz tej nędzy jest wprost wzruszający. Oto ojciec rodziny, weteran z kampanii francuskiej, przybywa obarczony liczną rodziną do polskiej osady, by tam krzewić niemiecką kulturę i zarobić sobie na kawałek chleba. Zacny to mąż, bohater prawdziwy, pracowity, oszczędny, zapobiegliwy. A jakże szlachetny! Nie czyni żadnej różnicy w sprawach narodowościowych. Jeżeli jest kupcem, chętnie sprzedaje doskonały towar niemiecki polskim dzikusom, którzy wcale tak dobrych rzeczy nie warci. Jeżeli jest rolnikiem, okazuje równą gotowość pracowania na polskiej ziemi, jaką okazywał na niemieckiej. Owszem, większą nawet, bo tam, hen, w domu, na rodzinnych śmieciach, nie powodziło mu się zupełnie i zawiść losu, a także gorący patryotyzm, zniewolił go do obarczenia się subwencją rządową na zagospodarowanie się powtórne.

Ale próżne bohaterstwo, daremna praca i poświęcenie! Zacny pracownik dostał się w takie piekło polonizmu, że niema dlań z niego wyjścia. Prześladowają go sąsiedzi, znieważają słowem i czynem. Dzieci polskie obrzucają go błotem. Bydło mu zdycha, choć nigdzie w okolicy nie panuje zaraza. Dla czego zdycha? Odpowiedzi niema, ale za to szereg kropek, które mówią więcej niż słowa. Autor korespondencji odwiedził nieszczęśliwego w jego sadybie. Zastał gospodarstwo zaniedbane, a jego samego strasznie pijanego. Nic dziwnego, że się biedak w tak okropnem położeniu zdemoralizował. Lecz czyż takim ma być los twoich dzieci, niewdzięczna Germanio! To woła o pomstę do nieba. Więc ratujcie współbracia niemieccy ginących pobratymców na wschodzie, ratujcie, bo smok obcej rasy, już już otwiera paszczę, by pożreć ostatki waszych legionów!

W innej okolicy robotnicy polscy zuęczają się nad niemiec-kimi. Była bójka, kilku Niemców wyniosło z niej sińce. To tak-

że skandal ostatni, nad którym redakcyja łączy roni. A epilog owe-go zdarzenia, polegający na zasądzeniu właśnie owych pobitych za wywołaną po pijanemu burdę, oczywiście pozostawia się do użytku polskiej gazety. Efektu patryotycznego, wywołanego podaną notatką, psuć nie można niemilem zakończeniem. Czasem zarzuty są ogólnikowe. Naprzykład, że księża polscy w danej okolicy nawołują do prześladowania katolików niemieckich. Oszczerstwo rzucone, ale nikt nie jest wymieniony, więc najczęściej niema obawy o sprostowanie na mocy paragrafu ustawy prasowej.

Zresztą Polakom, szczególnie na wsi, nie często wpadają w ręce piśmięta szowinistyczne i nie wielu z nich interesuje się tem, co o nich piszą. Gdy zaś oszczerstwo, zbyt jaskrawe, zbudzi czujność dotkniętych osobistości polskich, wtedy, zmuszona przez ustawę, zamieszcza gazeta sprostowanie, ale zaraz za niem szereg takich jadowitych podejrzeń, że po raz drugi wypadłoby żądać sprostowania. Zazwyczaj jednak poszkodowani, nie chcąc w nieskończoność spierać się z fałszem opinii, uciekają się pod skrzydła prasy polskiej i tam wynurzają swe żale. To już organowi oszczerczemu jest obojętnem. Polskich ramot i tak nikt w świecie kulturalnym nie czyta.

Osobny dział bałamucenia opinii stanowią sprawy ekonomiczne. Oprócz dramatycznych opisów z doli niemieckiego ludu na wschodzie i obrazków rodzajowych w guście przytoczonego powyżej, rozwija się na polu gospodarstwa krajowego poważniejsza praca reklamy antypolskiej. Statystycy, publicyści wyższego pokroju, uskuteczniają mozolne zestawienia na temat ekonomicznej odrębności Polaków. Tam cyfry są przeważnie prawdziwe. Rzecz ma posiadać wygląd naukowy. Ale wnioski najzupełniej fałszywe, a i zestawienie cyfr tendencyjne.

Krótko przed nowemi żądaniami powiększenia sum, przeznaczonych na kolonizacyę, ukazują się zazwyczaj różnorodne elaboraty o działalności naszych instytucyj parcellacyjnych, o sprzedażach ziemi Polakom przez Niemców. Wynika z tych prac zawsze końcowe twierdzenie, że niemieckiej własności ziemskiej zagraża pochłonięcie przez polską, i że Niemiec nie może pod względem ekonomicznym sprostać Polakowi. O tem, że właśnie obecny system kolonizacyi państwowej osłabia i zabija nieraz dawną kolonizacyę prywatną, że demoralizuje żywioł niemiecki, przyzwyczajając go do wyzyskiwania hojności rządowej, publikacye owe oczywiście milczą.

Na inną za to nutę grają fujarki szowinistyczne, gdy głoszą chwałę samejże instytucji kolonizacyjnej. Wtedy przedstawiają wszystko na różowo. Kosztowna i źle rentująca się gospodarka finansowa kolonizacji, opisywana jest nader pochlebnie. Nie można przecież zniechęcać izby i wyborców do nowych nakładów, na które czeka już głodna rzesza amatorów państwowej pomocy. Gdy w ostatnich latach polski mówca w izbie panów bardzo drastycznie przedstawił marnowanie na finansowe wybryki antypolskie pieniędzy ludności, płacącej podatki, warto było śledzić, z jak wzorową jednomyślnością cała prasa, nam wroga, przechodziła do porządku dziennego nad niemiłymi rewelacjami, dając na nie odpowiedzi niejasne, lub przemilczając je zupełnie.

Ma się rozumieć, że ogólna tendencja tej antypolskiej polityki pióra jest zawsze polityczno narodowa. Taki n. p. Związek spółek zarobkowych, instytucja, podnosząca przemysł i handel krajowy i zasługująca na jak największe poparcie ze strony cywilizowanego państwa, bezustannie przedstawiana jest, jako knująca polityczne intrygi, wrogie państwu, przyczem pomijanym bywa starannie fakt, że Związek w swych operacjach finansowych bynajmniej nie bojkotuje Niemców, lecz owszem, pomimo walki narodowościowej na tle ekonomicznem, stale wobec nich jest bezstronnym.

Łatwo sobie wyobrazić, jak zachowuje się prasa antypolska wobec nowopowstałego związku „Straży“, mającego w swoim programie działalność na wszystkich polach, a więc ekonomicznem i politycznem i unysłowem. To temat, po nad inne, wygodny do rozpuszczenia fantazyi szowinistycznej. Więc cała czereda geniuszów pozłacanych zabrała się do roboty, by na tej kanwie snuć swe pomysły. Polacy już jawnie urządzają sobie rząd narodowy, który skupiać ma wszystkie ich siły. To prowokacja niesłychana, to wymaga odpowiedzi pod postacią nowych praw, ostrzejszych, skuteczniejszych, niż dotychczasowe. Pokażmy tym buntownikom, że umiemy odpowiadać na tego rodzaju manifestacje.

Znów inny głos bierze asumpt z założenia „Straży“ do tem gorliwszego popierania hakatyzmu. Teraz już chyba ustana wszelkie wątpliwości co do pożyteczności związku kresów wschodnich, woła oburzony pra-Niemiec. Teraz do tego związku powinien przystąpić każdy, w kim bije serce germańskie, od Bałtyku do gór Ołbrzymich. Polacy spiskują, Polacy dążą do rewolucyi, czemuż traktujemy bezwzględnie dalekich Hererosów, a zakładamy zbyt często aksamitne rękawiczki, gdy dotykamy wroga najbliższego, a daleko groźniejszego. I pisząc tak, znów ani słówkiem

nie zaznaczają gadzinowe organa, że przecież „Straż“ jest związkiem legalnym, zgodnym z ustawami państwa i że ma na celu akcyę obronną, a nie zaczepną. Znow nikt nie powiada czytelnikowi niemieckiemu, że każdy krok działalności „Straży“ odbywa się jawnie i że o spisku mowy tu być nie może.

Bo w wielkim procesie dziejowym, w którym Polacy przed forum niemieckiem grają rolę oskarżonych, niema dla nich obrońcy. Oskarżyciel tylko ma głos, a publiczność z jego tylko ust dowiadyuje się o ich rzekomych winach. Więc, choć niejedyn przekonany jest o niesłuszności czynionych zarzutów, chętnie jednak słucha owych napaści, zadowolonym jest, że brak obrony usprawiedliwia go przed światem i przed samym sobą, ułatwiając mu bez wstydu korzystanie z niedoli uciśnionych. Gdyby obrona istniała, gdyby forum opinii niemieckiej miało ustawicznie przed oczami bezprawność postępowania wobec oskarżonych, wtedy, co prawda, działałoby może tak samo, jak działa obecnie, ale byłby wstyd, nie możnaby już oczu podnosić ku niebu z prośbą o błogosławieństwo Boże na walkę z Polakami <sup>1)</sup>.

Lecz, czy rzeczywiście niema obrony żadnej? Czy głos prawdy o stosunkach w dzielnicach polskich nie ma żadnego sposobu przedostania się do publiczności niemieckiej? Oczywiście, niema reguły bez wyjątków. Wyjątki są i w tym wypadku, lecz przypatrzenie się im nie jest pocieszającym. Píše prawdę o stosunkach polskich część prasy katolickiej. Przedewszystkiem wychodząca nad Renem *Kölnische Volkszeitung*. Pismo to, należące do rodziny Bachemów, bogatej i niezależnej, a szczerze katolickiej, zachowało w pełni szlachetne zasady dawnych bojowników, za sprawę wiary. Żyje w niem dotąd i działa duch Windhorstów, Mallinekrodtów, Schorlemer-Alstów. Całem wydawnictwem kieruje myśl przewodnia, że centrum w izbach niemiecko pruskich, powstałe na zasadzie ideału, stracić musi racyę bytu, skoro odstąpi od tej zasady. I dziś, gdy walka o prawa katolików niemieckich coraz bardziej ustaje, gdy rząd i cesarz głośno oświadczają swą sympatyę dla swych katolickich poddanych narodowości

---

<sup>1)</sup> Ciekawe są też wiadomości niemieckiej prasy z Królestwa Polskiego i z Galicyi. Fantastyczność, a zarazem tendencyjność wieści z Warszawy, była w ostatnich miesiącach wprost niepojętą. A gdy w Krakowie ciała naukowe obchodziły rocznicę szyllerowską, milczały o tem nawet fachowe pisma, które przecież zamieściły sprawozdania z choćby najdrobniejszych obchodów w całym świecie wtedy odbytych. Nie można przecież pokazać ludziom, że Polacy umieją uczyć zasługę i geniusz także obcej sobie rasy.

niemieckiej, nie zapomina *Köln. Volkszeitung*, że w tem samym państwie dzieją się najstraszniejsze krzywdy milionom innych katolików, których jedyną winą jest, że są obcego pochodzenia. To też w piśmie tem, nietylko nie są przekręcane mowy posłów polskich, ale także ukazują się niekiedy artykuły redakcyjne i korespondencye o sprawach polskich, rzucające prawdziwe światło na stosunki w dzielnicach wschodnich.

Ale za to, jakże trudnem jest, wobec niemieckiego społeczeństwa, stanowisko tego niezależnego organu. Jego występy w obronie prawdy natychmiast nazywanemi są przez całą falangę prasy zależnej, obroną polityki polskiej. Uczciwa gazeta obsypywana jest podejrzeniami najwstrętniejszej natury. Redakcyi zarzuca się brak miłości ojczyzny, czasem przekupstwo, np. milionami, zebranemi przez Watykan i Jezuitów na cele odbudowania Polski. Nam się tego rodzaju zarzut wydaje żartem niesmacznym. Dla przeciętnego niemieckiego spießbürgera jest on czemś bardzo poważnem.

*Köln. Volkszeitung* nawet ze strony katolickiej niejeden musi znosić przytyk. Znacznej części posłów centrowych jest ona, dla swej prawdomówności, niewygodną. Nie wiele zaś z pism katolickich towarzyszy jej w śmiałym wygłaszaniu prawdy. Dawniej dzielnie za nami ujmująca się berlińska *Germania*, coraz chłodniej zachowuje się w sprawach katolików polskich, a zdarzało się już, że występowała przeciw nam z wyraźną niechęcią, motywując swoje postępowanie tem, że niektóre polskie czynniki nie pragną zgody z centrum, choć mogłaby, jak dawniej, opierać się na motywie przeciwnym, a mianowicie na tem, że w ogromnej większości wypadków z życia polityczno społecznego katolicy polscy daleko więcej okazują względów dla uczuć narodowych katolików niemieckich, niż ci ostatni dla Polaków. To samo, co o *Germanii*, powiedzieć można o większości wśród pism katolickich niemieckich. Uprzywilejowane stanowisko centrum wobec rządu oddziaływa w sposób demoralizujący na prasę tego stronnictwa. Katolickie biuro korespondencyjne berlińskie ulega również tym niezdrowym wpływom.

Daleko ogólniej i wyraźniej ujawnia się krytyka stosunków, panujących na wschodzie państwa, w potężnej prasie, zależnej od stronnictwa panów Bebla i Singera. Tam nic nie jest obwijanem w bawelnę. Owszem nieraz bardzo surowo i otwarcie karczone bywają objawy zjadłości antypolskiej, oczywiście, gdy tego rodzaju występ korzystnym jest dla celów stronnictwa. Niejedna rewelacya o naszych stosunkach tą drogą wydostała się na światło

dziennie. Ale cóż, kiedy ta właśnie obrona najczęściej szkodzi nam więcej, niż pomaga. Ludzie, stojący w otwartym przeciwieństwie do istniejącego porządku rzeczy i do wszelkich zasad religijnych, nie mogą być powołanymi obrońcami społeczeństwa, w którym całość ich programu działania tak mało liczy zwolenników. Przemawianie ich za uzdrowieniem stosunków w dzielnicach polskich pod panowaniem pruskim i piętnowanie z ich strony dziejących nam się krzywd, niewątpliwie przynosi im zaszczyt i podnosi wartość moralną stronnictwa. Ale zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że gdyby ich zasady znalazły wstęp do zachodnio polskiej ludności, wywołałyby jeszcze większe zło, niż obecnie, bo zamięt, rozdwojenie i nienawiść stanową w łonie samego społeczeństwa naszego.

I dlatego, ani nam nie wolno polegać na tej publicystycznej pomocy, ani świadectwa z tej strony o bezprawiach, dziejących się u nas, nie są uważane, jako rzeczywiste świadectwa przez tych, którzy z owem stronnictwem w otwartej znajdują się walce. W przeciwieństwie do, niestety; zbyt nielicznych, rewelacyj ze strony prasy centrowej, które wprawiają zawsze naszych przeciwników w zakłopotanie, nie wywierają też głosy przyjaciół p. Bebla o naszej sprawie, tego wrażenia, które wywierałyby ze strony wszystkim innym stronnictwom mniej podejrzanej.

W szeregu tych, którzy nie wahają się o rzeczach polskich pisać prawdę, należy jeszcze wymienić bardzo nieliczny zastęp niezależnych pism liberalnych, jak np. *Berliner Zeitung*. Ale pisma to przeważnie drugorzędne, pozbawione wpływu i znaczenia. W dodatku i one tak samo, jak sprawiedliwy wobec nas odłam prasy centrowej, nie mogą przecież spraw naszych stawiać na pierwszy plan swej działalności i muszą się z natury rzeczy przede wszystkim zajmować tem, co im bliższe. Redakcyje tych pism nie mogą i nie chcą przepełniać łamów gazety korespondencyami z naszych stron. Tak zatem przedstawia się wyświechtanie prawdy o naszych sprawach, o ile wchodzi w grę inicjatywa ze strony niemieckiej.

Pozostaje nam teraz omówienie inicjatywy istniejącej, lub możliwej ze strony polskiej. Istnieje jej, trzeba przyznać, bardzo niewiele. Pojawiają się od czasu do czasu broszury i publikacye, pisane przez Polaków po niemiecku, które prostują fałsze, o nas rozsiewane. Są one jednak stosunkowo nieliczne, tak samo jak podobno wydawnictwa, ogłaszane niekiedy przez Niemców, np. znana książka Wagnera p. t. *Polenkoller*. Ginią one wobec olbrzymiej liczby publikacyj o kierunku przeciwnym, a brak wszelkiej



reklamy i tendencyjne przemilczanie ze strony pism nam wrogich, sprawiają, że nie dostają się one do wiadomości szerszego ogółu. Zdarza się też, że nieszwinińskie pismo niemieckie przyjmie artykuł, nadesłany przez Polaka. Ale tego rodzaju głosy, jak już wykazaliśmy, mówiąc o uczciwych korespondencyach z ziem polskich, skazane są z góry na wielkie ograniczenia, co do ilości i rozmiarów. Przyjęcie artykułu od Polaka stanowi zawsze łaskę, a łask, jak wiadomo, nie można nadużywać.

Daleko łatwiejszym jest dostęp do prasy innych narodowości. Niestety z tej sposobności obznajamiania opinii światowej o stosunkach pod zaborem pruskim korzystają jego mieszkańcy zbyt mało. Zaniepokojenie organów hakatystycznych niedawnymi uwagami londyńskiego *Times'a* i tak samo wielki ich gniew, gdy pośrednio inne, nam przyjazne, enuncyacje ukazały się w prasie angielskiej, wielce są w tej mierze charakterystycznymi. Zaznaczając ważność tego rodzaju informacji, musimy jednak stwierdzić, że sposobność do wywoływania ich nie jest zawsze równą, lecz zależy wielce od prądów chwili w danym społeczeństwie. Nieraz już starania z polskiej strony o zamieszczenie treściwej korespondencji spotykały się z odpowiedzią, że artykuł przechowany zostanie w redakcyi na później, aż do chwili odpowiedniej. Ale chwila ta nadchodziła dopiero po miesiącach, gdy poruszana w artykule sprawa straciła już swe znaczenie. Prócz tego pierwszym i najgłówniejszym warunkiem jest zawsze w tych razach taki dobór treści nadesłanego artykułu, by przypadł do smaku obcej publiczności i zchodził się, choć pośrednio, z jej dążeniami i interesami.

Nie zamierzamy powiększać rozmiarów niniejszej rozprawy obszernem zastanawianiem się nad tem, w jakim stopniu i gdzie wpływy polskie mogłyby w prasie zagranicznej uświadamiać opinię o panujących u nas stosunkach. Podkreślimy tylko istną wściekłość szwiniństwa niemieckiego, gdy w swoim czasie kilka organów sąsiedniego państwa rzuciło trochę światła w gąszcz intryg hakatystycznych. Za to wrócimy jeszcze w kilku słowach do rzeczy, poruszonej na wstępie naszych uwag, mianowicie do stałych informacji za pomocą własnego, w języku niemieckim redagowanego, organu.

Wiemy już z doświadczenia, że drogą subwencji finansowej nie można wiele osiągnąć. Polską subwencję uchylili niebawem większa subwencya niemiecka. Gazeta po krótkim wygłaszaniu prawdy, w najlepszym razie pozostanie wobec nas neutralną. Jedynym, rzeczywiście trwałym, środkiem byłoby posiadanie na włas-

ność pisma, w języku niemieckim, rozsyłanego zadarmo w wielkiej ilości egzemplarzy. Pismo takie redagowane sumiennie, podające tylko fakta i dane zupełnie pewne i mogące śmiało w nagłówku swoim zamieszczać wezwanie do bezwzględnego sprawdzania podanych wiadomości, stałoby się oczywiście wielce niewygodnym dla tych wszystkich, którzy, żyjąc hipokryzyą, korzystają z dotychczasowego bałamucenia opinii, by działać w sprawie polskiej na mocy zasad wprost przeciwnych tym, które wyznają na innych polach. Obojętnem byłoby ono, chyba tylko hakatystom najczystszej wody, tym, którzy jawnie stwierdzają wojnę rasową i od Polaków nie żądają niczego, nawet zniemczenia się, głosząc śmiało prawo przemocy i wytępienie żywiołu obcego w państwie. Pomimo jawnego posiadania takiego pisma przez Polaków musiałyby zajmować się niem pilnie sfery rządowe, przekonawszy się i wiedząc, że wszystko w niem polega na prawdzie i, że nie podobnym jest udowodnić mu w czemkolwiek przesadę lub kłamstwo. Że zaś te sfery najczęściej byłyby dotknięte rewelacyami owego organu i że, wskutek rozsyłania go darmo, nie byłoby sposobu przemilczeć jego wywodów za pomocą karności zależnej prasy, więc stałby się on niewątpliwie nadzwyczaj niemiłym zwierciadłem ich działalności. Rozsyłany zaś również większym pismom zagranicznym, stanowiłby dla nich zawsze gotowy materiał na wypadek zainteresowania się danego społeczeństwa węzłem gordyjskim polityki prusko-polskiej.

Ale jakże trudnem byłoby założenie i prowadzenie takiego organu. Sama strona finansowa takiego przedsięwzięcia stanowiłaby dlań nieprzepartą przeszkodę. Uciśnione społeczeństwo polskie w Prusiech nie czuje się na siłach do wielkiej ofiarności na cele publiczne. Wiadomo przecież, że do tej pory, pomimo licznych nawoływań, dość pustą jest kasa centralnego komitetu wyborczego, nadzwyczaj ubogo uposażonem polskie biuro informacyjne w Poznaniu, mające zbierać materiał dla mów poselskich, niesłychanie szczupłemi są fundusze naszych redakcyj, które budżety swych pism utrzymują w dobrym stanie, tylko dzięki uszczuplaniu kosztów redakcyjnych. Organ zaś informacyjny, o którym mówimy, pozbawiony byłby w znacznej części dochodu z prenumeraty, a wymagałby obsługi bez porównania droższej niż ta, na którą mogą sobie pozwolić ubogie pisma polskie.

W rozmowie na ten temat wśród groma obywateli wielkopolskich, jeden z obecnych, ubolewając nad niemożnością założenia niemieckiego organu informacyjnego, przedstawił ewentualny jego kosztorys. Wynikało z niego, że przedewszystkiem należało-

by zorganizować dokładną służbę informacyjną z prowincyi, mieć szereg sprytnych i dobrze płatnych reporterów, którzyby ciągle znajdowali się na wywiadach, badali sumiennie i ze znanstwem stosunki w poszczególnych szkołach, zachowywanie się urzędników pruskich, śledzili zebrania i agitacje hakatystów, dowiadywali się od włościan o trudnościach, stawianych im przez władze, w konsensach na budowanie domów, przypatrywali się gospodarce tak dziwne podobno zawierającej tajemnice komisji kolonizacyjnej na zakupionych przez nią ziemiach. Następnie równie ważnem, a jeszcze trudniejszym, byłoby wnikanie w tajniki władz centralnych, informowanie się o sposobie używania powierzonych sobie funduszków państwowych przez centralny zarząd kolonizacyi, o sumach, marnowanych na olbrzymie prowizye dla pośredników i t. d.

Wszystko to jest również zadaniem i przedmiotem usilnych starań polskiej prasy, a wiemy, jak mało ona na te cele poświęcać może funduszków, jak wiele rzeczy dochodzi do jej wiadomości zbyt późno lub niedostatecznie. W iluż to szkołach działały się i dzieją jeszcze nadużycia, a o wielu u nas pisano? Ile to bojaźliwości u steroryzowanych mieszkańców zapadłej wioski trzeba przemódcz, zanim się uzyska świadków potrzebnych i jakże często wogóle cała sprawa znana jest tylko najbliższemu otoczeniu. Gdzież ukazuje się statystyka szkół, w których lekcye katechizmu odbywają się tylko pro forma i w których dzieci wogóle nie uczą się religii, gdy nauczyciel obawia się wywołać drugą Wrześnię. A wiemy przecież, że tych szkół jest wiele.

Bo te wszystkie informacye wymagają ludzi odpowiednich i pieniędzy. Więc czego dla swej prasy nie może uczynić społeczeństwo wielkopolskie, tem mniej mogłoby ono ofiarować to organowi, co prawda własnemu, ale w obcym języku pisanemu. Przedsięwzięcie tego rodzaju na mniejszą skalę, byłoby wprawdzie łatwiejszem do wykonania, ale mniejsze, w takim razie, jego znaczenie stanowiłoby okoliczność zniechęcającą. Powstała przed kilku laty korespondencya polska, ograniczająca się na podawaniu tłumaczonych na niemieckie artykułów polskiej prasy, upadła po wydaniu kilku numerów dla braku poparcia.

Tak więc mamy przed sobą zło, na które nie posiadamy skutecznego lekarstwa. Położenie Polaków w Prusiech na samym pasie granicznym świata germańskiego, sprawia, iż mają oni do czynienia z całym zastępem sił kulturalnego społeczeństwa. I jak w wojnach nowożytnych, nie tylko siła znaczy brutalna, lecz olbrzymi zasób inteligencyi objawia się w wydoskonalaniu techniki zniszczenia, tak i w wojnie rasowej, prowadzonej przez naród wysoce

rozwinięty w swem bogactwie i wykształceniu, wszystkie siły jego ducha służą prawidłu gnębienia słabszego przez mocniejszego. A siły te, oparte na materyalnych środkach i organizacyi, popieranej przez państwo, są wobec nas jeszcze bardziej przeważającemi, niż potęgi czysto materyalne, które w dzielnicach polskich pod panowaniem niemieckiem walczą z nami bezpośrednio. Wobec tych ostatnich, choć obrona coraz trudniejsza, wzrasta jednak energia jednostek i energia zbiorowa. Wobec pierwszych zaś, wobec wyrafinowanej taktyki faryzeizmu germańskiego, jesteśmy niemal zupełnie bezbronni.

Z Bogiem na ustach i hasłem cnoty na swoich sztandarach, kroczy przeciw nam potęga germańska. Bezwzględna jest ona dla uciśnionych, ale zgodnie z instynktem swej rasy dbającą o decorum wobec siebie samej i wobec świata, a dość rozumną, by to decorum przeprowadzić skutecznie, z pewnością nie wobec ludzi, głębiej myślących, ale wobec opinii światowej, równie płytkiej i niezgłębiającej prawdę, jak opinia małomiasteczkowej ulicy.

Mickiewiczowski Krzyżak, który na wschodniem pograniczu nabija strzelbę i liczy różaniec, nie odrodził się w swych potomkach. Nam zaś, zachodniej straży tępionej przezeń rasy, rzut oka na najwstrętniejszy ten objaw jego instynktu zaborczego niech będzie nową wskazówką, że w walce z takim wrogiem wszelka nadzieja zmiany właściwej mu natury, jest płonna. W sprawie tego, czego się możemy spodziewać od żywiołu germańskiego, choć nie w sprawie przyszłości naszych kresów, zależnej od Boga i własnego wyrobienia, godzi się Polakom w Prusiech powtórzyć dantejskie słowa — lasciate ogni speranza.

FRANCISZEK MORAWSKI.

# SZKICE BAŁKAŃSKIE.

## Perasto w Boce Koterskiej (Boche di Cattaro).

*Lipiec.*

Nigdzie śmierć nie przemówiła do mnie smutniej i piękniej, jak tu, na brzegu Perasta, w gorący poranek letni.

Patrzyłem z morza na miasto umarłe.—Wszędzie pustka, rozwalone mury, pałace weneckie z zapadłymi stropami, delikatne odrzwia o szlachetnych profilach, bez drzwi, smukłe kolumny, które nie podpierają nic, bo kamienne łuki rozsypały się w gruzy. Po gzymsach i obramieniach okien, pełzają dzikie powoje, pracownicy zniszczenia, owijają się około filarów, czepiają się rys i pęknięć, chcąc zdusić resztę dzieł ludzkich, zniszczyć ślad, że gospodarował tu człowiek. Słońce błyszczące jaskrawi się na tej gromadzie opuszczonych pałaców, raduje się zielenią zdziczałych ogrodów i winogradów.

Miniona siła i życie bujne!

Z weneckiej Kampanilli, nie dzwoni nikt na Ave, wszystko milczy, woła tylko śmierć, siedząca na ruinach wśród myrtów i drzew cyprysowych. A jednak nawet ta śmierć opowiada wymownie chwałę Wenecyi, pani Adryi, która w tych krzesanicach dzikich sadziła kulturę szlachetną i zielone drzewa oliwek.

Pluska i gwarzy morze, jak dawniej błękitne i czyste, żyjące ruchliwą falą i dziwi się, że nie widać pięknych dziewcząt ubranych w jedwab i perły, że zamilkły gitary i nikt nie śpiewa o miłości i o życiu pięknem, że szlachetni „cittadini“ nie prowadzą poważnych rozmów w loggiach i pod arkadami pałacu miejskiego, a w półcieniach nie brzmią, jak niegdyś, krzyki zuchwa-

łych marynarzy, rybaków, handlarzy wina i oliwek i kupców wiozących z Wenecyi aksamit i jedwabie, szkło i sukno barwne.

Miniona siła i życie bujne!

Niegdyś, w jasnoblyszczącym Perasto żyli „pod skrzydłem weneckiego doży,” obywatele dumni i zuchwali junacy, znający się z morzem, bitni w spotkaniu wręcz i w zasadzce, nawykli do walk z Turkami, wyborni żeglarze, których „galce“ szły na daleki Lewant.

Dawne pieśni przymorskie przechowały z przejść tego miasta historję dziwnie ciekawą.

Było to w roku 1573.

Gdy Hiszpanie na krótki czas przyszedli na leże do miasta Novi — powiada pieśń — ci Hiszpanie do nieuczciwych gwałtów nawykli, pewnego dnia wyruszył wódz Don Carlos z oddziałem komnych objeżdżać ziemię. W drodze napotkał dwie sieroty z Perasta, dwie służebne, które szły gdzie je pan posłał i bezecnie je słałbił. Kiedy dziewczęta opowiedziały panom, co je spotkało, zawrzało „w Peraście, białem mieście ucziwem.“

„Więc poczęli Peraszczanie między sobą tak uradzać,

Bodaj pierwaj wyginęli Peraszczanie bracia nasi,

Mili bracia nasi —

Niżlibyśmy na rycerzach tego czynu nie pomścili.“

Postanowili wysłać na zwiady do Novego - grodu Vukmira Bożanowicia zaufanego junaka, żeby rozpatrzył, jakby się najlepiej zemścić. Vuk nie bawił długo w Novem. W 8 dni rozpatrzył się pięknie i wrócił do Perasta, ten żołnierz chwalebny. Zgromadziwszy obywateli tak do nich przemówił: „Wiedźcie Peraszczanie chrobrzy, że jutro ruszają z Novego wszyscy rycerze hiszpańscy z Don Carlosem na czele, żeby zbierać dziesięcinę po kraju.“

Postanowiono zemstę wykonać natychmiast.

W ciemną noc poszli „na sine głębokie morze,“ które ich tam zaniosło, gdzie mieli czatować na Hiszpanów. Wysiedli i koło źródła wody chłodnej uczynili zasadzkę. Kiedy zorza ubielila dzień i słońce weszło, szczęście przyniosło im rycerzy z Novego.

„Był przed nimi na rumaku sam Don Carlos wojewoda,

A przy mężu tuż jechała Don Carlosa wierna żona,

Młodziotka Hiszpanka.

Tu rycerze przystanęli, aby spocząć przy chłodniku,

Lecz w tej chwili Peraszczanie piękne strzelby wymierzili —

Młodzi Peraszczanie.

Ze strzelb pięknych wystrzelili, a dobyli ostrych mieczów;  
Tu czterdziestu trzech Hiszpanów z Peraszczańskich rąk poległo—  
Hiszpańskich rycerzy.

Don Carlosa wojewodę żywcem w ręce pochwycili,  
A z nim razem pochwycili Izabellę, jego żonę,  
Hiszpańską niewiastę.

Przed oczyma Don Carlosa Izabellę miłowali,  
Ona młoda łzy ronila, rozdzierała białe lice —  
Młodziutka Hiszpanka.

Ale do niej Peraszczanie takie słowa przemawiali:  
„Nie przeklinaj Izabello nas witeziów Peraszczanów —  
Młodych Peraszczanów.

Lecz przeklinaj twego męża Don Carlosa, o niewiasto!  
Co on pierwej nam pożyczył, tośmy jemu powrócili,  
Małżonkowi twemu!“

Więc odcięli Peraszczanie tę rycerską prawą rękę  
I odcięli te haniebne, te sromotne jego usta,  
Don Carlosa wodza,

Usta, które całowały tamtych sierot młode usta.  
Niech się śmieje z niego teraz wszystek naród i drużyna —  
Z wodza hiszpańskiego!

W taki sposób do Nowego odprawili Don Carlosa.  
Kiedy wszystko, co się stało zobaczyła Izabella,  
Młodziutka Hiszpanka.

Ona sobie własną ręką tu przecięła białą szyję.  
Odtąd ona chłodną wodę, ludzic grobem zwał hiszpańskim  
Oną chłodną wodę.

Peraszczanie sądzili, że wykonali akt rycerskiej sprawiedliwości, bo pieśń sławi ich, jako „rycerzy i witeziów,“ którzy nie dali swej czei pohańbić i życzy wszystkim dobrego zdrowia i wesela.

Krzyczy tu głośno cała dzikość wyrafinowana tych czasów, w których zresztą i sprawiedliwość państwowa nie zerwała jeszcze z zasadą zemsty.

Peraszczanie mieli sławę wybornych żeglarzy i żołnierzy, a choć nieliczni, nie ustępowali nikomu i sławnie potrafili „oddać żalność za sromotę:“

Żeglował Nikola z Perasta wzdłuż wybrzeża Albanii i zawiąnął pod Pasztrowicami, <sup>1)</sup> gdzie miał pobratyma. W chacie u niego pił wino i rozmawiał, gdy napadła nań dziewczyna, którą dawniej miłował.

<sup>1)</sup> Na wybrzeżu albańskiem.

„Czyś zapomniał Nikola, jakeś mię miłował u matki mojej młodziutką dziewczynę i dałeś mi słowo, że mię weźmiesz za żonę. Dałeś mi pierścień z prawej ręki a teraz—słysz—zaręczyłeś się w Peraście białem.“

— „Prawda dziewczyno, zem cię niegdyś całował u matki twojej, lecz dałem ci za to 30 złotych cekinów, a co mówisz o złotym pierścieniu, to nieprawda, bo samaś go zdjęła z mojej ręki prawej. Nie ożenię się z tobą, choćbyś mi dała pół Pasztrowiców.“ Wtedy dziewczyna poczęła pokrzykiwać Pasztrowiców mściwych junaków: „A gdzieście mi Pasztrowicianie bracio moja! szybko przyskoczcie w pomoc, bo wziął mię siłą Nikola z Perasta!“

Nikola widząc, że zginie, szybko skoczył do barki i odepchnął ją od brzegu, bo już zaczęli ruszać się górale. Bóg i szczęście napełniło mu żagle wiatrem ze wschodu i zaniósło do rodzinnego miasta.

Ale Pasztrowicianie nie dali za wygraną. Niezadługo potem dwunastu junaków wsiadło na „gajetę“ pod wodzą Dżura Davidovića i popłynęło po zemstę. Było to święto.

Właśnie chodził Nikola przed kościołem św. Mikołaja, gdy Pasztrowiće zawinęli do Perasta. Wódz Dżuro zobaczywszy wroga natychmiast położył go trupem z pistoletu; potem wszyscy uciekali na łodzi co żywo.

W Peraszcie zabrzmiały dzwony na trwogę, kto żyw brał oręż i szedł na morze. Zaczął się straszny pościg. Napastnicy uciekali chyżo przed śmiercią, ale ona doścignęła ich jeszcze prędzej tuż pod cerkwią św. Niedzieli.

Tam zginęło w walce 20 Pasztrowićan i Dżuro Dawidowić posiekany w kawały przez rozwścieczonych Peraszczan.

## Pod wysepką Madonny dello Scarpello.

Bisiorem się góra łśni, moje jagnię ty białe  
 Przyjdź do mnie o zmroku wieczornym—  
 Bisiorem się góra łśni, moje jagnię ty białe.  
 (Z pieśni ludowej)

Pod wieczór kiedy na dalekiej pustyni morza, słońce ginie w niesłychanym przepychu, w zatoce dzieją się cuda. Ostre kontury skał zachodzą mgłą różową, łagodnieje śmiertelna groza ka-



miennych zwalisk, gdzieś w mrocznych tajniach planin<sup>1)</sup> przepada rozpaczliwy smutek, wystraszony błyszczącą powodzią barw.

Wówczas podnosi się w królewskiej wspaniałości zduszone życie, ruch i szumiąca radość. Płomienie przebiegają powietrze, fala stroi się klejnotami jak piękna dziewczyna oczekująca dzuwigię<sup>2)</sup> w upragnieniu miłosnem i w blaskach zausznicy złotych i naszyjników.

Przyjdź! rozplatać będziesz włosy moje i rozerwiesz

(dżerdan<sup>3)</sup>) na szyi białej,

Potoczą się perły po piersiach,

Zapłoną nasze usta młode...

Od Catene przez wąską gardziel, wyrwaną wśród gór, buchają fioletowe dymy, po turniach spływają błękitnawe, miękkie opony, dzierzgane chryzolitami, ponad wodą cichą dyszy gorąca rozkosz i pożądanie niezmierne, silniejsze niż purpurą słoneczna, niż woń mirtów i pinii, płynąca od brzegów.

„Bisiorem się góra łśni, moje jagnię ty białe!”

Lubię w takiej godzinie być na morzu, czuć jego słony oddech i patrzeć na białe sznurki, przelewające się z wiosła, na długi pas, który barka zostawia za sobą, błyszczący, jak turecka chusta weselna.

Można zapomnieć o wszystkim, zanurzyć się w marzenie, w ów stan nieświadomej błogości, tak ukochany przez ludzi wschodu. Zatoka ginie wprost w ulewie różanej. Zdaje mi się, że to rozkwitnął wśród gór ów dzulistan<sup>4)</sup> prętów arabskich, „czarowny ogród, w którym wieczorny powiew rozruca deszcz listków szkarłatnych i zapach cieszący serce znękane.“

Za Hrivościjami tysiąc płonących pochodni bryzga czerwonymi ogniami po górach, przygasa i znów bije krwawym żarem. W szalonym zgiełku barw, w olśniewającym migotaniu rubinów, purpury, ametystów i topazów, w krzyku drgających świateł zniża się dzień.

Powoli zwisa ponad wodną kotliną znużenie letniego wieczoru. Po niebie płyną cicho obłoki, jak stada białych mew

1) Turnie.

2) Kochanek.

3) Naszyjnik.

4) Ogród róż.

a z głębi wód szemrzą melodye leniwe; zdaleka idą wołania pełne pożądań i tęsknot, splatając się z lekkim pluskiem morza trącającego o wybrzeże.

Moje oczy amajlije <sup>1)</sup> lśniące,  
 Moje czoło księżyc jaśniejący,  
 Moje włosy gałęzie pachnące,  
 Moje piersi dwa jabłka złociste,  
 Do miłosnych pieszczot mam ramiona.

Myrty i pinie pachną coraz silniej...

\*

\*

\*

Cicho ślizga się barka od San Giorgio ku wysepce Madonny dello Scarpello. Mrok spływa już po żółtych ciosach kościołka i małej campanilli. W święto Bogarodziicy płyną tu setki łodzi, tłum pielgrzymów modli się przed obrazem cudownej Madonny, sławnej na całym Przymorzu.

Peraszczanie chełpili się jej szczególną opieką, składali jej bogate dary, wspominając ją „w dzień i w ponurą noc.“ Ona za to dawała dobry wiatr ich żaglom i wspierała łaskawie ich wyprawy i zuchwalstwa junackie. Jakże pilnie opiekowała się mściwym Vickovićem, który zatopił turecką galereę tuż pod jej świętym chramem. Mogła patrzeć z dumą, jak pięknie idą w głąb siebie niewierni Turcy.

Ujęte jest to zdarzenie w rytm pieśni primorskiej. Marynarze z Perasta pili wino w gospodzie, gdy przyszedł biały list do kapitana Vickovića od Kuveljića z Novi: „Wiedz pobratymie, że zawinął pod Novi <sup>2)</sup> statek Mora a na statku widziałem zatkniętą głowę Sokola, twego brata! Jeśli chcesz pomsty, bywaj dziś pod Novi, bo drużyna Mora pije wino i weseli się.“

Kapitan, przeczytawszy list, upuścił z ręki czaszę i zapłakał. Pytała go drużyna co się stało, ale on nie rzekłszy słowa, poszedł pod kościół św. Mikołaja i zaczął zbierać towarzyszy najwierniej-

<sup>1)</sup> Po tur. klejnoty.

<sup>2)</sup> Novi było w rękach tureckich.

szych i wyborowych. Wtedy dopiero opowiedział im, gdzie mają iść zaklinając ich Bogiem, żeby żaden nie wydał tajemnicy nawet matce lub żonie. Wszyscy rozeszli się do domów, aby sprawić się w drogę. Jeden z drużyny Ivan Rozgovac wziął oręż i żegnał się z matką, ale ona zaklinała go, żeby jej powiedział gdzie się sprawia: „Jeśli nie powiesz, bodajesz synku najstarszy nie wrócił żyw do domu.“

— Wolejbyhm cię martwą znalazł w naszym domu, stara matko moja, niżbyhm tobie albo drugiemu tajemnicę wydał.

Zmierzchno — czarna noc zapadła — Peraszczanie siedli w dwie gajety i poczęli cicho wiosłować po sinem morzu weneckiego doży. Gdy byli koło przylądka, zwanego Kubura, spostrzegła ich z Bartanja straż turecka.

— Kto płynie po pod strażnicę? — krzyknęli wartownicy.

— To my rybacy z Novego — odkrzyknął Martin Vicković, umiejący po turecku.

— Rybacy z Novego przyjaciele! zostawcie nam trochę ryb dla dizdara.

Wynknawszy się chytrze z niebezpieczeństwa podpłynęli cicho, jak ryby, pod samo Novi, ku statkowi Mora, gdzie straż zmorzona hulanką zasnęła. Przyzwyczajeni do zasadzek i wypraw flibustierskich wdarli się Peraszczanie szybko na pokład, przecięli liny, potem jedni wzięli się do żagli i wiosł, drudzy do Turków — dobrzy rycerze.

Napastnicy musieli być dość zuchwali i gospodarować krwawo, bo powstało zamieszanie, które zwróciło znów uwagę straży tureckiej czuwającej w grodzie.

— Co za kalabaluk <sup>1)</sup> na statku Mora? zawołano z grodu.

— Junacy winem się opili i robią hałas — odkrzyknął Vicković.

Nie było czasu do stracenia. Statek pchnięto na morze i kierowano go ku Perastowi, a kiedy dotarto do wysepki cudownej Madonny dello Scarpello, opiekunki Perasta, zatopiono galerę Mora ze wszystkimi Turkami.

Cicho wrócili do Perasta, wyciągnęli łodzie na brzeg i udali się do domu, jakby nic nie zaszło.

Ale Rozgovac zastał we dworze matkę martwą, „bo klątwa obróciła się na nią i zabiła ją.“

Tak czynili szlachetni Peraszczanie „bohaterowie-witezie, w mieście białem uczciwem.“

<sup>1)</sup> Po turecku zamieszanie.

## W Kotorze. W nocy.

Chodzę z Serbem kotorskim o późnej, wieczornej godzinie nad brzegiem zatoki. Gwarząc patrzymy w wodę cichą i gładką. Olbrzymie turnie rzucają na nią cienie czarne, jak smoła; zdaje się, jakby w głębinach otwierały się ponure urwiska, zatopione przepaści i jamy pełne wirów podwodnych i ryb potwornych. Łodzie rybackie tu i ówdzie myszkują za rybami z płonącym łuczycem, zatkniętem na żelaznych grabiach; po wodzie idą od nich szerokie pasy błyszczące, wabiąc gromady ryb. Na dziobach bark widać ciemne postaci, czatujące z ościami w rękę, wpatrzone w głębie. Słychać plusk ostrza przecinającego wodę i wołanie: „Do-brze ugodził! bravo Paolo!“

W ciszy nocnej każde słowo i szmer odbija się o kamienne ściany — jakby gadały we śnie skały Kotoru. Zdala nad wysokimi Krivošnjami majaczy młły poblask — księżyc zbłąkał się wśród gór i nie może wydobyć się z młaki nocnej.

Krstac mroczny i posepny; w jego kamiennych jamach jęczą jastrzębie, gdzieś dalej zwolują się austriackie posterunki, strażujące po górach. Te szare krzesanice, wynurzone z wody, rysują się w nocy przerażająco dziko i groźnie, jak słup kamienny, wbity w morze, na krańcach południowej Słowiańszczyzny.

— Tak — rzekł Serb — kamienny słup, do słupa przykuty łańcuch, a na łańcuchu słowiański pies.

— Diavolo! Wybuchła z pana Dantejska fantazya i Leopardowski pesymizm.

— Nie panie, to słaby obraz tego, co mnie dręczy. Tu odsunięto nas od naszego morza i najeżono drogę do niego olbrzymiemi twierdzami. Pułapki na dzikiego zwierza! Co tam za Krstacem, to pan wie: paszalik w rodzinie Petrowićów, gdzie rządzi gwałt i samowola, gdzie demoralizują naród, który wart przecież lepszego losu, gdzie zdeptano starą, czarnogórską swobodę; — nędza i chytry kniaź z duszą handlarza kóz, upojony wielkością swojego rodu, łączywy na jałmużnę, skądkolwiekby ona szła.

— Za to wam śpiewa pięknie wolność i sławę plemion junackich.

— Niech weźmie guślę i siądzie przy drodze ze śpiewem — może mu kto denara rzuci na miskę. Dalej sułtańska Stara Serbia — raja pod batogiem, jedzący kukurudzę, o ile mu ją zostawi Arnaut - zbój i turecki urzędnik - złodziej. Dalej nowy pasza-

lik: Bośnia i Hercegowina, raja obdzierany ze skóry według metody wiedeńsko-peszteńskiej, w połączeniu z farsą cywilizacyjną; tło farsy bardzo oryginalne: cywilizowanie par force aż cywilizowani zdechną z głodu; jeszcze dalej, wielkie królestwo Serbii — znane tragicomedye dynastyczne, ruina finansowa; za Sawą: Serbowie pod obuchem węgierskim. Piękna mozaika nieprawdaż? materyał: ziemia cara Duszana; majstrowie, kto żyw: Petrowiće, Obrenowiće, Karadžordzewiće, Austrya, Węgry, Włosi, Turcy, Arnauci — tutta la mūsica! Każdy na swojej skrzypce gra.

— Kto winien?

— Bóg i szczęście. Nie może być wszystkim, jak popowej matce.<sup>1)</sup>

— Sami mówicie: pomóż sobie sam, a Bóg ci pomoże.

— Nema fajde brate.<sup>2)</sup> U nas śpiewać tylko umięją pod batem. Sclavus saltans. Odbiorą mu resztę chleba czarnego, siądzie do guśli i będzie zawodził, jak to piją wino w niebie dwaj święci św. Piotr i św. Mikołaj, albo jak Bóg posłał dwóch aniołów, żeby rozbiły radło popu, który orał w niedzielę, albo o królewiczu Marku i o Nemanićach. Umięją pięknie śpiewać bohaterów, bo nie umięją już urodzić prawdziwych bohaterów idei i czynu. Umięją się jeszcze klócić lepiej niż swora, nawet nie o kość — pour l'art. Bohaterowie serbscy nie idą dziś już z kopią na Kosowo Polje — przystosowali się do ducha czasu. Każdemu kto się wyniósł nad innych zdaje się, że ma teraz dwa obowiązki: względem siebie — „używaj kao paša,<sup>3)</sup> względem drugich — „razbijaj kao paša.“<sup>4)</sup>

To cały kulturalno-etyczny dorobek, zapożyczony od Turków. Wie pan, jestem Serbem i Słowianinem, choć matka była Włoszką, ale zdaje mi się, że jestem z całą rasą, gorzej niż Żydzi, przeklęty przez Boga i skazany na wieczne służalstwo do śmierci.

— Sirocco zaczyna wiać i wydyma panu duszę zgryźliwością. Chodźmy na szklankę mazagranu, może Serbstwu pozostanie jaka nadzieja.

— Będzie lepiej, ale na Lovrin-dan,<sup>5)</sup> kiedy się psy strzyże.

Szliśny ku ogrodowi koło Porta Marina. Na barkach żaglowych, stojących na kotwicy, siedzieli jeszcze marynarze w weł-

1) Przysłowie.

2) Niema po co bracie — zwyczajny apatyczny frazes połud. Słowian.

3) Używaj jak pasza.

4) Rozbijaj jak pasza.

5) Polskie św. Nigdy.

nianych kurtach, gwarząc przy późnej wieczerzy. Na brzegu chrapała kompania albańska rozwaliwszy się na zwojach lin. Jakiś głos zawodził sennie o Marze, która przędzie i złotem haftuje, a z pawiem rozprawia: „Pawiu, ptaku barwny! nie budź mi gospodarza, sama go uspiłam i sama go zbudzę, gdy go na łowy drużyna zawoła.“

— Guarda Signore — podchwycił mój towarzysz, śpiewa — pewnie nie ułowił ani jednego barbona<sup>1)</sup> na wieczerzę, więc śpiewa; gdy mu bardziej dokuczy głód, będzie piał ten sam ton przez pięć minut, trzęsąc palcem w uchu. Maladetti schiavi!

## Z K o t o r a.

Dusiło mnie w tej dziupli zawalonej kamieniami, jakby mi modą turecką położono na głowę kosz z żarem przysypanym popiołem.<sup>2)</sup> Pomimo popołudniowego upału opuściłem Kotor i wspinałem się starą drożyną na Krstac, chcąc zdążyć na noc do Cetinja. Im wyżej, tem silniejsze miałem wrażenie, że wydostaję się z więzienia, w którym można zginąć z melancholii. Czem prędzej chciałem ujrzeć szerokie równiny „dalekiego słonego morza.“

Po stromych zboczach Krstaca widać było gromadki Czarnogórców wracających do Njegusza i Cetinja z targu w Cattaro, konie, dźwigające juki, kobiety zgięte pod ciężarem wielkich koszów na głowie. Wogóle w Czarnogórze kobiety mają dwa wielkie zadania społeczne: rodzić synów i nosić ciężary.

Zar gorących skał napełniał dusznością powietrze. Gdzieś niedzie pośród szarych kamienisk rosły kępy traw bez soku i barwy.

Tęsknota niosła mi dalekie obrazy chłodnych turni i dolin zielonych, zlaných potokami, gdzie rozlewa się woń sosen, gdzie huczą krzyki juhasów, zwołujących się na pastwiskach.

O komšija!<sup>3)</sup> zawołał ktoś do mnie z za skały, stanij trochę, pójdziemy razem.

Za mną szedł chyba po skałach stary Czarnogórzec w czerwonej czapce, z haftowaną złotem cyfrą kniazia Nikoli w półkoku, w jasnym, czerwonym kaftanie, opasanym szerokim pasem.

<sup>1)</sup> Ryba.

<sup>2)</sup> Do dziś dnia nieraz używany środek śledczy u Turków.

<sup>3)</sup> Sąsiad, przyjaciel.

— Dobrze ci szczęście! Idziesz dobrze, o mało nie tak, jak prawy Czarnogórzec.

— Śpieszę się, chcę być na noc w Cetinju.

— Daleko — nie zdążysz. Ja do Njegusza; byłem na bazarze z towarem, wziąłem trochę para.<sup>1)</sup> Chodźmy. Weselej razem i droga się skraca. Ale z którejś ty ziemi, jeśli cię wolno zapytać? mówisz z bośniacka, ale nosisz się inaczej.

— Ja z Polski, jeśliś słyszał.

— Witajże, bodajś zdrowo był, toś nasz brat Słowianin. Brat je mio—koje vjere bio.<sup>2)</sup>

Nikt jeszcze, nawet na Bałkanie, tak muie nie witał. Zdziwił mnie ten góral, mający więcej wiadomości etnograficznych od przeciętnego Francuza.

— Słowianin — odrzekłem — tylko nam za nasze Słowiaństwo nikt nie da kukurudzy ani „przebitej pary.“ Słaby bracie towar dla nas.

— Wiadomo — najgorzej gdy się bracia pokłóca. Wiem ja, mamy my o Polsce pieśń piękną, ale jej książ zabronił.

— Znam ją — „Na Karpatach biała Wila płacze;“ śpiewano mi ją sześć lat temu w Njeguszu u Nikolića. Ale drogi mój! cóż kniaziowi do pieśni?

— Żeby ci prawdę rzec, tak się musi dziać w Czarnej Górze jak książ chce. Zrobisz — dobrze, nie zrobisz — też dobrze, tylko ci jeszcze lepiej w wodę skoczyć albo z Krstaca na głowę po kamieniach. Boga mi! wolę na turecką strzelbę uderzyć, niż, kiedy książ źle spojrzy. Książ srogi, ale ojciec, u młodszego sprzeciwiania niema. To już tak jest, że kto nie słucha, temu miejsca w Czarnej Górze niema. Co było takich, to musieli pójść precz do Serbii, czy do Turcyi, czy do Austryi.

— Świętego ci Piotra bracie!<sup>3)</sup> ale cóż robi swoboda złota, za którą tylu Czarnogórcom otwarto raj przedwcześnie?

— Eto ti tako brate — rzekł nie kontent z zapytania.

— Zapewne zatęskniła za junakami dobrymi i siedzi także w rajcu?

— Prawo mówisz. Inny czas nastał.

— Rzeczywiście i tu „vakat<sup>4)</sup> przeszedł“ jak mówią Turcy.

1) Pieniądze.

2) Miły jest brat—choćby był innej wiary.

3) Zakłęcie czarnogórskie.

4) Vakát, wyraz turecki — czas.

Petrowiće-Njegusze umieli pozbyć się wszystkiego, co stało im na drodze, by osiągnąć władzę nieograniczoną i z czarnych mnichów, świętych władcyków, przedzierzgnąć się w autokratów, nieznających niczyjej woli, po za swoją. Z siłą i konsekwencyą nieubłaganą, ale zarazem z chytrnością i dziką bezwzględnością, tą samą, która, przed laty kierowała władzą Daniłem, gdy dawał rozkaz do rzezi czarnogórskich mahometan, łamali znaczenie i prawa starych plemion i wojewodów, zdołali pozbyć się dawnych właściwych gospodarów Czarnej Góry Radonjićów, którzy, jako świecka najwyższa władza (t. zw. gubernatorowie), byli im niebezpieczni, zgnieść we krwi bunty przyzwyczajonych do swobody plemion i stworzyć z dawnej republiki plemienną księstwo, rządzone samowładnie, w którym się mówi „Wszyscyśmy w rękach Boga i gospodarza.“<sup>1)</sup> Po za tem umieli zdobyć sobie na Bałkanie stanowisko aż nadto wybitne w stosunku do siły militarnej, stanowisko zagrażające powadze panujących w królestwie serbskiem, z rodu niedawnych pasterzy kóz stworzyć „świętą dynastyę“ z rodowym św. Piotrem na czele, błyskającą przed oczyma Serbów mirażem Piemontu południowo-słowiańskiego. Równocześnie napełniali kieszenie z łakomstwem, właściwem „dynastyom bałkańskim.“

To wszystko wymagało niezaprzeczenie wielkiego zapasu energii i zdolności, ale czyny, przez które celu dopięli, bynajmniej nie pozwalają posądzać Petrowićów o poszanowanie prawa i swobody, a wszystkie rymowane „slobodounne“ wylewy cetińskich kniaziów trzeba traktować, jako forsowną licentia poetica, nie mającą nic wspólnego z ich życiem, prawdziwymi zamiarami i polityką.

Władcyka Piotr II, kniaź Daniło i wojewoda Mirko, ojciec obecnego kniazia, byli to ludzie, dla których nie istniały żadne skrupuły, a ich etyka polityczna przy usuwaniu trudności wewnętrznych, aż nadto wiernie przypomina etykę renesansowego princepe. Sami — ludzie niezwykłego hartu i odwagi osobistej, otoczeni „perjanikami“<sup>2)</sup> gotowymi na wszystko, nieprzebiegając w środkach, wzbudzali postrach i posłuch nawet w tem dzikim społeczeństwie górali, dla których śmierć nie w walce, była czemś tak godnem wstydu, że do największych obelg w ich kłótniach

1) Gospodar—tak nazywają Czarnogórcy kniazia.

2) Perjanik—straż przyboczna.



należało rzucić w oczy przeciwnikowi słowa: „twoi przodkowie pomarli na łóżku.“

Czy na tem złananiu dawnych urządzeń społecznych wyszło moralnie dobrze społeczeństwo samo, czy zarazem nie złamał się hardy duch narodu, jest zdaje mi się kwestyą podlegającą wątpliwości i zupełnie różną od powodzenia Petrovićów-Njeguszów w ich planach autokratycznych.

Bądźcobądź książę cetiński jest dziś istotnie „gospodarem“ Gór Czarnych i Czarnogórców, opowiadających sobie legendy o jego stanowisku wśród wszystkich „sedam kralia.“<sup>1)</sup> Jest krewnym św. Piotra-władyki, a przez niego krewnym całego niebieskiego dywanu, który kupi się koło Boga-Gospodina.

Parantela wielka i szanowna.

## W Podgoricy.

Wyjechaliśmy w Podgorickie Pole, otoczone zewsząd kolo-salnym wałem kamiennym. Jakiś olbrzym bawił się wybieraniem skał z tej kotliny i ustawiał jeden złom na drugim, aż znudziwszy się obalił swoją robotę kopnięciem nogi.

Miasteczko nowe, nie ciekawe, podobne do dziesiątka innych osad serbskich, senne i bez życia. Po targowisku między Czarnogórcami chodzą także Arnauci, dawni panowie tych gór, których bronili przed nienawistnym Karadaghliją,<sup>2)</sup> wdzierającym się coraz głębiej w terytoryum północnej Albanii.

Wychodzę ku staremu grodowi. Opodal mostu na Moraczy spostrzegam obraz ciekawy: w kamiennym jarze rozerwanym strumieniem, rozsiedli się podgoriccy cyganie. Jak rój brudnych, brzęczących much, gnieździ się tutaj gromada krzykliwa, niechlujna a wesoła. W drewnianych szałasach, przyczepionych do skał, kują przy ogniskach ogromni kowale — naprzemian kłóca się, klną i śpiewają. Tam pod dachami ze szmat, kobiety i dziewczęta bezwstydne, rozpasane, wybuchające śmiechem żrebiec; siedzą w kuczki lub leżą leniwie na robaczywych barłogach, zadowolone z brudu, upału i łachmanów postrzępionych, ale szkarłatnych. Tuż

<sup>1)</sup> Siedmiu królów — według wyobrażeń ludu czarnogórskiego, tytu jest panujących na świecie.

<sup>2)</sup> Tak nazywają Turcy Czarnogórców.

obok drą się niemowłeta skrępowane szmatami, wystawione w kolystkach na pałacy żar słoneczny.

W norze kamiennej wypłukanej przez wodę, gnieździ się jakaś rodzina półnagich nędzarzy. Starsi skwarzą kawę na węgielkach i palą fajki, płując obficie, dzieci, suche jak łuszczyny grochu, żebrzą z natręctwem bezczelnem.

Po drugiej stronie wody, w domku z arkadką, śmieją się z okien ciemne „filles de joie,” zupełnie podobne do pięknych Uled algierskich — z enoty i malowanych brwi. Od rzeki ciągną, jak szeregi mrówek, kobiety z pełnemi konwiami. W 30 stopniowym upale noszą wodę do nowobudującego się domu pod miastem — niewolnice zgięte, spalone, upadające ze znużenia i trudu.

Na lewym brzegu rzeki umiera resztką wygnanego stąd życia wschodu — rozpada się w gruzy stary ogród podgoricki i setki domów tureckich, skupionych wśród ogrodów i sadów wiśniowych. Widać jeszcze zniszczone przez czas polichromie drewnianych dachów i obramowań, pięknie wycinane bramy, okienka haremów, zakratowane gęsto.

Życie ledwo tli w tych wąskich zaułkach pełnych charakteru i niczem nie odjętego dla mnie czaru. Można tu chodzić godzinami i podpatrywać, jak żyją nieprzejednani a skazani na śmierć.

Gdzieś z za kratki haremu śpiewają kobiety o białej Facie, co przedła pod żółtą pomarańczą: „Opadał kwiat i lży po młodej twarzy dziewczyny.“ Cichmie brzęk tambury, tylko wesołe śmiechy wylatują, jak rój pszczoł, przez muszarabieh<sup>1)</sup> i zakłócają ciszę zaułka. Z bramy cichego, nawpół zrujnowanego domu, wybiega młoda dziewczyna turecka. Dziwnie odbija w tej opuszczonej uliczce jej śliczna, biała szyja, koszula z cieniutkiego jedwabiu, napiersznik haftowany srebrem i jasne „dimli.“<sup>2)</sup>

Nie widzi mnie za węglem domu, więc nie zasłania swojej twarzy różowej i delikatnej, jak skrzydło motyla, włosów barwionych na kolor złota, ani ust czerwonych, śmiejących się młodością. Ujrzawszy obcego biegnie do domu przerażona.

Koło dżamii trochę więcej życia. Mali chłopcy bieli i czyści z tabliczkami i haftowanemi torebkami na książki, wysypali się z mejtefu,<sup>3)</sup> gdzie im hodża wbiął w małe głowy tureckie litery, bijąc ołówkiem po palcach.

<sup>1)</sup> Okiennice haremu.

<sup>2)</sup> Szarawary tureckie.

<sup>3)</sup> Szkółka turecka.

Ssm hodża ascetyczny, suchy, jednooki, w żółtej watówce, siedzi teraz w ogródku pod meczetem czekając na modlitwę wieczorną i rozmawia z dwoma starymi Turkami w białych zawojach. Zdaje się, to jeden z ostatnich starych mamutów, pamiętających dobre czasy „krwawej Podgoricy“, słynące dzikością i junactwem. Tu spotykały się dwa światy, słowiański i arnaucko-turecki, lecz nieinaczej, jak spotykają się stada drapieżne, chodzące na żer.

Te góry ostre, chropawe, sterczące wyszczerzonymi zębami skał, pełne jarów, wąwozów o ścianach przepaściowych, były przez wieki knieją, w której trapieno zwierza. Polowano otwarcie i z zasadzki, z naganką i bez towarzystwa, zawodowo i z amatorstwa; silni mieli słusność. Kto nie miał szczęścia junackiego, tego głowa szła w końskich biesagach „ozdobić“ mury Spuża, Nikszicia lub też wieżę głów na pagórku cetyńskim. Tam cieszyły się nią tureckie kobiety lub też dzieci czarnogórskie.

Polujący pamiętali o Bogu tem więcej że ciągle szli na los niepewny. Gdy robili plan napaści na begowski dworzec, pełen wszelkiego dobra, lub chcieli zrabować duże stado owiec, uważali za potrzebne dodawać „ako Bóg da;“<sup>1)</sup> inaczej Bóg mógłby umknąć im szczęścia łowieckiego, mógłby się obrazić i sprawić to, że beg się obroni, albo czobanowie przy owcach będą bardzo liczni. Również gdy szli na „jurisz“<sup>2)</sup> z nożami płomiennymi, by ścinać łby, wspominali Boga, lub którego z szanowniejszych świętych, św. Jowana lub Piotra. Wdzięczność ich była wielką i nieskapą, gdy im ci opiekunowie polowania napędzili w sieć kupców, którzy mieli wiele juków, piękne dołmany na grzbietach, na dołmanach guzy srebrne, ciężkie.

Wówczas i biała cerkiew się pożywiła dziesięciną z łupów, każdy ikon otrzymywał dar hojny.

Pieśni opiewające te łowy krwawe z barwnym naturalizmem, nieraz z dzikim humorem, jak opowiada wyga-myśliwiec swoje zasadzki na zwierzynę górską, należą do najciekawszych z pieśni junackich. W zbójceckich zabawach wychodzi w całym blasku barbarzyńskiej siły, junak gór czarnych, zaklęty wróg Turka, hajduk wodzący czatę za miedzę turecką po łup, dziki czoban strzegący ze strzelbą owiec na planinie od arnauckich rabusiów, pop nieruszający się z domu bez pistoletów i handzara, mnich-czerniec, strzelający w odpowiedzi za obelgę, natychmiast w łeb przeciw-

<sup>1)</sup> Jeśli Bóg da.

<sup>2)</sup> Do ataku.

nika i łupieżny góral z Brdów, idący nieraz z tureckim hajdukiem na owce swoich braci.

Zbliżska, w pełnem oświeceniu, widzimy życie, które niedawno jeszcze w całej pełni wrzało tu rozpasane i hajduckie, barbarzyńskie i męskie, w ciągłym niebezpieczeństwie i niepokoju, życie naprawdę z handżarem w garści, na straży we dnie i w nocy. Każdy przyzwyczajał się tu od dziecka być czujnym, jak kocica, roztropnym, jak wąż, odważnym i lotnym w natarciu, jak jastrząb. Trzeba było „umieć napaść i unknąć w zgodną chwilę“ nie zleknać się nabitej strzelby, ani noża, wytrwać w zasadzce, choć wichur górski mroził kości, wytrzymać głód, pożywić się korą drzewną, gdy niestarczyło tłustego mięsa owczego i chleba w torbie, ścierpieć pragnienie w suchych skałach, umieć wspiąć się na najwyższą jodłę i zsunąć się po pionowej skale w zawrotną przepaść. Trzeba było zawsze zachować zimną krew, choć się wietrzyło śmierć, na podstęp odpowiedzieć podstępem, strządem na strzał, bronić się już rannym leżąc na ziemi, póki towarzysze ratunku głowie nie dadzą.

Było coś przerażającego, ale i ponętnego w tych wzajemnych łowach w tych ciągłych grach o głowę, broń i łupy. Nieraz natknął hajduk na hajduka, czeta na czetę, drużyna na drużynę, często zasadzający się wpadał sam w matnię, łowca stawał się łupem ściganej zwierzyny. Kto był mniej czujny i mniej silny, dawał głowę. Śmiałość, energia i zimna krew, ratowały nieraz z najgorszych sytuacji, a sławę junacką roznosiły pieśni po siołach i palankach gór czarnych.

W czetę zbierało się zwyczajnie kilkudziesięciu ludzi, nieraz liczba ich wzrastała do pięciuset, choć nie lubiano chodzić w wielkich gromadach, żeby nie czynić rozgłosu. Z małą drużyną łatwiej było przemknąć się niepostrzeżenie przez gąszcze leśne i przełęcz gór, zapaść niewidzialnie za skały i ogarnąć niespodziewanie stado na hali.

Prowadził czetę „kalauz,<sup>1)</sup>“ znający dobrze wszystkie przejścia. Szli zwykle nocą, dniem spali w gęstwinie, zmieniając się na strażach, które rozstawiali zabezpieczając się przed nagłym zakroczeniem. Wódz czety, czetnik doświadczony, który już niejedną wyprawę wiódł za miedzę graniczną, wymagał nieograniczonego posłuszeństwa w czecie. Prócz wrodzonego junactwa, wiodła go do czety zemsta lub chęć łupu: zwyczajnie jedno i drugie.

<sup>1)</sup> Przewodnik.

— Na świętego Sawę! cudne to były nieraz łowy:  
Wyszedł Hasan beg Lekić z krwawej Podgoricy z turecką  
czetą 40 hajduków na łup. Szedł polem szerokim, potem przym-  
knął ku Sutorman-planinie i tu zapadł kraj drogi czekając co mu  
szczęście junackie przyniesie.

Przyczajeni patrzyli na zieloną planinę i nadsłuchiwali pil-  
nie; szło wesoło kilku ermniczam nie podejrzewając niczego.

— To Marko Vačetić — mówił Hasan do czety — nie ruszaj-  
cie dzewerdarów, póki ja nie strzelę do Marka. — Kiedy Czarno-  
górcy zbliżyli się na strzał, Hasan wychylił się z za skał i dał  
ognia. Lecz Bóg i szczęście dało sokołowi Markowi, że rany  
żadnej nie odniósł. Teraz jednak Marko klęknął na zielonej tra-  
wie i wymierzywszy dobrze, ugodził w samo serce Hasana. Pod-  
goriczanie ujrzawszy śmierć czeto-baszy<sup>1)</sup> „dali plecy,“ ale Mar-  
ko ścigał ich wołając: „wiążcie się sami Turcy, bo zakrzyknę na  
moją drużynę i wszystkim każę uciąć głowy. Przerażeni zaczęli  
nawzajem wiązać sobie ręce na opak, ostatniego zaś związał sam  
Marko i gnał jeńców do Ermnicy, do pięknego sióła Boljeviciów,  
na dwór swego wuja serdara Plamena. Ciekawy musiał być wi-  
dok powiązanego stada pędzonego przez góry!

— Siostrzeńcze — moje prawe skrzydło, skąd tobie 40 Tur-  
ków? — wołał zdumiony i rozweselony Plamen do młodzika.

— Na Sutormanie, wysokiej planinie, złowiłem z wierną dru-  
żyną.

Twarde serce było w tym młodym junaku. Błagał go po-  
kornie Ali Sali-aga, żeby przyjął okup za brata Mahmut-agę, któ-  
rego pojmano z czetą. Ofiarował mu osiem kies pieniędzy i oręż  
wartości 100 dukatów.

Bezlitośnie góral tak mu odpisał:

„O Alijo Salih-aginiciu!  
Czemu listy głupie ty mi piszesz  
Żebym brata oddał ci za okup?  
Ja bym ci go nie darował dzisiaj.  
Żebyś nawet i sto kies mi posłał.“

On na braci krzyknął i drużynę,  
Żeby Turkom pościnali głowy  
Ozdobili wieżę serdarową.

<sup>1)</sup> Wódz czety.

Ubierali radośnie wieżę głowami nieszczęśliwych, jak ją maliłi gałęziami kwitjącymi na „Cyjeti“<sup>1)</sup> lub w święto „Wielkiej Pani,“ a Ermnici długo musieli chełpić się z tych trofeów, póki ich słońce, wiatr i ptaki nie uprzętnęły z wieży Plamena.

Z wygnaniem owiec na planiny zaczynały się najdrapieżniejsze czetowania i podchody.

„Gdy wiosenny przyszedł dzień Gjurgjewy,  
Góra świeżym lasem się pokryła  
A rudiny trawą dziecieliną  
Zazielenił się już las bukowy.  
Zakukała w lesie kukawica,

bieliły się hale owcami, wśród polan brzęczały dzwonki pasących się stad. Przy nich snuli się w jasnym powietrzu, spaleni słońcem pasterze dobrze uzbrojeni, gotowi uderzyć na wilka, hajduka, czy dyabła, juhasi w wełnianych guniach i skórzanych ciżmach, smagli od wichrów planińskich.

Wieczorem w kolebach, przy ogniu jęczała guśla<sup>2)</sup> jaworowa, śpiewano pieśni junackie, opowiadano o wilkach mieszkających na wirchach, o wyprawach na dwory agów hercegowińskich, o porwaniach pięknych dziewcząt tureckich, białych jak piana potoku, śmiano się z zabawnych skazek i „pitalie.“<sup>3)</sup>

Kiedy kupa rabusiów uderzyła na stada, chwytano zaraz za strzelby i bito się zaciekle, a skały nosły daleko echa krzyków i strzałów junackich.

Hadzi Musić Duro z Nikszicia pisał do swego pobratymca Iwana Popowicia z Brdów Kamiennych: „Miły pobratymie! Słyszałem i mówią ludzie, żeś śmiały junak. Przyprowadź mi stu Brdżanów, bom dobry łup upatrzył w Grahowie: mnogie stada owiec. Łakomy Iwan nie zawahał się połączyć z Turkiem, zebrał drużynę i poszedł ku Niksziciowi. Tu szedł się z kupą Hadzi-Musića.

— Boże pomóż! — witali się hajducy — czy będziemy śmieli uderzyć na stada, bo dobrzy są zawsze Czarnogórcy?

— Nie bój się miły pobratymie—zapewniał przeklęty Duro— same dzieci przy owcach, łatwo weźmiemy łup bogaty.

<sup>1)</sup> Cyjeti—niedziela kwietnia.

<sup>2)</sup> Instrument o jednej strunie, przy którym recytują pieśni junackie.

<sup>3)</sup> Zabawne pytanie.

Czeta ciągnęła ku Grahowu cały dzień, wreszcie znużona ukryła się za górą na spoczynek i postawiła strażę, a Ivan Popović podkraść się pod Grahowo na przeszpiegi.

Patrzy hajduk — przy owcach tylko sam Bojanović Wuk bez towarzyszy. Trzydziestu czobanów, którzy z nim strzegli owiec, poszło do białego Risna płacić pasterski haracz.

Popović wrócił do towarzyszy i opowiedział szczęśliwe zdarzenie — wszyscy cieszyli się już na pewny łup. Lecz zdarzyło się, że zaraz po zorzy wieczornej los przyniósł do zagrody Bojanovića dwóch Czarnogórców z Trniuów: Wuka Tomanovića i Wuka Markiczevicia. Przyszli zabrać go z sobą, bo sami wybrali się na wyprawę.

— „Nie mogę odejść owiec — mówił Bojanović — pasterze poszli do Risna, niema przy stadach innej strzelby prócz mojego dżewerdara.“<sup>1)</sup>

Gazda zakłócił owcę gościom na wieczerzę, zapalił watrę i pobratymi wieczerali smacznie, a potem zaczęli rozpowiadać o junactwie.

— Gdyby nas tak teraz napadli Turcy — rzekł jeden.

— Gdyby napadli, to chyba rankiem.

Czarnogórcy zdrzemnęli się nie wiedząc, że ranek przyniesie im krwawą walkę.

Przed świtem Nikszycianie otoczyli owce i gnali je ze sobą.

Trzech Wuków zobaczywszy to, pobiegło zaraz w pościg a Bojanović krzyczał do towarzyszy:

„Pi! nieszczęście, moi pobratymi!

Gdy się zejda na zbór Czarnogórcy

Na Cetinje popod białą cerkwią,

I o białe owce pytać będą —

Zapytają, kto przy owcach czuwał

I powiedzą, że my trzej Wukowie.

Toż to będzie hańba i sromota,

Jeżeli głowy tam nie przyniesiemy

Ni tureckiej, ani nawet swojej!“

Szło trzech Wilków z rozpaczą w sereu, gnała ich chęć pomsty i strach przed hańbą.

Najdalej zapędził się Wuk Markičević i zły los zderzył go z Ivanem Popovicem. Hajduk dał ognia a Wuk padł na ziemię

<sup>1)</sup> Dżewerdar—strzelba turecka.

ranny w obie nogi. Po obyczaju Ivan wyciągnął handzar i chciał wzięść głowę leżącego, ale Wuk choć ranny pokąsał dobrze nieprzyjaciela.

Ostatkiem sił podniósł się na kolana i czekał go z nabita strzelbą.

Dał ognia i ołów strzaskał hajdukowi obie nogi.

Dwaj śmiertelni wrogowie leżeli teraz ranni, nie mając sił przypelznąć bliżej, by rozstrzygnąć, kto komu weźmie głowę i okrzyknie zwycięstwo.

Ponure rozmowy toczyły się między nimi. Wołał Markičević Wuk:

„Oj morderco Popovicu Ivo!  
Czemuś zajął mi trzydzieści kierdów  
Czemuś tu mię rannego powalił?  
A ja biedny zbliżyć się nie mogę,  
Żebym odciął twoją dobrą głowę.“

Lecz go Ivan tak pocieszał pięknie:

„A nie bój się Markičević—Wuku  
I ty żeś mię przecież tu położył;  
Znów powrócą tobie twoje owce,  
A tureckie pójdą na pal głowy.“

Rozległy się nagle krzyki po górach — to czobanowie wrócili z Risna — razem z Wukami uderzali na Hadži-Musića.

Wszczał się bój twardy — nie łatwo było uchodzić z łupem przed pasterzami czarnych gór. Markičević leżał ranny i patrzył, co przyniesie junacki los. Szczęście było przy pasterzach: wracali z boju w tryumfie — każdy niósł w rękę krwawą głowę turecką a dwaj Wukowie nieśli po cztery głowy i pędzili prócz tego powiązanych jeńców.

Kiedy znaleźli rannego druha pytał go Tomanović: „Czyś mi zginał pobratymie?“

— Zginałem — odpowiedział Wuk — ale nie żałuję wcale,

„Wszakże pięknie tyś się pomścił za mnie,  
A ja moje zamieniłem życie,  
Bo ubilem mojego mordercę.  
Lecz na Boga miły pobratymie!  
Podnieś ty mię na oba kolana,  
Bym ściał tego, który śmierć mi zadał.“  
Więc usłuchał jego pobratymiec,



Podniósł druha na oba kolana,  
A on głowę ściał zabójcy swemu.

Ten Czarnogórzec w obliczu śmierci martwiący się, że nie może ściać swego „krvnika“<sup>1)</sup> przypomina chyba walki toczące się kiedyś w zaraniu ludzkości. Żaden z junaków, ginących w tych zapasach stad ludzkich, nie kłopotuje się o nic innego, tylko czy się „zamienił“ za śmierć z nieprzyjacielem. Żadna z pieśni nie wspomina o jakichkolwiek innych pragnieniach, niż żądza pomsty. Na bardziej ludzkie uczucia—nie było miejsca w tych duszach ponurych.

\*

\*

\*

Raz podniosła się czeta czarnogórska wsi Cruaczkiej pod wodzą Stankova Radovana i Jovasewa Bracoki.

Zapadli w Turaczy i znużeni legli spać. Postawiony na czatach Stankov pilnie spoglądał ku Onogaszтови, skąd spodziewał się łupu. Nie długo czekał: kilku Turków szło ku Turaczy, jeden z nich wysunął się sporo przed wszystkimi na dużym koniu; dalej szły wozy i woły.

Stankov czemprędzej rozbudził drużynę: „Idą Turcy na nas, jeden naprzód junak, na koniu nogi skrzyżował, pali tytoń i bije w tamburę. Czy uderzymy na nich?“

Ale Bracoka zląkł się: „Ja znam tego junaka na przedzie, to Hagan Dżibić, naczelnik całego Onogaszta. Nie uderzajmy, bo nie żart jego głowa, może nam być ciężko, gdy go ubijemy.

— „Ha Bracoka, czarna ci twarz! — zawołał Stankov. — Ja myślałem, żeś lepszy junak. Nie rzucaj mi postrachu na drużynę. Ja sam uderzę na Hagana, a wy zajmijcie się resztą. Strzelajcie dopiero wtedy, gdy ja strzełę.“

Skryli się za skały i przypuścili Turków blisko. Właśnie Hagan uderzając w tamburę,<sup>2)</sup> śpiewał chełpiąc się, jak pobił braci Stankova: Milowana i Zawisza. Radowanovi serce zalało się krwią; dał ognia z dzewerdara, lecz chybił Hagana a ugodził jego towarzysza obok.

<sup>1)</sup> Krvnik—morderca.

<sup>2)</sup> Instrument turecki.

Hagan zawrócił konia do ucieczki, a wówczas krzyknął Stankov na Bracokę:

„Uderz puszką Jovaczew-Bracoka!  
I ugodź mi Dżilića Hagana!  
Zaklinam cię i wiarę <sup>1)</sup> ci daję,  
Jeżeli dzisiaj Hagan nie polegnie,  
Ani jeden nie umknie z drużyny!

Dwóch z czety poległo. Wówczas Bracoka strzelił za uciekającym Haganem i nie chybił: zwałił go z konia a Stankov przyskoczył i wziął mu głowę i oręż. Towarzysze ubili czterech Turków i zabrali wóz i woły.

Nie dość było wytropić stada na hali, spaść na czobanów jak ryś na jelonka, powiązać ich do drzew lub wyciąć; pozostała druga niebezpieczniejsza część roboty, odprowadzić do domu łup i całą głowę na karku. Wieść o rabunku roznosiła się szybko; pasterze krzyczeli po górach o pomoc, a razem z echem odbijającym się po planinie, leciał kto mógł konno i pieszo w pościg za czetą obciążoną zdobyczą; wiedziono i psy do tropienia śladów i wyszukiwania ukrytego łupu.

Czeta unykała co sił. Kiedy widziała, że ją dopędzą, czekała z nabitą strzelbą, podczas, gdy kilku z drużyny pędziło naprzód z łupem.

„Czy w drużynie niema towarzysza,  
Coby wybrał z nas dziewięćdziesięciu,  
Z każdej setki po trzydziestu druchów,  
I w zieloną trawę z nini zapadł,  
Może jakoś pościg zastanowi,  
Aż my umkniesz na Somin—planinę  
I uniesiem na planinę łupy,  
A wrócimy potem jemu w pomoc.“

Czeta, zatrzymawszy w ten sposób gęstym ogniem ścigających przez jakiś czas, uciekała i znów zatrzymywała się, odgryzając się następującym, jak wilki. Tak toczyła się walka w odwrocie aż do granicy czarnogórskiej. Kto padł ranny lub zabity, tego unosili towarzysze na plecach, broniąc uprzednio jego głowy i starając się zaraz pomścić go, bo powróciwszy do domu hańba wielka więcej głów dać niż wziąć.

<sup>1)</sup> Słowo.

Nieraz czeta ginęła w odwrocie. Droga znaczone była trupami ściganych i ścigających. Takim był odwrót czety Jovana Višnjica, za którą szedł w pogoń Omer Kurtogić z Hercegowiny. Jego brat Mujo chciał złączyć się z pościgiem i jechał śladem czety. Wciąż po drodze widział poległych Czarnogórców i Turków. Ścigani widocznie bronili się nie żartem. Jadąc dalej znalazł na drodze leżącego Omera rannego śmiertelnie przez Višnjica. Wreszcie doścignął Mujo samego wodza Jovana, który jedyny pozostał przy życiu z całej czety. Ranił go śmiertelnie ze strzelby, ale i sam padł zabity strzałem z pistoletu.

Wrogowie leżeli martwi obok siebie:

Przy nich bracie niema już nikogo  
Lecz uderza Una o Korannę <sup>1)</sup>  
Płacze Una Kurtagića Muja,  
A Koranna Višnjica Jovana.

DR. ZYGMUNT STEFAŃSKI.

---

<sup>1)</sup> Rzeki.

## Ruch literacki w Niemczech.

Doświadczenia ostatnich lat w dziedzinie wydawniczej zadały kłam legendzie o ociążałości niemieckiej pod względem kupna nowych książek. Olbrzymie, imponujące cyfry nakładów takich utworów powieściowych, jak „Jena oder Sedan?“, „Aus einer kleinen Garnison“, „Erstklassige Menschen“, „Joern Uhl“, „Briefe die ihn nicht erreichten“ świadczą wymownie o tem. Co prawda wartość tych utworów znajduje się częstokroć w odwrotnym stosunku do ich popytności. Tak np. nędzne elukubracje w rodzaju powieści oficera wojsk pruskich Bilsego „Aus einer kleinen Garnison“ lub „Erstklassige Menschen“ (pierwszorzędni ludzie) Hr. Baudissena zawdzięczają swe powodzenie jedynie skandalowi. Losy autora „Aus einer kleinen Garnison“ znane są całemu światu. Inaczej ma się rzecz z procesem Hrabiego Baudissena, w którym znany poeta Baron Detlew von Liliencron, były kapitan wojsk pruskich, w charakterze przez izbę sądową naznaczonego biegłego, w nie nazbyt bezstronny sposób napiętnował czyn Baudissena, jako zdradę stanu. W istocie rzeczy obie te powieści, tak samo, jak o wiele lepsze utwory Beyerlein'a „Jena oder Sedan?“ i „Zapfenstreich“ (dramat) przedstawiają jedynie nagą rzeczywistość. Kto miał sposobność przyjrzeć się z bliska uprzywilejowanej klasie wojskowej niemieckiej, kto widział, z jaką arogancją „Jego Mość, Herr Leutenant“ stara się grać rolę pana stworzona, ten wie, że ani Baudissen, ani Beyerlein, ani nawet Bilse nie przesadzają. Przeciwnie, fatalne następstwa tego zupełnie nieuzasadnionego, uprzywilejowanego w społeczeństwie stanowiska, do którego oficer niemiecki, ani pod względem swego wykształcenia, ani też pod względem swego uposażenia nie posiada odpowiednich kwalifikacyj — wytworzyły już w sferach wojsko-

wych niemieckich taką atmosferę kłamstwa, blagi i nieuczciwości, że doprawdy potrzebaby było głosu o potędze i bezwzględnej szczerości Zoli, ażeby napiętnować je należycie. Głosu takiego napróżno szukać w niemieckiej literaturze dni dzisiejszych. Słyszyny natomiast liczne utyskiwania i sarkania, czytamy nieustannie mnożące się dzieła antymilitarne, które ciągną za sobą długi szereg procesów, zakazów cenzuralnych i komentarzy, a które publiczność niemiecka chciwie kupuje i czyta. Z całego zastępu dzieł podobnego rodzaju, najwyżej pod względem artystycznym stoją dwa utwory sceniczne: „Rosenmontag“, tragedia niedawno zmarłego wybitnego poety Ottona Ericha Hartlebena i „Namiętność“ dramat 5-cioaktowy mało dotychczas znanego, ale duże nadzieje rokującego nadreńczyka, Herberta Eulenburga.

Wśród powodzi drobniejszych utworów z życia wojskowego, odznacza się dodatnio przed kilkoma tygodniami ogłoszony drukiem zbiorok nowelek Baldera Oldena „Aus der Mannschaftsstube,“ w którym autor z humorem i szczerą poezją szkicuje realistyczne obrazki z życia koszarowego.

W stosunku do powyższych dzieł (z wyjątkiem naturalnie wspomnianych utworów Hartlebena i Eulenburga) powieść: „Briefe die ihm nicht erreichten“ zajmuje już znacznie wyższy szczebel w hierarchii powieściowej, pomimo, że i jej nie podobna nazwać utworem artystycznym. Autorką musi być kobieta, prawdopodobnie żona jednego z dyplomatów niemieckich. Są to jednakże tylko domysły, gdyż karta tytułowa powieści żadnego nazwiska nie wskazuje. Mamy przed sobą cały szereg listów na poły miłosnych, na poły treści ogólnej, pisanych do młodego uczonego i podróżnika, zwiedzającego Chiny, przez damę wielkiego świata, której mąż cierpi na pomieszanie zmysłów. Młody uczoney traci życie w Pekinie podczas zaburzeń bokserskich, właśnie wtedy, gdy śmierć męża oswabadza autorkę listów od ciężkiego jarzma małżeńskiego. Wieść o przerażającej śmierci ukochanego w chwili, gdy szczęście zdawało się tak bliskiem, staje się przyczyną jej śmierci. W tych, względnie dość ciasnych, ramach utworu, który nie odznacza się bynajmniej głęboością psychologicznej analizy, autorka potrafiła jednakże zamknąć sporą dozę ciekawych spostrzeżeń z życia świata dyplomatycznego i finansowego współczesnych Niemiec. Interesujące szczegóły, dotyczące tego życia, kultury chińskiej, porównania wschodu i zachodu, Europy i Ameryki — cały ten, że tak powiem, efekt dekoracyjny, przyczynił się w głównej mierze do powodzenia, jakim się dzieło to cieszy wśród publiczności niemieckiej. Bądź co bądź wypełnia ono we współczesnej literaturze

niemieckiej, odznaczającej się przeważnie cechami małomieszczańskimi, lukę, którą dotychczas wypełniały wyłącznie tłumaczenia z tak zwanej literatury kolonialnej francuskiej, angielskiej i holenderskiej.

\*

\*

\*

Rok bieżący przyniósł nam również powieść, której zjawienie się otrąbiono na wszystkie strony świata. Pomimo tego nie przypuszczam, ażeby powodzenie jej było długotrwałe. Autorem tej powieści, która nosi szumny tytuł „Goetz Krafft“, jest Edward Stilgebaner, redaktor znanego tygodnika niemieckiego: „Zur guten Stunde“, człowiek już niemłody, którego poprzednie powieści i utwory dramatyczne, dotychczas bardzo małą cieszyły się wziętością.

„Goetz Krafft“ — „Historya młodości“, jak ją autor dodatkowo nazywa, jest 4-ro tomowym cyklem powieściowym z życia mieszczańskiej inteligencji niemieckiej. Dotychczas wyszły 3 tomy, czwarty ukaże się zapewne na początku przyszłego roku. Ponieważ każdy tom przedstawia odrębną całość, więc i dziś już, pomimo, że brak jeszcze ostatniego tomu, można sobie wytworzyć zdanie o całości. Stolgebaner wzoruje się na Zoli. Budowa architektoniczna cyklu przypomina przy powierzchownej ocenie trylogię Zoli: Lourdes — Rome — Paris. Taż sama dokładność, niemal rozwlekłość, ale brak mu pomysłowości Zoli, będącej w stanie nadawać olbrzymim bryłom życia codziennego znaczenie symbolów.

Widzimy przesuwające się sylwetki wielkomiejskie Berlina, Monachium; poznajemy niejedyn kontrast pomiędzy północnymi i południowymi Niemcami, warunki współczesnego życia umysłowego inteligencji niemieckiej, prądy polityczne i umysłowe, i, co bezwątpienia stanowi główną zasługę dzieła, uczymy się pojmować psychologię owego typu przeciętnego pracownika niemieckiego, który, bądź to na polu naukowym, bądź w dziedzinie handlu i przemysłu, nie tyle niezwykłymi zdolnościami i poletem ducha ile wytrwałością i pracą mrówczą, zdobywa sobie uznanie wszechświatowe.

Wielkim czynem artystycznym, powieści Stilgebanera nazwać nie można. Charakterystyka odznacza się niekiedy dużymi brakami; od banalności przeciętnych powieści autor się ustrzedz nie zawsze potrafił, a idealizm jego niejednokrotnie trąci filisterstwem najczystszej wody. Opisy natury szare, szablonowe, nastroje wyszarżane, zwietrzałe, sytuacje banalne i powierzchownie obserwowane; brak im życia i kolorów. Tak więc powieść ta, niewiele się tylko różniąca od całego zastępu innych, któremi producenci powieściowi en gros w rodzaju Fedora i Hanus'a von Zobeltitz, Barona Omptedy, Antoniego i Karola von Perfall i wielu, wielu kobiet piszących, których imię jest legion, zasypują regularnie rynek książkowy — nie zasługuje właściwie z punktu widzenia artystycznego na szczególną wzmiankę; ale taki to już los sprawozdawcy z dziedziny belletrystyki niemieckiej, że wobec niezmiennego ubóstwa pod względem rzeczywiście dobrych utworów, dzieła w istocie rzeczy drugo- i trzeciorzędne nabierają dlań większej wartości. „Goetz Krafft“ nie będąc pod względem artystycznym utworem wybitnym, interesuje, jako dokument obecnego życia duchowego mas t. zw. inteligencji w Niemczech.

Autor przedstawia nam młodość jednego z tych średniaków, których życie płynie mniej więcej utartym torem. Szkoła, uniwersytet, knajpa, służba wojskowa, miłości — najprzód sentymentalne o platonicznym zabarwieniu, później bezmyślne „Verhältniss“, a w końcu „miłość solidna“, pachnąca „Standesamtem“. Bezcelowe najprzód błądzenie po fakultetach, nieodłączne próby twórczości poetyckiej — w Niemczech każdy czuje się do tego powołany i częstokroć nawet najokazalsza sztuka mięsa zdobi się za młodu błękitnym kwiatkiem poezji — a w końcu praca, praca, praca... owa mrówcza konsekwentna praca, która przysparza, znosi, szpera, drogi toruje... Tam, gdzie autor o tej pracy mówi, staje się wymowny, pociąga i zajmuje. Jakieś dziwne uczucie ogarnia czytelnika, tajemniczy dreszcz przebiega po kościach, jak na widok nieustannie pracującej natury. I tak, jak w pieczarach stalaktytowych muzyka ciągle spadających kropli opanowuje nas swoim monotonnym urokiem i drga nam swym jednostajnym rytmem w żyłach, tak rytm tych padających kropli potu ludzkiego — przenika nas i pociąga.

Nigdzie niema tyle celowej, zorganizowanej pracy naukowej, jak w Niemczech. Całe zastępy owych szaraków, których życie możnaby skądinąd nazwać bezbarwnem, pracują z precyzją kół olbrzymiej maszyneryi, podporządkowując się, wypełniając częstokroć bardzo skromne i żmudne zadania. Nigdzie też wie-

dza nie dosięgła tej systematyzacji wszechstronnej, jak w Niemczech, nigdzie nie da się łatwiej osiągnąć pojęcia o całokształcie jakiegobądź dziedziny naukowej. Kto wie, czy nie w tem właśnie leży klucz do zrozumienia pierwszeństwa niemieckiego w dziedzinie filozofii, tej encyklopedyi wszelkiej wiedzy ludzkiej. Tam, gdzie umysł filozoficzny musiałby tracić miesiące i lata na pracę przygotowawczą, na częstokroć bezowocne szperanie i gromadzenie materyałów, zastępy owych inrówek w postaci ludzkiej już wszystko to wprzódę uczyniły, tak, że pozostaje tylko sprawdzenie i krytyczna ocena istniejących już materyałów. Niedawno np. wyszło dzieło <sup>1)</sup>, którego autor, docent uniwersytetu berlińskiego, Ryszard M. Meyer, zadał sobie trud zestawienia katalogu wszystkich ważniejszych prac dotyczących współczesnej literatury niemieckiej ogłoszonych drukiem, nie wyłączając nawet tych, które wyszły tylko w pismach i miesięcznikach — ogromne ułatwienie dla badacza najnowszej literatury niemieckiej.

„Goetz Krafft“ odznacza się poza tą nutą szczerzej pracy jeszcze jedną sympatyczną cechą. Spotykamy się tu z owym liberalizmem niemieckim, przeciw któremu nauczyciel pruski walczy z nieprzejednaną nienawiścią. Liberalizm niemiecki posiada piękne tradycye, sięgające zamierzchłej przeszłości. Jasna tradycya Weimaru też nie zupełnie zagasła, a w żyłach niejednego pulsuje żywem jeszcze tętnem krew bohaterów 1848 roku. Heine, ów błądliberał z uśmiechem bolesno-sarkastycznym na ustach, czekający dotychczas napróżno na pomnik w wielkiem państwie pomników, żyje dotąd w sercu niejednego cichego niemieckiego pracownika myśli, a wielka liczba uczonych i badaczyw zawsze jeszcze trzyma się dróg, któremi Kant, Schelling, Hegel, Schopenhauer, Fechner dążyli ku wyżynom ducha wszechludzkiego. Pomimo tego partya liberalna coraz bardziej traci grunt pod nogami, ustępując coraz więcej placówek czerwonym socyal-demokratom lub zwartym szeregom centrum. Nauka oficjalna, szczególnie historyczna, coraz chętniej zaczyna przywdziewać na się płaszcz o barwach pruskich, sztuka grzęźnie w bagnach i bagienkach sztuki lokalnej, „Heimatkunst,“ i „naród myślicieli“ coraz mniej zasługuje na miano, jakim niedawno jeszcze został zaszczycony przez Maeterlincka, podczas bytności tegoż w Berlinie: „l'Allemagne c'est le coeur de l'Europe.“ Nie bez słusności pi-

<sup>1)</sup> Richard M. Meyer: „Grundriss der neueren deutschen Literaturgeschichte,“ nakł. Georg Bondi, Berlin.



sał Nitzsche przed kilkunastu laty. (Wierszyk ten zatytułowany jest: „Beim Anblick eines Schlafrocks“).

Kam trotz schlumpichten Gewande  
Einst der Deutsche zu Verstande.  
Weh, wie hat sich das gewandt!  
Eingeknüpft in strenge Kleider  
Ueberliess er seinem Schneider,  
Seinem — Bismark — den Verstand!

Słowa te dadzą się i do dni dzisiejszych zastosować.

Goetz Krafft jest liberałem. Już na ławie szkolnej myśli liberalne snują mu się po głowie, przepełnionej zakazanemi poezjami Heinego, Herwegt'a, Freiligrath'a. Jako młody chłopak, wybrany przez dyrektora gimnazjum do wygłoszenia mowy abiturienckiej na temat Hohenzollernów, stara się temat ten ująć w ramki ogólnoludzkie, rozpatrując wyłącznie z tego punktu widzenia czyny i życie trzech najslawniejszych Hohenzollernów: wielkiego Elektora, króla Fryderyka II-go i cesarza Wilhelma I-go. Na uniwersytecie w Lozannie i ta resztką podziwu dla wielkości Hohenzollernów przepada, natomiast wykłady o pismach Russa, z dziedziny socjologii, pisma Ibsena, Zoli, Tolstoja absorbują go do tego stopnia, że myśl pierwotna studyowania teologii, coraz bardziej na drugi plan zaczyna ustępować. Ojciec, pastor we Frankfurcie nad Menem, pragnie coprawda bardzo, ażeby syn wstąpił w jego ślady i życzenie to popiera z całą siłą i bezwzględnością ojcowskiego autorytetu, ale młody student teologii mało dba o narzuconą mu wolę. Życie, wolność, młodość, cudna natura Szwajcarska, której nam autor nie umie ani razu należyście opisać, czar pierwszej miłości — wszystko to są zbyt silne pokusy. Goetz rzuca się w wir życia i daje się nieść rwącemu prądowi naprzód. Dokąd?

Pierwszą istotą, wywierającą głębszy wpływ na jego życie duchowe — jest student, Żyd, Sally Loewenfeld. Piękną postać tę udało się autorowi znakomicie odtworzyć. Mamy przed sobą młodzieńca, któremu smutek samotności z oczu patrzy, którego doświadczenie nauczyło, że i dziś pomimo równouprawnienia i szumnych hasel wolności, istnieje *ghetto* duchowe, oddzielające Żyda murem nie do przebycia od reszty społeczeństwa. Loewenfeld sam na sobie doświadczył, co to jest być Żydem, gdy mu w Berlinie podczas pierwszych miesięcy studyów uniwersyteckich jeden z zuchwałych „burszów“ rzucił w twarz obelgę: „Judenlummel.“ Jako pamięt-

ka tego zajścia zdobi czoło jego ukryta pod zasłoną gęstych, kruczych włosów blizna od cięcia szabli. Ale krew, przelana w obronie swego narodu, nie burzy się już teraz tak jak dawniej. Co najwyżej uśmiech pogardy zadrga mu na ustach, gdy ten lub ów w mniej lub bardziej bezwzględny sposób da mu uczuć swą rzekomą wyższość nad „Żydem“. — Praca, nauka, wiedza — oto zadania i cele, które absorbują jego myśli. Loewenfeld zamierza poświęcić się zawodowi literackiemu. Na tem polu pragnie walczyć dla idei wszechludzkiej. Z zajęciem i sympatją bierzemy udział w jego rozmowach prowadzonych z Goetzem, jesteśmy przy nim, gdy w swym pokoiku z pięknym widokiem na mglisto-fioletowe kałużby gór i śnieżne iglice szczytów, wylaniające się ponad spiczastymi grzbietami domostw okolicznych, siedzi pochylony nad książkami, robiąc notatki i wyciągi z potężnych, w świńską skórę oprawnych foliałów, gromadząc materiał do dzieła o Rusie, które ma się stać podwaliną jego przyszłej sławy literackiej.

Rozdziały powieści, poświęcone tej postaci, są jakby hymnem na cześć pracy cichej, samotnej, wytrwałej, ale obfite plony rokującej. Tak pracują soki ziemi, karmiąc drzewa i łąny, kwiaty i trawy, pojąc krynice i potoki. Tak pracować winien człowiek. Nieustannie, z oddaniem bezgranicznem, z ową wytrwałością, która nie patrzy na dziś i na jutro, ale z tego dziś i jutra tworzy nieprzerwany łańcuch czynów. Myśl ta tęczową wstęgą wije się przez wszystkie trzy tomy powieści i stanowi jej najlepszą część. Jakiż kontrast niemiły przedstawia nam w stosunku do niej życie studenckie! Pijatyki ciągłe, burdy, próżniactwo, błaga i owa hierarchia burszowska, przeciw której każdy wolny człowiek buntować się musi.

Stilgebaner pokazuje nam tylko przelotnie te zresztą już i tak dostatecznie z przeróżnych opisów znane obrazy z życia akademickiego. Pośród młodzieży akademickiej, znajduje się również oficer pułku kirasyerskiego hrabia Schlippenstaedt z Berlina, który dla przyjemności spędza swój urlop w Lozannie. Ten młody arogant obeznany z życiem wielkomięjskiem, posiadający polor towarzyski nadaje naturalnie ton w stowarzyszeniu „Teutonów.“ On to obraziwszy Loewenfelda i dostawszy od niego policzek, wyzywa go na pojedynek. W nierównej walce pada mniej wyćwiczony w sztuce strzelania młody uczonek, gdy głupi arogant wychodzi cało — zwykły wynik t. zw. „rozpraw honorowych.“ Dramat ten, to pierwszy wstrząsający wypadek w życiu młodego Goetza. Jedno z kłumstw towarzyskich zajrzało mu

złowrogo w oczy. Ale na tem nie kończą się jeszcze doświadczenia jego z pierwszego roku uniwersyteckiego. Panna Gongallaz, córka gospodyni Goetza i Loewenfelda, ma dziecko nieprawe. Dziecko to, matka jej, pani Gongallaz, w obawie skandalu oddała poza plecami swej córki t. zw. „fabrykantce aniołków“, która w końcu dziecko zamęczyła. Zrozpaczona matka rzuca się wraz z trupem swego dziecka w fale jeziora. Goetz Krafft, który jest świadkiem ohydnej sceny pomiędzy matką i córką, staje się przed prasą i trybunałem rzecznikiem prawdy. Olbrzymi proces przeciw kobiecie, której rzemiosłem było konsekwentne mordowanie bezbronnych niewinątek, ukazuje młodemu idealście nowe otchłanie zepsucia i zwyrodnienia, nowe kłamstwo towarzyskie, które dla pozorów: honoru, opinii popycha człowieka nawet do zbrodni. O przygodach miłosnych Goetza nie ma nic do powiedzenia: autor niezmiernie mało pod tym względem wykazuje dobrego smaku.

Drugi tom powieści zaznajamia nas z życiem berlińskim. Tom ten jest z tego względu najciekawszy. Autor zna na wylot stolicę państwa niemieckiego; szczególnie stan umysłowy Berlina na schyłku XIX wieku udało mu się bardzo trafnie scharakteryzować. Młody Goetz Krafft, którego ojciec tracić zaczyna nadzieję, że syn zostanie pastorem, studjuje w Berlinie filologię. Wujaszek jego „Konsistorialrath“ Cumming, prezes najprzeróżniejszych misyj protestanckich, jeden z przywódców partii kościelno-konserwatywnej, wziął na siebie zadanie wywarcia wpływu zbawczego na zbłąkaną owieczkę, ale bez skutku. Obrazki z życia literackiego, z tajnych domów gry, z obozu partii protestancko-konserwatywnej, z dzielnic wydziedziczonych t. zw. „Scheunewestel“ starego miasta, gdzie nędza i szumowiny społeczeństwa wielkomięskiego mają swoje kryjówki, przeplatane trafną krytyką obecnego stanu umysłowego w Niemczech — stanowią główną treść drugiego tomu.

Autor widzi w barbarzyństwie dusznem, w brutalnej żądzy używania i w absolutnej bezwzględności, starającami ukryć się pod płaszczkiem realistycznego i naturalistycznego światopoglądu, znamiona naszych czasów: kompletny brak ideałów.

Przedstawicielami idei pracy są w drugim tomie: Dr. Daun, redaktor „Obowiązku“, tygodnika poświęconego sprawom społecznym, i profesor Trümmler, germanista i kontynuator tradycji wielkiego uczonego Wilhelma Scherera. Goetz Krafft po zetknięciu się z tymi dwoma poznaje bezcelowość swego dotychczasowego życia i, przejęty gorącym pragnieniem stania się poży-

tecznym członkiem społeczeństwa, wstępuje nareszcie na drogę pracy i czynu. Obraz przedwcześnie zgasłego przyjaciela Sully Loewenfelda, odżywa z nową mocą w jego pamięci i pod wpływem tych wspomnień powstaje dramat „Ofiara,” który co prawda robi fiasko na scenie, ale dla autora dramatu staje się drogowskazem na dalszej drodze życia. Goetz Krafft decyduje się obrać sobie za zawód literaturę. Dr. Daun miał rację, mówiąc o wielkich brakach we współczesnem piśmiennictwie niemieckiem. Ani germaniści, którzy znają co prawda gruntownie gramatykę gotycką i sanskryt i piszą z łaski traktaty historyczne o literaturze, ani dymisjonowani oficerowie i urzędnicy, smarujący powieści i nowele, ani prawnicy w roli dyrektorów teatrów lub politycy, redagujący pogadanki felietonowe i sztywni pedagogzy, w niezgrabnej todze recenzentów, nie są w stanie wypełnić tego zadania. Na to potrzeba ludzi fachowo wykształconych, prawdziwych „hommes de lettres”. Takim „homme de lettres” zamierza Goetz Krafft zostać.

Profesor Trümmner, pod którego kierownictwem młody student filologii pragnie się dalej kształcić, powierza mu korektę nowego wydania dzieł Klopsztoka. Praca to zmuDNA, mozolna, ale przeświadczenie, że każda, choćby najmniejsza cegiełka jest częścią podwalin wielkiego gmachu wiedzy, że pilność i wytrwałość nawet w rzeczach drugorzędnej na pozór wagi prowadzi jedynie do celu, napęlnia serce naszego bohatera nadzieją i radością.

Tak to stajemy się świadkami przekształcania się lekkomyślnego studenta w człowieka pracy i obowiązku, w pionka owej wielkiej armii, pracującej na polu naukowem i przysparzającej narodowi niemieckiemu bogactwa i sławy.

Tom trzeci wiedzie nas do Monachium. Ojciec pragnie wyrwać Goetza z niebezpiecznego otoczenia berlińskiego i zmusza go do odbycia służby wojskowej. Mamy sposobność do poznania niejednego kontrastu pomiędzy południowemi i północnemi Niemcami, niejedno porównanie się nam następuje, ale pomimo tego sylwetka Monachium bardzo mgliście tylko zarysowuje się przed naszym wzrokiem. Pewnego zawodu doznajemy tu pod względem opisu stosunków wojskowych. Na początku zdawałoby się mogło, że wzrokowi tego młodego apostoła prawdy niejedna rdzawa plama na lśniącej tarczy militarysty niemieckiego się ukaże, ale gdzie tam!... Młodzieniec ten, którego zapału dla pism Stirnera, pożyczonych mu przez Loewenfelda podczas pobytu w Lozannie, w żaden sposób nie jesteśmy w stanie powiązać z ideami

bezwzględnej miłości bliźniego, wyrażonemi w dramacie z czasów berlińskich, którego pojęcia o altruizmie, o zakonie Chrystusowym: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego,“ zamykają się w paradoksalnej sentencji, „że miłość bezinteresowna i bezwzględne poświęcenie swego ja na rzecz bliźniego, jest ostatnią konsekwencją miłości chrześcijańskiej“, młodzieniec ten, według słów autora, ma na polu manewrów następujące myśli: „I myśląc o tych tysiącach, zgromadzonych tutaj na tych polach i posłusznych każdemu skinieniu jednej woli, a śpiących teraz snem kamiennym znużenia po trudach ostatnich dni, Goetz uczuł się przejęty wielkością poświęcenia jednostki dla całości Idei, której nieświadomymi wyrazicielami były te tysiące w ciągu tych ostatnich dni i podczas tej nocy.“

Pod względem logiki możnaby naszemu bohaterowi niejedno zarzucić, ale ponieważ ten brak logiki nic a nic jego karierze nie szkodzi i ponieważ pomimo tego praca jego nad poprawnem wydawnictwem Klopsztoka, którą się zajmował w chwilach wolnych od służby wojskowej, zostaje ukończona ku zadowoleniu profesora Trümmlera, więc puścimy te przewinienia płazem, tembardziej, że skądinąd znów zawdzięczamy mu kilka bardzo trafnych uwag w kwestyi pojedynekowej. Temat wypracowania na egzaminie na oficera rezerwy brzmi: „Honor oficera.“ Goetz Krafft pisze na temat ten traktat przeciw pojedynkowi. — Czy honor może być znanienną cechą jakiegobądź stanu? Czy mówiąc o honorze oficera nie jesteśmy zarazem zmuszeni przyznać egzystencyi honoru nauczyciela, adwokata, księdza, lekarza i t. d.? Honor więc, jako wyłączna cecha stanu, nie istnieje. Czemżeż jest honor wogóle? — Czy jest on pojęciem filozoficznym, czy też moralnem, w popularnem tego słowa znaczeniu? — Ani jednym, ani drugim. Poczucie honoru odzywa się w nas wtedy, gdy ktoś, naruszając nasze przywileje, obraża naszą miłość własną. Takie naruszenie praw drugiego, jedynie wtedy może nastąpić, jeżeli ktoś, wbrew głosowi obowiązku, na podobne pogwałcenie cudzych praw sobie pozwoli. — Kto posiada zupełną świadomość obowiązku, dla tego pojęcie honoru jest gołym frazesem. Każde bowiem wykroczenie przeciw obowiązkowi jest zarazem pogwałceniem praw i jako takie winno być przez prawo karane.

Goetz podczas swego pobytu w Monachium staje się częstym gościem w domu nawpół oślepego filozofa Freya, którego kula we teorye filozoficzne nie wytrzymują porównania z jego piękną córką Ewunią. Prawdopodobnie i Goetz dzieli te zapatrywania, gdyż większą część swego czasu poświęca córce. Mały, poźółkły

rękopis, który stary Frey ofiarowuje Goetzowi na gwiazdkę, i który, jak później profesor Trümmler ku ogólnemu zadowoleniu stwierdza, jest bardzo cennym dokumentem, dającym szczęśliwemu posiadaczowi widoki zdobycia pewnej sławy w świecie naukowym — jak często sława w świecie naukowym zależna jest od wypadku! — będzie zapewne osią akcyi 4-go tomu, dającego nam apoteozę cichej, celowej pracy, jeżeli wolno stawiać horoskopy co do takich materyj.

\*

\*

\*

Życie przeciętnego śmiertelnika, szare, codzienne życie, płynące spokojnie, bez dzikiego szumu katarakt, oddawna już wyłobionem korytem, czyż nie ono jest winne, że powieści, w rodzaju powyższej, odznaczają się pewną jednostajnością, graniczącą miejscami z nudą? Biedne, szare, codzienne życie! Ileżkroć już na nie utyskiwano! Ale my wiemy, że to kłamstwo, że każde życie, nawet najmarniejsze, jest ogromnym, różnobarwnym kobiercem, po którym stąpa czarodziejka dusza, że w każdym sercu ludzkim drzemią całe światy, bez względu na to, czy to serce biednego furmana Henschla, czy też wykwintnego Petroniusza. Nie życie przeto jest przeszkodą do udatnej twórczości. Przeszkoda ta leży w samej twórczości beletrystycznej. Na żadnym polu twórczości poetyckiej nie rozwieliżniły się do tego stopnia dyletanizm i nieudolność. Olbrzymi zastęp niepowołanych tak zepsuł smak publiczności, a do pewnego stopnia i smak autorów, że każdy niemal czuje się na siłach do napisania powieści, a conajmniej nowelki. — Powieść? — Cóż łatwiejszego? Trzeba tylko pisać barwnym stylem — — — kilka ciekawych konfliktów, żywa akcja, kilka pięknych opisów natury mimochodem, najlepiej w związku ze scenami miłosnymi, kilka poczciwych, obywatelskich myśli, no... i pewna doza czegoś pieprzonego (byle nie zawiele) dla przyprawy — oto recepta. Że powieść jest odłamem poezyi epickiej, i to może najważniejszym i najbardziej obiecującym jej odłamem, że tak samo, jak dramat, ma swoje prawa, które z sobą na świat przyniosła, że nieuwzględnienie tych praw jest świętokradztwem — kto pamięta o tem? A przecież, prawa te win-

ny być zachowane, jeżeli pragniemy stworzyć coś wartościowego. Życie jest szeregiem olbrzymich symfoni. Z tego łańcucha różnorodnych brzmień, wyjąć musimy oddzielne ogniwa, stopić je w jedną harmonijną całość, dać im pogłębienie symboliczne, które jedynie jest w stanie zastąpić nieuchwytną rozlewność życia, ująć je w rytm odpowiedni, zabarwić odpowiednim odcieniem. Fotografia rzeczywistości nie da się w danym razie urzeczywistnić, wszystkiego bowiem, co i jak życie daje, nie jesteśmy w stanie ująć w rany choćby najobszerniejszej powieści. Musimy skrócać, wybierać, przekakiwać, pomijać, podkreślać charakterystyczne cechy — słowem kształtować. Ale w jaki sposób brać się do tego? Arno Holz i Johannes Schlaf dowiedli aż nazbyt dobitnie swym słynnym zbiorkiem nowelek „Neue Gleise,“ że do słowna kopia rzeczywistości da się co najwyżej zastosować z powodzeniem do małych obrazków rodzajowych, do nowelek o miniaturowych rozmiarach. Taż sama technika, którą krytyka słusznie nazwała „Sekundenstil,“ zastosowana do powieści, musiałaby wywołać utwory kilkudziesięciotomowe; kto mógł i chciałby je jeszcze czytać?

Niski stan ogólny powieści niemieckiej bije głównie przez to w oczy, że brak jej poza tem jeszcze tego poloru, tej ogłady stylistycznej, która np. częstokroć łudzi nas co do wartości jednego utworu francuskiego. Dość będzie dla scharakteryzowania tego stanu powiedzieć, że współczesna literatura niemiecka nie posiada ani jednej wartościowej powieści historycznej, ani jednego malowidła społecznego na wielką skalę, ani jednej dobrej powieści wielkomijskiej, ani jednej wartościowej powieści psychologicznej. Wobec spotęgowanej twórczości artystycznej dni dzisiejszych i wobec niezaprzeczonych dowodów nowego, obiecującego rozkwitu sztuki, tak niski stan ogólny belletrystyki niemieckiej stanowi kontrast niezwykle jaskrawy.

„Joern Uhl“ Gustawa Freussena jest pierwszą od lat wielu powieścią niemiecką, ze wszech miar zasługującą na to wyjątkowe uznanie, jakie zyskała sobie odrazu wśród publiczności niemieckiej. Chcemy tu obszerniej pomówić o niej, ze względu na wybitne i różnostronne jej zalety, aczkolwiek treść jej w krótkim zarysie podana już była w „Bibliotece warsz.“ (Zob. zeszyt marcowy 1904 r.). Zajmuje ona, i bezwątpienia długo jeszcze zajmować będzie, jedno z najpierwszych miejsc w nowszej belletrystyce niemieckiej. Styl bogaty, jednolity, gęsto przetykany złotem prawdziwej poezji, mowa potężna, przypominająca czasem ustępy biblijne lub stare legendy, opisy natury wzniosłe, znakomicie

obserwowane, głęboko indywidualnie odczute, charakterystyka zawsze trafna, zawsze pełna najprzeróżniejszych subtelnych odcieni, myśli głębokie, pełne owego słonecznego optymizmu, którym odznaczają się poglądy ludzi umiejących kochać wielką miłość.

Na północy Niemiec, wzdłuż wybrzeży dzikiego morza Północnego, wżerającego się chciwie w żyzne równiny szlezwigo-holsztyńskie, żyją szczepy odwieczne Fryzów, pokrewne owym śmiałym skandynawskim zdobywcom, którzy pod dowództwem swych wikingów wtargnęli przed wiekami do środkowej Europy. Śród żyznych żuław, porośłych soczystą trawą, leżą ich osady. Każdy domek, otoczony zielenią drzew, które nieustannie wiatry zachodnie pochyliły ku wschodowi, jest wymownem świadectwem zasobności i dostatku. Nazewnątrz każdy prawie z tych białych domków, o olbrzymich dachach, krytych czerwoną lub czarną dachówką, nosi szatę dawno minionych czasów; u niejednego szczytu widnieją jeszcze według obyczajów starogermańskich, dwie głowy końskie, a nad drzwiami, okutemi kunsztownie w staroświeckie okucia żelazne, odwieczne napisy, rysunki i rzeźby. Wewnątrz niejedno już uległo gruntownej zmianie. Aksamitem kryte wygodne fotele, lustro w złożonych ramach, dywany, niekiedy nowy, lśniący fortepian, — bo chłopci ci lubią wygodę i niczego sobie nie odmawiają. Wszak stać ich na to.

Tuż opodal na wzgórzach puszczy, gdzie łąny fioletowych wrzosów kołyszają się na piaszczystym gruncie, gdzie karłowate sosny i brzozy oraz spiczaste ciemnozielone piramidy jałowców stoją, tworząc fantastyczne grupy, gdzie od czasu do czasu łubin złotą falą błysnie wśród pól kartoflanych i aksamitnym mchem porośłe głazy granitowe znaczą odwieczne mogiły jakichś nieznanych olbrzymów — gnieźdzą się szczepy Wendów, które aż tak daleko na północ się przedarły. Ziemia biedna wyżywić ich nie może, zato natura dała im ruchliwość i spryt. Z wózkami, zaprzężonemi w psy, wędrują od wioski do wioski sprzedając, kupując i przeprowadzając różnego rodzaju transakcje, przy których wrodzony spryt daje im pożądaną przewagę nad dumnymi, po pańsku wspaniałomyślnymi, ale ociężałymi mieszkańcami żuław.

Z tym światem zaznajamia nas autor nie zwykłym sposobem rozwlekłych nudnych opisów, lecz wplatając nader umiejętnie w treść swej powieści cały szereg podań, legend, wyjątków ze starych kronik i ksiąg kościelnych. Każdy rozdział jest, jakby w sobie zamkniętą pieśnią poematu. W miejscowości, opisanej przez autora, dwa rody są przedstawicielami obu szczepów: boga-



ty ród fryzlandzki Uhlów (Uhl w gwarze północno-niemieckiej znaczy „sowa“) i ród wendyjski Krejów (Krey w gwarze północno-niemieckiej znaczy „wrona“). Klaus Uhl, t. zw. Król Uhlów pojął za żonę dziewczynę z rodu Krejów, siostrę Thiessa Thiessena. Skromna, cicha, pracowita kobieta, której mąż spędza dnie i noce za domem w wesołej kompanii, wiedzie smutny żywot w starym, ponurym dworze i umiera przedwcześnie, osierocając oprócz dwóch podrostków, którzy się wdali w ojca, dwoje dzieci: małego Joerna i nowonarodzoną Elzabę.

Przez wielkie, zamysłone oczy dziecka, pokazuje nam autor świat. Widzimy, jak dusza młoda pije chciwie wrażenia, pochłania obrazy, jak stary dwór z ogromnym, ponurym, rembrandtowskim przedsiönkiem, w którym złote promienie słoneczne gubią się, jak w wielkiej otchłani, opowiada tradycje Uhlów, jak sad i pola, wzgórze piaszczyste za stodołami, bajki i legendy starej klucznicy, Wieten Klook, wyciskają swe znamiona tajemnicze na wrażliwym umyśle dziecka i kształtują jego poglądy na świat i życie. Najprzód mały, biały piesek jest jego towarzyszem, później dorasta dziewczynka, której trzeba świat pokazywać. Do tych dwojga przyłącza się jeszcze córeczka sąsiada Lisbeth Junker i młody Frete Krey, któremu powierzają opiekę nad dziećmi. Teraz otwiera się przed nimi większy krąg świata; przez pola i puszcze prowadzi ich Frete do wujaszka Thiessena. Tak przechodzą lata dziecinne.

Joern zaczyna się uczyć. Stary Klaus Uhl chce, aby Joern studyował i mógł z czasem zostać landratem. Wszak stać go na to. Ale w duszy młodego Uhla powstaje walka pomiędzy miłością dla ziemi, a miłością dla książek. Książki ciągną go i wabią, żądza wiedzy zapuściła już korzenie w jego serce; ale co będzie ze spuścizną ojców? Coraz bardziej otwierają mu się oczy na to, że gospodarka ojca i braci doprowadzić musi do ruiny. I w końcu decyduje się pozostać i pracować na roli, ażeby wartować ojcowiznę od zaguby. Ojciec i bracia śmieją się z niego, ale on z zaciętością i wytrwałością prawdziwego syna północy idzie naprzód po raz obranej drodze. Przychodzą lata ciężkiej pracy. Wszystko leży na jego młodych barkach. Starzy sąsiedzi wtajemniczają go w sztukę gospodarską, uczą go jak pracować na roli. Gwiazdy zaś uczą go zagłębiać się w światy myśli. W starej, rzeźbionej skrzyni, stojącej w jego izdebce, leżą książki astronomiczne i przyrodnicze, leży teleskop i reprodukcja obrazu Tycyana: „dwie miłości.“ Tam przy tej skrzyni, lub w altanie, która mu służy za obserwatorium, spędza Joern wieczory.

Myśli jego wybiegają daleko poza ciasne granice bytu chłopskiego, do którego przywiązanie go zaprzęгло. Nieszczęśliwa miłość rzuca ziarno melancholii w tę zamysłoną, ponurą duszę ludzką, która wzdycha do światła, przykuta żelaznemi łańcuchami do czarnej gleby. Jeszcze światło niebieskie nie rozświeciło jej ciemnych widnokręgów. Bóg jest jej jeszcze tylko złym rachmistrzem, który dobrze prowadzi księgi, ale daje się ludziom oszukiwać, a ewangelią jej jest praca, oszczędność i mądra gospodarka. Jednostajne życie przerywają miesiące służby wojskowej i fanfary wojny francusko-niemieckiej. Po mistrzowsku opisuje autor bitwę pod Gravelotte, w której Joern Uhl, jako podoficer artylerji, bierze udział.

Wreszcie powracają zwycięzcy pod strzechy rodzinne. Joern Uhl zastaje w domu większy nieład, niż przedtem; ojciec, który został sparaliżowany w tym czasie, i bracia tak już zadłużyli posiadłość, że bank kredytowy, pragnąc uratować swą hipotekę, decyduje się spłacić dwóch starszych braci, a Joernowi, do którego posiada zaufanie, oddać całą posiadłość z warunkiem spłacania kapitału ratami. W ten sposób staje się Joern wyłącznym posiadaczem tego kawałka ziemi, któremu poświęcił najlepsze lata swej młodości. Ale pomimo wyteżonej pracy, nie jest w stanie utrzymać się na ojcowiznie. Plagi, nieurodzaje, pożar, śmierć żony, która mu pozostawia syna — wszystko wali się na jego potężne barki, przytłaczając duszę ogromnem brzemieniem smutku. I znów gwiazdy i książki stają się jego pociechą, znów odzywa się głos, który go zwał przed laty na drogę nauki i światła. I dlaczegoż nie usłuchał tego głosu? — Dla ratowania tego, co przeznaczone było na zagładę, dla ratowania tradycji Uhlów, która była złą tradycją, poświęcił swe młode lata, zaprzedał duszę. I wszystko na nic, wszystko napróżno! Z chwilą, gdy opuścić musiał ojcowiznę, myśli te przybierają coraz realniejsze kształty. Pod skromną strzechą wuja Thiessena odżywa dusza jego.

Gdy ponad młodym lasem, spowitym w śnieg i twardą skorupę mrozu, wiatr zachodni zacznie łagodnie szemrać, słyszeć można jak w świerkach coś trzeszczy i łamie się; nie chce się ugiąć, dlatego łamać się musi. Ale łagodne powiewy tulą się do kryształów lodowych, tulą i ślizgają się po nich. I wedle starego zwyczaju: to co łagodne, zwycięża w końcu zawsze na ziemi. Miłość zwycięża. Brząk i zgrzyt oreża ustaje. Kryształy lodowe upuszczają swe lśniące dzidy, zbroje ich topnieją — łzami się zalewają i padają w objęcia łagodnego ciepła. Kto przez taki las

o tej wiosennej porze idzie, słyszy chrzęst i padanie i cichy jednostajny szept. Piękny jest widok i cudna muzyka lasu tającego, ale o ileż piękniejszy widok tającej duszy ludzkiej!

Temi słowy zagaja autor historię budzenia się duszy Joerna do nowego życia. Piękne i wznioste są rozdziały opisujące, jak człowiek zagłębia się, poznaje, uczy się rozumieć siebie, jak powraca na te rozdroża, na których staje każdy przynajmniej raz w życiu, ażeby pójść za wołaniem świata, lub za szeptem duszy. Joern czuje się na siłach zacząć znów od początku, zamknąć rachunki przeszłości i rozpocząć nowe życie. Miłości do nauki nie mu już teraz nie kępuje. W Hanowerze na politechnice otwierają mu się podwoje wiedzy, do której tęsknił przez lat tyle. Późne to nawrócenie co prawda, połowa życia minęła bezpowrotnie, ale dlaczegóż nie korzystać z tej drugiej, która prawdopodobnie leży jeszcze przed nim. A gdyby nie... gdyby nie danem mu było osiągnąć tego, czego dusza pragnie, to czyż Ojciec Niebieski nie dość ma światów, gdzie też trzeba budować nowe drogi i nowe kanały kopać? Z tą silną wiarą w Boga, w pożyteczność każdego wysiłku ludzkiego, wstępuje Joern Uhl ponownie w szranki życia. Taki bojownik posiada duże szanse zwycięstwa, a siłą jego jest to, że zna zło i dobro, że dotarłszy do krawędzi nicości, potrafił podnieść ducha aż do szczytów wszechmocnej wiary. Tacy rzadko ponownie upadają. Autor składa dowód dużej znajomości natury ludzkiej, że pomimo tego odrodzenia, pomimo odblasku szczęścia, jakim napełnia serce Joerna miłość do Lisbeth Junker, owej towarzyszkii zabaw dziecięcych, z którą teraz łączy swój los na zawsze, że pomimo powodzenia, jakim uwieczniona zostaje praca jego na nowem polu działalności — nie ukrywa przed nami tych zmian, jakich szorstka dłoń życia dokonała w charakterze Joerna, w którym pozostaje zawsze jeszcze jakiś dysonans z przeszłości, nie dający się usunąć. Niewiadomo skąd zabłąka się czasem myśl jakaś chmurna i zmarszczy mu czoło, jak wiatr powierzchnię cichej wody marszczy; — bo życie jest walką nieustanną, a walczyć trzeba nawet z marami przeszłości, które od czasu do czasu nawiedzają w chwilach słabości duszę człowieka, szukając przystępu do niej, ażeby ją zmódrzyć i zatruć. Ale Joern Uhl posiada filozofię, której nie zachwiać nie może. „Niegdyś, mówi, gdy jeszcze byłem młodym chłopakiem, zdawało mi się, że tylko przeszkody dwojakiego rodzaju stanąć mogą na drodze mojej: takie, które dadzą się nagiąć do mej woli i takie, które trzeba przełamać. Później przez ciąg wielu ciężkich lat przekonałem się, że jeszcze coś innego stanąć może na drodze

człowieka. Coś, co czasem przez kilka chwil, a czasem przez lata całe stoi przed nami, jak dziki, czarny, potężny zwierz z podniesioną straszną łapą o białych, nieruchomych pazurach. — Co począć? Zejść z drogi, pochlebiać, kłamać? — niema sensu. A ono stoi tuż przed tobą, bezrozumne, potworne, wstrętne. Walić w nie? Też niema sensu. Bestya stokroć mocniejsza, niż ty. Więc cóż pozostaje wobec takiego olbrzymiego potwora, wobec takiego przeznaczenia? Jedno. Trzeba mu krzyknąć: czy darujesz mi życie, czy nie, czy pożresz mnie wraz z tem wszystkim co mi jest drogie, czy nie, czy zniacisz mi widokiem twej okrutnej łapy rozum, czy nie, rób co ci się podoba! Ale, powiadam ci, wszystko co się stanie, stanie się w imię Boga, którego wołą jest, ażeby dobro zwyciężyło tak we mnie, jak wszędzie na świecie.“

Z taką filozofią daje się żyć. Przypomina nam ona skały granitowe Skandynawii, o które rozbijają się w bezsilnej wściekłości spienione bałwany morskie, pieśni zdobywców północnych i ich wierzenia, które tutaj w piersi potomka odżyły pod nową postacią.

Tak przeszłość i terażniejszość podają sobie dłonie w duszy człowieka, którego życie nabiera dla nas znaczenia wszechludzkiego — staje się symbolem. Zapominamy o tem, że mamy przed sobą skromną historję szarego życia chłopskiego, i widzimy na niezmiernym oceanie życia człowieka, borykającego się z rozhułkanym żywiołem. Każdy z nas musi sobie pytania tego chłopca rozwiązać, każdy musi walczyć, pytać, wybierać, naprawiać, odradzać się, dla każdego więc książka Freussena posiada swoją wartość.

Jak już poprzednio wspomniałem, powieść ta, pisana jednolicie, przepyszny językiem, jest ogromnie zbliżona do poematu epickiego. Pod tym względem możnaby ją porównać z takimi utworami, jak znakomity „Pan“ Knuta Hamsuna, który Otto Weinger nazywa najlepszą powieścią kiedykolwiek napisaną, lub „Gneta Berling“ Selmy Lagerlöf. Każdy rozdział sprawia wrażenie skończonej całości artystycznej. Wrażenie to autor jeszcze potęguje przez krótkie, charakterystyczne zdania, które, jak zwrotka pieśni, powtarzają się kilkakrotnie w ciągu opowiadania. Tak np. w jednym rozdziale, opisującym bezowocną walkę Joerna o swą ojcowiznę, powracają smutną zwrotką słowa: „die Uhl ist Tod“; w innym znów: „Menschen halfen ihm,“ a zwrotkę tę uzupełnia piękna końcowa zwrotka: „So halfen Menschen u. Sterne, dass Joern Uhl über böse, einsame Jahre hinwegkam.“

Aby dać wyobrażenie o stylu autora, załączam jeszcze jeden charakterystyczny przykład: „Wydarzenia tych dni, pisze Freussen, przez lata wywierały wpływ na niego, podobny do wpływu mroźnych, gwiazdzistych nocy grudniowych na młodą drzewinę. Skostniała do rdzenia, zamyka się w swem wnętrzu i żyje napoły we śnie, napoły na jawie. W miarę jednak, jak słońce ją pieścić poczyna, przykładając długo, długo ciepły swój policzek do popękanej kory pnia, drzewina odżywa i weseli się. Tak młody chłopak zamknął w sobie wszystko, co przeżył tego poranku w lasku sosnowym na skraju puszczy. Oczy i usta zawarł, ażeby nikt nie mógł wdrzeć się do wnętrza duszy. Stał się małomównym i cichym człowiekiem. Głupcy nazwali go niemrawym. Ale rozsądny, myślący człowiek, spojrzawszy w te lęдлиwe, głębokie i poważne oczy, mógł patrzeć w nie, jak do wnętrza starego kościoła wiejskiego. Złote promienie padające skośnie w półmroku przez wysokie okna, a w głębi przed złożonym ołtarzem wysokie, ciche światła.“

Okolica opisana przez Freussena stała się miejscem pielgrzymki dla wielu turystów. Dziś wznosi się tam duża oberża, nosząca szumną nazwę „Joern Uhl,“ a przedsiębiorczy gospodarz, który w ten sposób zniweczył urok tego cichego, romantycznego ustronia, robi podobno znakomite interesy. Taki to bieg rzeczy na świecie.

\*

\*

\*

Ciekawem dziełem, zasługującym na szczególną uwagę, jest ostatni utwór znanej powieściopisarki Clary Viebig: „das schlafende Heer“ (śpiące wojsko). Powieść ta, poświęcona stosunkom poznańskim, wywołała najprzeróżniejsze echa w prasie niemieckiej. Gazety i pisma polakożercze powołują się na nią, jako na wymowny dowód bezskuteczności dotychczasowych usiłowań zgermanizowania tej wschodniej dzielnicy państwa niemieckiego i żądają obostrzenia przedsięwziętych środków. Znawcy stosunków poznańskich, jak np. Dr. Karol Busse, nazwali powieść Clary Viebig najlepszym niemieckim utworem powieściowym, traktującym o kwestyi polskiej. Czytelnikom „Biblioteki Warsz.“ znane jest zresztą

nazwisko autorki, z rozbioru innych jej powieści, poświęconych także stosunkom poznańskim.

Przed 10-ciu laty nazwisko Clary Viebig po raz pierwszy zjawiało się na szpaltach dzienników niemieckich. Wkrótce potem uwagę powszechną zwróciła jej pierwsza książka „Kinder der Eifel,” zawierająca znakomite realistyczne obrazki z życia ludu tej okolicy nadreńskiej, która była kolebką autorki. Opisy te są obok utworów Lulu von Strauss und Torney i Heleny Voigt-Diedericks, której powieść „Regine Voskerau“ zasługuje na szczególne uznanie, najlepszymi rodzajowymi obrazkami z życia chłopów. Wśród pokazanej liczby utworów, które autorka w ciągu tego czasu ogłosiła drukiem, zajmują wybitne miejsce: „das Weiherdorf“ (powieść, ogłoszona drukiem 1900 r.), „Naturgewalten“ (zbiór nowelek 1905 r.) — oba utwory poświęcone życiu chłopów nadreńskich i powieść „die Wacht am Rhein“ (1902 r.) — malowidło historyczne. W „Śpiącym Wojsku“ autorka dosięga punktu kulminacyjnego swej twórczości.

Clara Viebig spędziła wiele lat w Poznaniu, stosunki tamtejsze są jej widocznie dobrze znane. Powieść jej zawiera nawet niejedną aluzję do rzeczywistych wydarzeń ostatnich lat. Na pograniczu dóbr Niemczyce-Deutschau, należących do hakatysty barona von Doleschal, i Przyborowa, również własności niemieckiej, wznosi się góra, zwana „Łysą Górą.“ Z góry tej można ogarnąć wzrokiem szeroki krąg ziemi niegdyś polskiej, dziś prawie wyłącznie znajdującej się w rękach niemieckich. Tylko jeszcze Chwaliborzycze są w rękach polskich, ale i pan Garczyński, właściciel tych dóbr, nosi się z myślą sprzedania swego majątku komisji kolonizacyjnej. Z Łysej Góry widać też domki osady kolonistów niemieckich „Augenweide“ i czerniałą dzwonnice kościołka parafialnego we wsi Pociecha.

Na Łysej Górze pasie owce stary owczarz Dudek i, oparłszy się o swój kij sękaty, duma i nasłuchuje, nasłuchuje i czeka na znak, mający zbudzić wielkie wojsko polskie, śpiące w łonie tej góry. Podanie to o śpiącym wojsku polskim spożytkowała autorka bardzo umiejętnie, jako symbol siły, drzemającej w ludzie polskim, a budzącej się pod biczem hakatyzmu.

Powieść pisana jest z wielką znajomością rzeczy, typy tchną prawdą, nigdzie ani śladu tendencji, na czem naturalnie sama powieść zyskuje najwięcej. Bardzo trafna jest charakterystyka Niemca, hakatysty, barona von Doleschal, który z bezwzględnością junkra pruskiego, chce wszędzie iść przebojem naprzód, jątrzy, drażni, naraża się nawet własnym współziomkom, zostaje obity przez chłopów i w końcu, pod wpływem coraz bardziej potę-

gującej się manii prześladowczej, odbiera sobie życie wystrzałem z rewolweru. Również dobrze udał się autorce typ obywatela Niemca, starszej daty, w osobie właściciela Przyborowa, Kestnera. Kestner widzi we wszystkim tylko interes. Ziemia polska go wzbogaciła, ziemię tę przeto lubi, jak rzemieślnik lubi swój warsztat, który go wzbogaca. Robotników polskich też lubi, bo umiejcą pracować, a za kieliszek wódki ponad normę gotowi są bez szemrania, choćby do późnej nocy wytrwać przy robocie. Haka-tyzmu Kestner znieść nie może, ponieważ utrudnia i zaostrza stosunki i nosi się z tego powodu z myślą sprzedania jaknajprędzej Przyborowa, jeżeli podobna, komisji kolonizacyjnej za dobre pieniądze. Ale komisya kręci się około Chwaliborczyce, majątku Garczyńskiego. Garczyńscy to ludzie małej wartości. Ona kokietka, pragnąca się bawić i używać, przyzwyczajona do życia wielkomijskiego w Warszawie, gdzie, jako córka bogatego bankiera, grała rolę niepoślednią w towarzystwie, nagli męża, ażeby jak najprędzej sprzedał majątek i przeniósł się do Berlina. Postać Garczyńskiego najmniej udała się autorce. Mglista w zarysach, odznacza się tak słabą charakterystyką, że przy analizie pozostają same strzępy szablonów w ręku.

Bardzo udatnie naszkicowana jest postać wikarego Górki. Ten młody duchowny, w którego dłoniach spoczywają powikłane nici najróżnorodniejszych interesów, który cieszy się zarówno zaufaniem polskiego ludu, jak i niemieckich kolonistów, katolików, jest godnym przeciwnikiem barona von Doleschal. Znakomicie udała się autorce scena pomiędzy nim a baronem w chacie starej „Ciotki“ postrzelonej przez barona na polowaniu. Bezwzględny junkier zapomina się tak dalece, gdy nikt z obecnych w chacie jego mowy niemieckiej zrozumieć nie chce, że zaczyna walić szpicrutą po sienniku chorej „Ciotki.“ Bardzo dobre są też niektóre postacie z ludu: stary owczarz Dudek, gorący patryota-fanatyk; wnuczka jego Michalina, poczciwa, pracowita, inteligentna dziewczyna polska; Stasia, pokojówka pani Garczyńskiej, ładna i chytra żmijka i kolonista Breuer, który przywędrował aż z nad Renu w nadziei z bogacenia się szybko przy pomocy komisji kolonizacyjnej, a przekonawszy się, że nadzieje jego nie dadzą się tak łatwo urzeczywistnić, sarka nieustannie na rząd i stosunki i, spakowawszy manatki, powraca czempredzoj tam, skąd przyszedł. Prawdziwym klejnotem humorystycznym jest charakterystyka „Ciotki,“ starej baby, pijaczki, grywającej na basotli podczas uroczystości wiejskich — typ godny pędzla van Ostadego.

Powieść Clary Viebig, do której wyśmienitym komentarzem może być dziełne studyum Franciszka Morawskiego „Walka z nadczłowiekiem“ (patrz zeszyt marcowy „Bibl. Warsz.“ z r. b.), jest ciekawym dokumentem zapatrywań pewnej warstwy społeczeństwa niemieckiego na dotychczasową bismarkowsko-bezwzględna politykę Prus w Księstwie Poznańskim. Zalety artystyczne tej powieści winny się przyczynić do znacznego rozpowszechnienia poglądów autorki wśród bezstronnej publiczności niemieckiej a może i niejednemu otworzą oczy na potworną blagą hecy polskiej.

JAN KACZKOWSKI.



# PIŚMIENNICTWO.

LUDWIG MISES. *Die Entwicklung des gutsherrlich-bäuerlichen Verhältnisses in Galizien (1772—1848)*. 1903.

Wśród studyów polityczno-naukowych, wydawanych w Wiedniu przez profesorów Bernatzika i Phillipovicza, ukazała się praca Misesa, poświęcona galicyjskiemu rozwojowi stosunku dworu do włościanina, począwszy od r. 1772, t. j. od chwili, gdy dzierżawy Rzeczypospolitej polskiej poczęły przechodzić pod władzę austryackiego państwa, a skończywszy na roku 1848, czyli na dobie uwłaszczenia włościan. Autor nie objaśnia jednak stosunku dworu do włościanina w obrębie W. Ks. Krakowskiego, które w roku 1846 zostało wcielone do Galicyi i uzupełnienie powyższe postanawia uczynić przedmiotem badania odrębnej pracy. Studyum swoje rozpoczyna autor od określenia historii włościan i stosunku ich do dworu w dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Skorzystano tu ze studyów księcia T. Lubomirskiego, Piekosińskiego, Korzona i innych, tak, że początek rozprawy napisany został dość wyczerpująco i dokładnie, bez żadnych ubocznych tendencyj ukrywających, czy przekręcających prawdę historyczną. Autor odróżnia szczegółowo położenie włościan w dobrach prywatnych od włościan w królewskich i w dobrach duchownych. Dochodzi jednak do niekoniecznie usprawiedliwionego przekonania, że polski dziedziczny włościanin 18 wieku był niewolnikiem, pozostawającym pod absolutną władzą swojego patrymonialnego pana. Jego położenie prawne było pod każdym względem gorsze od chłopu pruskiego i czeskiego. Współcześni wspominają też jedynie o włościaninie polskim niewolniku, a wszyscy polscy juryści porównywują poddaństwo chłopu polskiego z rzymską niewolą.

Przedstawivszy organizację rolnych stosunków w dawnym, starym porządku rzeczy, wykazawszy przewagę uprawy wielkiej, ciężar pańszczyźnianych powinności, autor wykazuje różnicę zapatrywania się państwa polskiego i austriackiego na kwestyę włościańską, czyli na stosunek prawny pana patrymonialnego do włościanina. Państwo polskie, zdaniem autora, nie uczyniło nic dla swego włościanina. Reformę rozpoczęli prywatni magnaci w 18 wieku. Liczni właściciele dominialni, zarówno świeccy, jak duchowni, przekonani o bezprodukcyjności pańszczyzny, pozaprowadzali zmiany, obliczone zresztą więcej na zwiększenie dochodów dominikalnych, aniżeli w celu polepszenia doli włościan. Stanisław August oświadczył wprawdzie zaraz po wstąpieniu na tron, iż pragnie polepszyć dolę włościanina, ale zamiary jego pozostały dalekimi od urzeczywistnienia. Jedno jedyne, co mu się udało przeprowadzić na korzyść włościan, było odebranie prawa miecza jurysdykcji patrymonialnej. W każdym razie autor przyznaje, że po pierwszym podziale sprawa włościańska była na seryo poruszona i myślano poważnie o zniesieniu poddaństwa włościan w Polsce. Mimo to w r. 1780, po czteroletnich naradach i obradach, odrzucono kodeks Zamoyskiego, który sprzyjał sprawie włościańskiej. Nawet gdy państwo polskie było bliskim upadku, nie mogła się szlachta zdecydować na zrzeczenie się swych przywilejów gwoli publicznemu dobru. Konstytucya 3 maja ofiarowała też włościaninowi ustępstwa bez wartości.

Jakże odmiennie zachowywało się państwo austriackie 18 wieku, wobec kwestyi włościańskiej. Autor przyznaje wprawdzie, że w 16 i 17 wieku, panujący w dzierżawach austriackich mało się troszczyli o dobro włościan. Inne sprawy wystąpiły na czoło. Trzeba było bronić państwa od Turków, Szwedów i Francuzów. Dopiero w końcu 17 stulecia, zaczyna się zmieniać postać rzeczy, dzięki fiskalnym względom, które z poddanych włościan pragną uczynić głównego i zamożnego kontrybuenta. W 18 wieku administracya austriacka postąpiła jeszcze dalej; uznała bowiem, że jej najważniejszym zadaniem jest zasłonić od wszelkiego ucisku włościan prywatnych. Wymiar sprawiedliwości, usunięcie nadużyć w stosunkach między dworem a włościaninem było pierwszym staraniem organów państwowych i ta sama polityka została wprowadzona do Galicyi zaraz po jej okupacyi na rzecz Austrii.

Jednem z pierwszych starań rządu austriackiego w Galicyi, było powstrzymanie emigracyi włościan galicyjskich na Wschód, jak autor objaśnia, spowodowanych uciskiem ze strony szlachty. Rząd austriacki wydał mnóstwo drobnych rozporządzeń, ograniczających

sądownictwo patrymonialne i nadających włościaninowi charakter podmiotu prawnego. Włościanin nareszcie ma gdzie zaskarżyć swego pana o nadużycia mniejszego rodzaju, o karaniu bowiem śmiercią swych włościan, szlachta galicyjska pod rządami Austrii nie mogła ani chwili marzyć. W królewstwach zajęto się ustaleniem ekonomicznego położenia włościan i określeniem ściślejszym zobowiązań włościańskich, wyrażonych w lustracyach, często za ogólnie. Wśród włościan dziedzicznych starano się również określić ściślej obowiązki ich względem dworów i zapobiedz samowolnemu powiększaniu pańszczyźnianych ciężarów. Inwentarze gruntowe brano zazwyczaj za podstawę przy określaniu włościańskich powinności i inwentarze powyższe rozstrzygały zazwyczaj wszelkie wątpliwości nie tylko w sporach prywatnych, ale i jako uzupełnienie lustracyj w królewstwach.

Józefińskie reformy zamieniły i w Galicyi niewolnictwo włościan w dziedziczne poddaństwo (*Erbunterthänigkeit*). Zamiana powyższa pod względem prawnym, ale nie pod względem gospodarczym, porównała włościan galicyjskich z włościanami czeskiemi i morawskimi. Począwszy od r. 1783, wydaje rząd józefiński w Galicyi cały szereg reglementacyj, normujących stanowisko prawne włościanina i stosunek jego do dominium. Niewątpliwie, główna troska józefińskiego prawodawstwa zwrócona była ku temu, aby wzmocnić i utwalić prawo użytkownicze, jakie włościanin posiadał do uprawianych gruntów. Cesarz pragnął nawet tego, aby włościanin galicyjski zdobył na własność uprawiane grunta, ale stany galicyjskie, o ile mogły, kładły tamę jego zamiarom, widząc w urzeczywistnieniu ich ruinę własną ekonomiczną. Zresztą polityka stanów galicyjskich nie była bynajmniej wyjątkowo egoistyczną, tak samo względem planów cesarskich zachowały się stany czeskie i morawskie, unicestwiając plan Józefa, polegający na obdarzeniu włościan zupełną własnością. Oprócz tego pozostawało jednak rządowi józefińskiemu dużo do zrobienia w Galicyi. W powyższej dzielnicy posiadanie włościanina nie było tak zabezpieczone od samowoli, jak w Czechach lub Morawach. Ziemie włościańskie czyli rustykalne, nie były należycie oddzielone od dworskich czyli domestykalnych, i reprezentanci tych ostatnich pragnęli niejednokrotnie zmniejszyć obszar gruntów włościańskich. Dekretem z r. 1787 zniesiono ową nieokreśloność stosunków galicyjskich i zrustrykalizowano, czyli nadano charakter rustykalny wszystkim gruntom posiadany przez włościan.—Dekret powyższy był jednym z najdonioślejszych w skutkach dla galicyjskiego włościanina. Dzięki jemu bowiem pozy-

skał on dożywotnie prawo użytkownicze gruntów przez siebie uprawianych, a ponieważ tylko w razach ściśle przez prawo określonych, może on być pozbawiony swych praw użytkowniczych, przeto można je było nazwać dziedzicznymi.

W każdym razie tenże sam dekret z r. 1787, obdarzył włościan w dobrach kameralnych, starościńskich, duchownych i gruntach nadanych—dziedziczną własnością. Prócz tego ordynat Zamoycki obdarzył także samą własnością ordynackich włościan. Tylko, że reforma powyższa, która, zdaje się, nigdy nie weszła w życie, miała miejsce dopiero w roku 1792. Wogóle zaś nieokupionym włościanom dominikalnym nadał dekret charakter nieokupionych włościan rustykalnych. Do stosunków ich użytkowniczych wprowadził daleko więcej ścisłości w określeniu, zbliżając je do pełnej, dziedzicznej własności. Józef II ze względów populacjonistycznych był także zwolennikiem kolonizacji, a przeciwnikiem większej własności. W r. 1775 postanowiono w Czechach i Morawach, w dobrach rządowych, zaprowadzić system kolonizacji Raaba. Prywatni właściciele uważali system powyższy za szkodliwy dla swoich gospodarstw i starannie go unikali. Ponieważ system Raaba okazał się korzystnym w Czechach i Morawach, przeto postanowiono zaprowadzić go w dobrach rządowych i pojezuickich w Galicyi. W tym celu jednak trzeba było sprowadzić obcych kolonistów, albowiem Galicya była zbyt uboga w ludność, aby sama temu zadaniu kolonizacyjnemu sprostać była w stanie. Zdecydowano się ostatecznie na sprowadzenie kolonistów niemieckich, którzy swemi wiadomościami rolniczymi i pracowitością obiecywali odwzajemnić się Galicyi wielkimi pożytkami. Kolonistom też przyznano dla zachęty wielkie ulgi; wybudowano dla nich dogodne zabudowania, zaopatrzono je w odpowiednie inwentarz martwy i żywy, naznaczono im umiarkowany czynsz po szeregu lat wolnych i pozostawiono im do wyboru płacenie czynszu w pieniądzach lub zbożu. Kolonizacja w tej dobie wykroczyła nawet poza szranki dóbr państwowych i zapełniła do pewnego stopnia luki, jakie w dobrach prywatnych powstały skutkiem emigracji. Wogóle od r. 1772—1786 sprowadzono około 20,000 niemieckich, przeważnie wirtemberskich kolonistów do Galicyi i utworzono z nich 120 kolonij. System Raaba zastosowano głównie w dobrach kameralnych Niepołomice i Sandomierz. Koloniści byli zadowoleni z powyższych reform i rząd wychodził również nieźle na powyższej operacji.

Sądownictwo patrymonialne pozostawiły rządy józefińskie nadal galicyjskim właścicielom dominiów, ale zapobiegły wielu

nałużyciom i nadały im więcej prawny charakter, usuwający dawne pierwiastki samowoli. Nawet wewnętrzne życie wioskowe nie uszło uwagi Józefa II. Obowiązki władz gminnych zostały przez niego przepisane drobiazgowo. W każdej wiosce np. powinien się znajdować jeden sędzia, a na 50 domów winni funkcjonować dwaj przysiężnicy. Na urząd sędziego winna wioska przedstawić dworowi trzech kandydatów, a przysiężni winni być wybrani za porozumieniem się sędziego z dominium. Józef II był zawsze zwolennikiem fizyokratycznego „impôt unique“ i pragnął zaprowadzić równy system opodatkowania na całym terytorium, bez względu czy się grunta znajdują w rękach państwowych, dworskich czy chłopskich. W r. 1789 postanowiono wprowadzić do Galicyi nowy system urbaryalny i połączyć go z reformą podatkową. Jedyńie, aby ułatwić władzom patrymonialnym przejście do nowej organizacji gospodarczej, postanowiono wprowadzić reformę ostatecznie w r. 1791. Systematowi urbaryalnemu józefińskiemu służyła za podstawę myśl przewodnia systemu fizyokratów, którzy pragnęli przeistoczyć daniny naturalne w czynsz pieniężny.

Autor przyznaje w końcu, że reformy józefińskie w Galicyi posiadały wiele stron ujemnych. Przedewszystkiem podnosiły albo przynajmniej starały się podnieść stan włościański kosztem szlachty. Bierna masa ludności rolniczej, przyjmowała wszelkie dobrodziejstwa, nie okazując rządowi najmniejszej wdzięczności, jakby nie rozumiała, że o wpływ na nią walczy władza monarcha z władzą panów patrymonialnych. Nic dziwnego, że w obec powyższych rządowych tendencyj, szlachta galicyjska pałała nienawiścią do józefińskich reform. Reformy powyższe dbały jedyńie o dobrobyt stanu mieszczańskiego i włościańskiego, a podkopywały byt szlachty, szczepiać zmysł opozycyjny we włościaninie. Szlachta doprowadzona do ostateczności myślała jedyńie o oderwaniu się od Austrii, — dopiero powrót do dawnego systemu urbaryalnego i podatkowego, uspokoił ją nieco (1794 r.). Gubernator Galicyi Brigido, stanął po stronie wielkich właścicieli Galicyi i od czasu patentu r. 1798, każdemu było jasnym, że czasy dla józefińskich reform przeminęły. Zmiany drobniejsze, jakie zaprowadzone w dobie po-józefińskiej, zostały szczegółowo w pracy Miesesa przedstawiono aż do 1846 r. Owej smutnej i pamiętnej epoce poświęcił autor osobny rozdział. Zaraz na wstępie historii powstania w roku 1846 spotykamy się z dziwnym zapewnieniem autora, że od roku 1790 spokój Austrii nie był ani razu zakłócony, czy to przez sprzysiężenie, czy też jawną rewolucyę. Gdy

w Warszawie istniały już od roku 1817 tajne sprzysiężenia, Galicya ich nie znała zupełnie. Autor pominął tym razem plany oderwania przy pomocy Prus Galicyi od Austrii, które trwały do połowy 1791 r., ale co ważniejsze, zapomniał o r. 1809, który ogarnął płomieniem powstania wiele stron Galicyi i skończył się ostatecznie dla Austrii niewesoło. Następnie wdał się autor w skreślenie rozwoju demagogii polskiej, która pragnęła przeprowadzić rewolucyę socyalną, jako jedyny środek do należytego odrodzenia społecznego. Cały ten ustęp nosi wybitne piętno dyletantyzmu nasyconego niechęcią do wszystkiego, co polskie, a wyrozumiałością i pobłażaniem dla tego, co austryackie. Tak samo rozdział poświęcony zachowaniu się sejmów stanowych w kwestyi włościańskiej jest stronnym i stara się tendencyjnie obniżyć troskliwość stanów o dobrobyt włościan, kiedy tymczasem jak to późniejsza praca Łozińskiego wykazała, cała wina zaniedbania, czy obojętności na niedolę ludu rolnego, spada na rząd austryacki.

Krwawe wydarzenia w Galicyi w r. 1846 przypisuje autor wiecznemu i surowemu uciskowi panów patrymonialnych. W parlamentach angielskim i francuskim chciano winę za te objawy zważyć na rząd austryacki, który, jak utrzymywano, płacił premię za głowę każdego zamordowanego szlachcica. Autor jednak objaśnia, że podobne pogłoski były potwarczą legendą i nie doszukuje się w postępowaniu rządu austryackiego najmniejszej winy czy zaniedbania. Reformy, jakie po rzezi 1846 r. nastąpiły za gubernatorstwa Stadioną, a więcej jeszcze wyzwolenie i uwłaszczenie włościan z r. 1848, przedstawił autor zbyt ogólnikowo bez należytego wymotywowania. Autor przyszedł ostatecznie do konkluzyi, że emancypacja włościan w Galicyi nie przyniosła błogosławionych owoców i że obecnie zgadzają się wszystkie stronnictwa na to, że położenie włościan w tej dzielnicy jest krytyczne. Wskazanie przyczyn tego ujemnego stanu nie wchodzi w zakres badania autora i na tej ogólnej uwadze kończy swą pracę.

W rozprawie Misesa spotykamy się z niejednym ciekawym szczegółem i wogóle z dość starannym i dokładnym obrazem józefińskich i po-józefińskich reform agrarnych w Galicyi. Można by też niewątpliwie nazwać studyum Misesa pracą naukową i pożyteczną, gdyby na niej nie wyciśnięto piętna tendencyi zohydźającego przeszłość polską, a wychwalającego przeszłość austryacką. Autor reformy prywatne magnatów polskich nie tylko zbagatelizował, ale pomówił o egoizm stanowy, wtedy, kiedy Józef II i Fryderyk Wilhelm II nie mogli się swych magnatów doprosić nawet o drobniejsze ulgi dla włościan. Za nie autor też ma

starania Stanisława Augusta, choć już we Francji w XVIII wieku wiadano, że wyswobodził, co tylko mógł, że przeszło sto tysięcy włościan zawdzięczało mu polepszenie swej doli.

O tem, że reformom prywatnym polskim w XVIII w. przewodniczyło miasto Poznań, autor nie raczy wcale wiedzieć i nie zdaje się wcale domyślać tego, że jeżeli Zamoyski oswobodził i uwłaszczył włościan swej ordynacyi, to nie uczynił tego bynajmniej dla przypodobania się dynastyi Habsburgów, ale dle tego, że go do tego skłaniała tradycya rodowa, gdyż jak twierdzi Staszyc, już Jan Zamoyski nadał włościanom duże swobody, a następnie i z tego powodu, że Sejm czteroletni polecał sercu możnowładzców patrymonialnych dolę włościan. Tak samo, jak reformy prywatne możnowładzców, lekceważy autor i Konstytucyę 3 Maja, utrzymując, że nie uczyniła ona nic, albo nie wiele, dla włościanina. Autor nie chce zrozumieć tego, że wzięcie włościan pod opiekę rządu, wracało włościaninowi podmiotowość prawną, czyniąc go niezależnym od dworu i torując drogę przyszłym, rozleglejszym reformom. Prócz tego zachęciła przybyszów Konstytucya 3 Maja do osiedlania się w kraju i zawierania umów z właścicielami dominiów. Przybysze ci, zarówno jak ich umowy, pozostawali pod zupełną opieką prawa i stanowili stronę, równą szlachcie w znaczeniu prawa. Przedewszystkiem jednak należy na pochwałę Konstytucyi 3 Maja powiedzieć to, co Mises zupełnie przeoczył, a mianowicie, że Konstytucya 3 Maja szczepiła zgodę społeczną i zachęcała uprzywilejowanych do zajmowania się dolą ubogiego ludu, gdy tymczasem prawodawstwo agrarne józefińskie było aktem grabieży jednych na korzyść drugich, było wyrazem głuchej do szlachty galicyjskiej nienawiści i posiewem waśni społecznej w imię hasła: „divide et impera.“

Autor w rzezi r. 1846 nie dostrzegł najmniejszego uchybienia czy winy biurokracyi austryackiej, lecz widzi ją za to w odwiecznym ucisku szlachty polskiej, która się go dopuszczała względem włościanina. Można p. Misesowi powinszować tego poczucia sprawiedliwości, tego głębokiego, historyzoficznego sądu. Autor bowiem zna język polski i mógł się z polskich pamiętników dokładnie dowiedzieć, jakie to fakty niezaprzeczone i ohydne obciążały sumienie ówczesnego austryackiego rządu. Ażeby szlachta galicyjska w końcu XVIII i na początku XIX w. miała uciskać chłopów, autor nie znajduje dowodu żadnego. Owszem zaznacza w swej pracy, że Zamoyski w r. 1792 uwłaszczył w ordynacyi swych włościan. Z prac Grünberga przekonujemy się, że w Czechach i na Morawach jeden tylko z panów pa-

trymonialnych uczynił coś podobnego. A więc dwie dzielnice zdobyły się na to zaledwie, co uczyniła jedna Galicya i to ma właśnie przemawiać przeciw szlachcie galicyjskiej i jej twardeму egoistycznemu usposobieniu. W rozprawie Misesa znajdujemy wiele szczegółów ciekawych i agrarna działalność Józefa II dość dokładnie została opracowana. Całość jednak spowito w nie-nawistną dla nas tendencję i to osłabia znacznie charakter naukowy studyum Misesa.

A. R.

J. BAUDOIN de COURTENAY. *Kwestya alfabetu litewskiego w państwie Rosyjskiem i jej rozwiązanie*. W Krakowie, 1904, str. 44.

Pomysł zastosowania alfabetu rosyjskiego do piśmiennictwa litewskiego należy do znanego uczonego Aleksandra Hilferdinga, który marzył o zjednoczeniu wszystkich Słowian za pomocą zmodyfikowanego przezeń alfabetu rosyjskiego i nazwanego „alfabetem wszechsłowiańskim.“ Alfabet ów próbował on stosować do języka łotewskiego (ułożył czcionkami rosyjskimi „*Bukwar*“ łotyski); wydawało mu się też możliwem zastosowanie tego alfabetu i do języka litewskiego. Jednakowoż Hilferding miał w tych wypadkach cele naukowe na względzie, mianowicie rzekome ułatwienie studyum owych języków dla początkujących filologów rosyjskich.

Z tego pomysłu Hilferdinga skorzystał Milutin i przy pomocy pewnego nizko stojącego moralnie indywiduum, niejakiego S. P. Mikuckiego (ongi docenta uniwersytetu warszawskiego) i środków administracyjnych, przystąpił do wprowadzenia go w życie. „*Russkija piśmena — pisał do hr. Murawjowa w roku 1864—okoneczat to, czto naczato russkim mieczom*“ („*litery rosyjskie dokończą tego, co rozpoczęto rosyjskim mieczem*“ str. 10). Wnet też ukazało się kilka wydawnictw litewskich wytłoczonych czcionkami rosyjskimi.

Po Milutinie i Murawjowie gorliwie zajął się tą sprawą generał-gubernator wileński von Kaufman (1865—1866), „który—jak wyraża się dowcipnie autor omawianej przez nas pracy—jako wojskowy, był specjalistą do spraw filologicznych i nabył odrazu przekonania o przydatności alfabetu rosyjskiego do oddawania dźwięków języka litewskiego“ (str. 11). Wystarał się on o rozporządzenie ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Wałujewa, o zakaz drukowania wydawnictw w narzeczach „litewskim“ i „zmu-



dzkim“ literami łacińsko-polskimi. Rozporządzeniu jednak temu nie zdołano nadać sankcyi prawnej; dopiero w roku 1866 sekretarz stanu Milutin wyjednał rozkaz Najwyższy, ażeby wszystkie *wydawnictwa rządowe w narzeczach litewskich* drukowane były czcionkami rosyjskimi. „A więc—kładzie nacisk prof. Baudouin de Courtenay—wydawnictwa rządowe, a nie prywatne“ (str. 12).

I rzeczywiście, jeśli nie drukowano nierządowych dzieł w języku litewskim czcionkami łacińsko-polskimi, to stało się to tylko skutkiem oszołomienia, zamiętu i braku odwagi cywilnej. Zbiór pieśni litewskich, oczywiście rzecz nierządową—wydrukowali bracia Juskiewiczze zmodyfikowanym alfabetem rosyjskim, nie będąc do tego zmuszeni formalnie żadnym przymusem prawnym. (*Notabene* patryoci litewscy wykupili wszystkie egzemplarze tego zbioru i spalili je). Jakże inaczej postąpił uniwersytet kazański przystępując do drukowania zbioru pieśni litewskich ks. Antoniego Juskiewiczza w roku 1879. Oto, mimo, że spotkał opozycyę ze strony „miejscowych gorliwców,“ nie prosił nikogo o pozwolenie, lecz, opierając się tylko na Najwyższej zatwierdzonej ustawie uniwersyteckiej, zaaprobował jednogłośnie przedstawienie prof. Baudouina de Courtenay; w ten sposób zbiór ów pieśni litewskich wydrukowany został łacińskimi czcionkami.

Dopiero w ostatnich czasach zaczęły się podnosić wśród Rosyan głosy sprzeciwiające się narzucaniu Litwinom alfabetu rosyjskiego (S. Akşakow, Wł. Łamanskij, E. Wolter i inni). W roku 1903 ówczesny generał-gubernator gubernij litewskich ks. Świątopołk-Mirskij wystąpił z memoriałem, w którym „z druzgocącą logiką wykazano cały bezsens i szkodliwość dla państwa wszelkich owych środków ograniczających w zastosowaniu do alfabetu litewskiego“ (str. 42). Niemale znaczenie na rozwiązanie tej kwestyi—pomyślnie dla Litwinów—miały też i dwie sprawy: inżyniera Antoniego Maciejowskiego (w roku 1902) i b. studenta Pawła Wyszyńskiego (w roku 1903), z powodu których senat rządzący wyjaśnił, że „nie ma żadnego *prawa* zabraniającego drukowanie książek i innych wydawnictw litewskich literami łacińskimi.“ Kwestya ta ostatecznie rozwiązana została d. 7 maja (24 kwietnia) 1904 roku. „W dniu tym—powiada prof. Baudouin de Courtenay—zdobyto ostatecznie jedną z licznych twierdz bronionych przez przesady, przez pomieszanie pojęć i przez nieporozumienia, szkodliwe dla całego państwa i dla rozmaitych grup społecznych, państwo to zaludniających. W dniu tym zrozumiano wielkie znaczenie zasady: *leben und leben lassen*“ (str. 44).

Taka jest w głównych zarysach historia „kwestyi alfabetu litewskiego w państwie Rosyjskiem.“

Omówiona przez nas broszura, skreślona została z wielką ścisłością i nader dokładną znajomością przedmiotu; jest to rzecz prawdziwie źródłowa. Jak każda praca szanownego autora, tak i niniejsza, zawiera nie tylko dokładną analizę faktów, lecz obfituje również i w uogólnienia dalej idące, w myśli trzeźwe i zdrowe, pobudzające czytelnika do głębszego zastanawiania się nad różnemi kwestyami bezpośrednio lub też pośrednio wiążącemi się z głównym przedmiotem broszury.

HENRYK ULASZYN.

#### Kompetencya Sejmu w sprawach podatkowych Galicyi.

Sprawa zmiany stosunku Galicyi do Austryi na korzyść naszą i stworzenia dla nas lepszych warunków bytu i rozwoju wytworzyła już w Galicyi literaturę polityczną, operującą faktami historycznemi, uzbrojoną w dane statystyczne, korzystającą z całego arsenału nauk politycznych. Literaturę tę wzbogacił niedawno sporą i cenną broszurą dr. Tadeusz Rutowski.

Autor traktuje kompetencyę podatkową Sejmu na szerokiem tle historycznem, sięgając początków XVIII w. w Austryi. Przykłady dawnych sejmów różnych krajów austriackich dostarczają dowodu, iż podstawą władzy sejmów była ich kompetencya podatkowa.

„Dla korony i państwa głównem zadaniem było uzyskanie potrzebnych sum w żądanej wysokości. Więc ciągły targ korony i rządu centralnego ze stanami krajów o kwotę podatków, okupywany ustępstwami praw politycznych, przywilejów stanowych, exempcyj i wolności podatkowych“ (str. 12).

Ale z rozrostem środków finansowych, niezawisłych od stanów ceł, podatków pośrednich, z wzrostem siły ramienia państwowego, wojska i maszyny biurokratycznej, zanika też kompetencya stanów, a co za tem szło i krajów.

„Za ces. Maryi Teresy powstają centralne urzędy centralizujące, zapomocą od stanów zyskanych recesów podatkowych na szeregi lat (decymalne), sejmy stają się niepotrzebne“ (14 str.).

„Za ces. Józefa doszło do zupełnego zcentralizowania stanów. Z początku cesarz stawia kilku sejmom „postulaty,“ ale energicznie odrzuca „Jede Vorstellung.“ Od 1785 r. nawet postulatów nie stawia, rozpisuje podatki bez przyzwolenia sejmów, zarówno

w Brabancie i Flandryi, jak na Węgrzech, cóż dopiero mówić o Galicyi.“ (str. 18).

Nie będziemy przebiegać za autorem naszkicowanego przezeń obrazu stosunku Galicyi do Austrii. Sejm postulatowy nie miał kompetencji w sprawach podatkowych. Postulat przychodził z Wiednia, o zredagowaniu go nie było mowy, można było czasem, w razie wielkich klęsk nieurodzaju lub elementarnych, wyprosić ulgę. „Sprawozdania z czynności Sejmu stanowego, to pasmo pokornych prośb bez żadnej mocy ustawodawczej (31 str.).

W dalszym ciągu swej pracy dr. Rutowski przegląda konstytucyje i ich projekty w Austrii od 1848 r. oraz dziś obowiązującą od 1867 r.

„Zmieniły się prądy i kierunki, miała Austriya szereg konstytucyj i projektów oktrojowanych lub wyszłych za uchwałą z łona parlamentu — wszystkie oddawały całą skarbowość państwową kompetencji centralnego parlamentu i władzy wykonawczej państwowej.“ (64 str.).

„Kompetencya sądów przechodziła również bez zmiany rozszerzona nieco z resztek urzędzeń stanowych, aż po dzień dzisiejszy, ciasna, niedostateczna we wszystkich dziedzinach, najciaśniej-sza na polu skarbowości! Czterdzieści cztery lat autonomi krajów wobec administracyi podatkowej, na fiskalizm. W sprawach skarbowych dostała się Sejmom ery konstytucyjnej jedynie stała jus gravaminum et disideriorum (str. 66).

Gdzie więc kraj nasz szukać ma ratunku na niedomaganie skarbowe Sejmu? Zmiana stosunku Galicyi do Austrii, wyodrębnienie Galicyi, uzyskanie dla niej samodzielności, jako dla kraju, który pod względem geograficznym stanowi odrębną całość, a pod względem gospodarczym znajduje się w innej fazie rozwoju. Broszura d-ra Rutowskiego nie nasuwa innych konsekwencyj.

Podkreślając wspólną cechę wszystkich austriackich konstytucyj, skupienie prawodawstwa finansowego w parlamencie, dr. Rutowski miał na myśli wykazanie, iż wypływało to z samej istoty Austrii. Stawia bowiem postulat potrzeby przekazania Sejmowi podstaw realnych, a więc zasadniczej zmiany w kompetencji sejmu. Nie ulega też wątpliwości, że Austriya, szukająca hegemonii w Rzeszy Niemieckiej, była stanowczo inną od Austrii dzisiejszej, którą ruch wszechniemiecki usiłuje obniżyć do poziomu jakiejś Bawaryi. Austriya takiej zasadniczej uległa zmianie, że dzisiaj stają się możliwością tego rodzaju przeobrażenia w jej ustroju, które przed niedawnymi jeszcze czasy, były w zasadniczej sprzeczności z jej racją stanu. Dr. Rutowski zaznacza, że Czeši

w swych dążeniach ery konstytucyjnej postawili postulat jaknajszerszej autonomii podatkowej w dziedzinie całej podatkowo-państwowej, a stojąc przy prawie państwowem czeskiem domagali i domagają się zupełnej samodzielności na polu skarbowem.

Deklaracya czeska z 22-go sierpnia 1868 r., która wyprzedziła o jeden miesiąc rezolucyę galicyjską, zaprzeczyła artykułem 4 ustawodawstwu państwowemu taksamo, jak centralnej władzy cyslitawskiej rady państwa, czy też jakiegokolwiek delegacyi, prawa narzucania Królestwu Czeskiemu jakiegokolwiek części długów państwa lub nakładania prawnie podatków czy jakichkolwiek obowiązków i domagała się pełni praw narodowych i politycznych, oraz własnego rządu. Przy pełnem prawie państwowem stanął adres sejmowy z 1870 r.

Artykuły fundamentalne czeskiej partyi narodowej przedłożone w sejmie 9 paźdź. 1871 r. za zgodą hr. Hohenwarta, zastrzegają Krajowi zupełną samodzielność.

W zupełnem przeciwieństwie do rezolucyi galicyjskiej na pierwszym miejscu spraw, należących do wyłącznej i ścisłej kompetencyi sejmu czeskiego, postawili Czesi: Art. 3 lit. A: oznaczenie i pobór podatków, pod czem rozumiano podatki stałe.

Za sprawy wspólne uznano zaś (art. 11 B) ustawodawstwo co do opłat pośrednich, stojących w ścisłym związku z produkcyą przemysłową, monopolów, regaliów, należytości, stemplów. Temi sprawami wspólnemi i szeregiem innych miał się zająć obeszany przez sejmy krajów niewęgierskich kongres delegatów sejmowych.

Art. XIV artykułów fundamentalnych czeskich orzekał, że Królestwo Czeskie gotowe przyczyniać się fercentalną kwotą do kosztów spraw wspólnych austriackich, oraz całej monarchii i do długu państwa. Oznaczenie kwoty jest rzeczą układów i porozumienia w drodze deputacyj sejmowych.

Później do ostatnich czasów wielokrotnie domagał się sejm czeski oddania krajowi całych gałęzi podatków stałych tak co do ustawodawstwa, jak i administracyi (73).

Na innem, całkiem fałszywem stanowisku stanęła rezolucya galicyjska z 1868 r.: pozostawiała ona całe ustawodawstwo podatkowe radzie państwa, żądając tylko wydzielania kwoty przez to ciało prawodawcze na cele państwowe.

W pracy mej „Wyodrębnienie Galicyi,” wykazałem, iż był to błąd, pochodzący z niedostatecznego wykształcenia ekonomicznego ludzi owych czasów, braku planu ekonomicznej polityki dla przyszłej samorządnej Galicyi. Posiadający głębszy zmysł gospodarczy od innych owoczesnych posłów, Krzczunowicz, pod-

niósł w dyskusyi nad rezolucją tę słabą jej stronę. Dr. Rutowski cytuje Krzeczunowicza, ks. Sapięgę, Ludwika Skrzyńskiego, domagających się autonomii podatkowej. Przemogła opinia Grocholskiego, że gdy dostaniem ustawodawstwo podatkowe w nasze ręce, a pomimo tego nie będziemy w stanie zmniejszyć podatków, wówczas ta cała nienawistna strona nie na Radę państwa, ale na Sejm spadnie.

Szczepanowski pierwszy spopularyzował w kraju rozszerzenie kompetencji podatkowej Sejmu i związała ją z polityką ekonomiczną uprzemysłowienia Galicyi. On to głosił, iż łatwiej w kraju wytworzyć setki milionów niż wyzebrać w Wiedniu dziesiątki. Szczepanowski też zaznaczał wielokrotnie, że podstawą samorządu jest samorząd na polu finansowem, był on zwolennikiem przyjęcia na etat kraju szkół średnich za przyznanie krajowi podatków bezpośrednich.

Autonomia w zakresie podatków i środków komunikacji nie straciła swej treści narodowej, dla której podnosił ją Smolka, zyskała natomiast treść i rację natury gospodarczej i wysuwa się obecnie na pierwszy plan, jako narzędzie uprzemysłowienia kraju. Tę stronę kwestyi pominął dr. Rutowski, gdyż była już wyjaśniona niejednokrotnie, pominął też krytykę uciążliwej nieelastyczności współczesnej formy opodatkowania na cele krajowe przez dodatki do podatków, co zwiększa uciążliwość systemu podatkowego, przyjętego przez państwo a częstokroć zupełnie nie odpowiadającego strukturze ekonomicznej Galicyi. Żądając zmiany konstytucyi, dzięki której sejmowi galicyjskiemu przekazane byłyby podatki stałe, dr. Rutowski w granicach konstytucyi dzisiejszej żąda dopuszczenia reprezentacyi Sejmu do udziału w komisjach podatkowych, przez co mógłby Sejm wywierać wpływ współdziałający i nadzorczy w sprawach podatkowych, o czem wspomina nierozwinięty i niezanalizowany § 24 Statutu Krajowego.

WŁ. STUDNICKI.

TECHNIK. Podręcznik opracowany według niemieckiego pierwowzoru, wydawanego przez Stowarzyszenie „Hütte.“ Warszawa 1905. Wydanie staraniem komitetu redakcyjnego.

Jedną z bardzo poważnych przyczyn słabego stosunkowo rozwoju nie tylko oryginalnej, lecz i opartej na tłumaczeniach literatury technicznej polskiej, jest brak ustalonej terminologii;

ludzie przeto, chętni nawet do pisania, lecz nieskorzy do każe-  
nia cudzoziemszczyzną języka ojczystego, a obawiający się two-  
rzyć wyrazy własne, zniechęcają się do pracy wymagającej dro-  
biazgowych poszukiwań wyrazów swojskich, rozsianych po arty-  
kułach w czasopismach technicznych. Parę słowników architek-  
tonicznych i technicznych, wydanych przed laty kilkunastu, oka-  
zały się już dziś niedostatecznymi, żadna bowiem z dziedzin wie-  
dzy ludzkiej nie rozwija się tak szybko i nie wprowadza takiej  
olbrzymiej ilości pojęć nowych, jak technika.

Ustalenie wyrazownictwa technicznego polskiego, a zwłasz-  
cza danie mu pewnych podstaw, na których mogłoby się ono roz-  
wijać dalej, w miarę potrzeb czasu, stało się i dla techniki i dla  
języka polskiego sprawą pierwszorzędną doniosłości.

Pojawiały się wprawdzie ostatnimi laty prace specjalnie  
w tym kierunku podjęte, że wspomnę: książkę Narzędziową wy-  
daną w Łodzi, Słownik wyrazów technicznych dla rzemieślników  
wydany we Lwowie, kilka monografij słownikowych z zakresu  
hutnictwa i przedziałnictwa, nagrodzonych na konkursach Przeglądu  
Technicznego. Wszystkie te prace atoli, jakkolwiek i cenne, mają  
trzy braki zasadnicze: po pierwsze, jako obejmujące drobne tyl-  
ko działy techniki, uzurpowały one często na swą własność, i co  
gorsza dla pojęć błahych, niektóre bardzo cenne wyrazy, które  
nadawałyby się na określenie pojęć bardzo ważnych w innych  
dziedzinach techniki, powtórę — wyrazownictwo działu specyjal-  
nego, obracając się w ciasnem kole pojęć, łatwo wkracza na drogę  
odtworzenia powinowactwa tych pojęć przez upodabnianie nie-  
właściwych końcówek lub przybranek, przynależnych im wyra-  
zów; po trzecie wreszcie—o dobroci i odpowiedniości wybranego  
wyrazu nie może przesądzać samo tylko pierwotne jego brzmie-  
nie, lecz podatność wyrazu do przystosowywania się do potrzeb  
wyrażania myśli, a więc odmiany wyrazu, inne pochodne odeń  
utworzone, i t. p. o czem trudno wnioskować jedynie ze słowni-  
kowego zestawienia nowotworów językowych.

Mając właśnie na względzie wyluszczone powyżej braki no-  
wszych prac nad wyrazownictwem technicznym polskim, redak-  
torzy „Technika“ przedsięwzięli śmiałą i mozolną pracę wybrania  
z istniejących już wyrazów lub utworzenia szeregu logicznie po-  
wiązanych nazw dla całokształtu wiedzy technicznej. Ustalenie  
nazw takich, tworzących konary wielkiego drzewa wyrazownict-  
wa technicznego, ułatwiłoby rozwój lub powstanie właściwego  
wyrazownictwa poszczególnych działów techniki, stanowiących  
gałęzie z pędami i listkami na wspólnym pniu. Chcąc się atoli

uchronić od wyboru wyrazów pięknie brzmiących, lecz tylko w słowniku, przystąpiono do przetłómaczenia znanego wszystkim technikom i uznanego przez nich za doskonały, podręcznika niemieckiego „Hütte,“ obejmującego w streszczeniu zasadnicze działy wiedzy inżyniersko-technicznej. Jakie trudności musiała pokonać Redakcyja, aby wydać w kilku tysiącach egzemplarzy dzieło obejmujące w samym tylko tomie 1-ym, który właśnie się ukazał, przeszło 1200 stron *petitem* i około 1000 rysunków — wspomina o tem przedmowa i słowo wstępne.

Jakkolwiek ocena wartości wprowadzonych w Techniku uzupełnień i zmian co do treści, nie do nas należy; zaznaczyć wszakże musimy, że starano się przystosować książkę do warunków miejscowych, dodając do treści oryginału wiadomości o rzekach polskich, przepisy państwowe obowiązujące w Rosyi i Austrii, wyroby niektórych fabryk krajowych, i t. p. Nie możemy wdać się w szczegółowy rozbiór wartości lingwistycznej wyrazów stosowanych w Techniku, gdyż sam alfabetyczny spis rzeczy zawiera kilkaset wyrazów bądź nowych, bądź odgrzebanych z prochów zapomnienia i przystosowanych do pojęć współczesnych, a w tekście książki wyrazów tych znajdzie się drugie tyle. Musimy się ograniczyć do rzutu oka na całość kształt osiągniętego celu.

A więc przedewszystkiem język jest zupełnie poprawny i szczerze polski, co przy tłómaczeniu z niemieckiego zwłaszcza, przedstawiać musiało trudności nie małe, i co jako wybitną zaletę książki podnieść należy.

Aby nabrać pojęcia o wyrazownictwie, wystarcza uważne przejrzenie spisu rzeczy, podającego równoległe rosyjskie i niemieckie znaczenia wyrazów polskich. (Spis ten poprzedzają dwa małe słowniczki: niemiecko-polski i rosyjsko-polski). Czytając spis ten zaczyna się odczuwać ład i systemat jakimi kierowała się redakcyja w doborze przybranek lub końcówek wyrazów oznaczających pojęcia jednakowe, jako to: pojęcia oderwane, maszyny, przyrządy lub narzędzia, ludzi spełniających pewne czynności, miejsca przeznaczone do pewnego celu i t. d. Czuć tu założenie, że drzewo terminologii technicznej polskiej może rozwinąć się tylko na pniu o rdzeniu czysto polskim i widać działalność w tym kierunku redakcyi, która wyplenia niektóre cudzoziemskie pasożyty nawet gdy weszły one w powszechne użycie, lub obcina z pnia wyrazownictwa wilki, złożone z pierwiastków polskich, lecz utworzone wbrew tradycyom języka naszego.

Oto przykłady: *otulina* (zamiast dotychczasowego izolacya), *miarkownik* (zam. regulator), *naciqz* (zam. balast), *osprzet* (zam.

armatura), *naśrubek* (zam. muśra), *sprężać*, z pochodnem *sprężarka* (zam. komprymować, kompresor), *tętnik* (zam. pulsometr), *obrysie* (zam. gabaryt), *przyziom* (zam. parter), *goleń* (zam. korbowód), *odgrom* (zam. piorunochron).

Porwanie się redakcyi na stuletni wyraz *piorunochron*, dowodzi zaciętości, którą usprawiedliwiłoby można jedynie dążnością do usunięcia z Technika wyrazów niezgodnych z duchem języka polskiego, a mogących posłużyć za precedens do tworzenia w przyszłości wyrazów analogicznych.

Znajdujemy w spisie wyrazy bardzo trafne, np. *rozruszanie* (na oddanie pojęcia wprowadzenia w ruch), *bezruch* (stan spokoju), *rzez* (dla oznaczenia ostrej krawędzi), *schodnica* (boczna belka schodów, zwana pospolicie wangą, z niemieckiego Wange) i t. d. Niektóre wyrazy są po prostu doskonałe, np. cytowane powyżej: *osprzet*, *sprężarka*, *otulina* (wszakże jedynie w znaczeniu izolacji, chroniącej od strat ciepła), albo np. takie jak: *nadbrzeże* (ład na brzegu wód, fr. Quai), *gładź* (powierzchnia metalu lśniąca, wygładzona), *rozbrzeżność* (czyli odległość między dwoma brzegami otworu, pojęcie często potrzebne obok dwóch innych wyrazów wymiarowych: długości i szerokości, a odpowiadające niemieckiemu Weite), *spaliny* (gazy powstałe przy paleniu), *wymiarka* (czyli skala, franc. échelle, podawana na rysunkach celem określenia, ile razy przedmiot rzeczywisty jest większy od przedstawionego na rysunku), *prześwit* (swobodna przestrzeń w rurze, kanale, na które to pojęcie używają często wyrazu: światło, a co brzmi niekiedy komicznie np., gdy lekarz mówi o uduszonym przez wrzód, który choremu zupełnie „zatkał światło gardła“), *wylkres* (diagram rysowany ręcznie), *nakres* (diagram rysowany samoczynnie przez odpowiedni przyrządek), *ciągną* i t. p.

Poza tymi wyrazami dobrymi i pięknymi, spotykamy dużo wyrazów i brzydkich i dziwacznych, potrzebnych widocznie do wyrażenia pojęć technicznych, jak np. dyszak, obrotniak, robnik, kotłak, wypęczenie, piłak, i t. d. Są nawet wyrazy tak dziwnie potworzone, że o możliwości utrzymania ich nadal orzec mogą jedynie powagi językowe np. wyrazy: *żeliwo* (zamiast żelazo lane), *staliwo* (stal lana), *uderz wodna* (uderzenie o wodę), *wzbuch* (wybuch celowy, zamierzony), *zapłon* (zapalenie się gazów), *pierściono* (dzwono kotła), *rozoblić*, *wyoblić*, *zaoblenie*, i t. p.

Przeglądając spis wyrazów w Techniku, widzi się wyraźnie, że przy umiejętnem obchodzeniu się ze składowymi częściami lingwistyki można wytworzyć w języku polskim, z jednego źródłosłowu, takie mnóstwo wyrazów pojęciowo pokrewnych, a przed-



miotowo różnych, jakim żaden chyba język poszczycić się nie może. Spotykamy np. w Techniku od słowa *dźwigać* wyrazy: *dźwig* (winda do podnoszenia osób w budynkach, angielskie lift), *dźwigarka* (winda złożona z bębna na który nawija się lina podnosząca ciężar), *dźwignia* (drag w mechanice teoretycznej, którym to Archimedes chciał poruszyć ziemię), *dźwignica* (cała maszyna do podnoszenia ciężarów, zawierać może ona w sobie i dźwignię i dźwigarkę), *dźwignik* (pospolicie lewarem zwany, czyli przyrząd podstawiany pod przedmiot i unoszący go do góry), *dźwigownia* (komora idąca przez piętra budynku, w której porusza się dźwig), *dźwigowy* (człowiek obsługujący dźwig, ang. liftboy). Nawet wyrazy obcego pochodzenia nadają się do takich przekształceń, czego dowodem *ruszt*, od którego utworzono: *rusztowina* (oddzielny pręt rusztu) i *rusztownica* (belka na której ruszt się opiera).

Oprócz dobrych chęci służenia sprawie obywatelskiej, redakcja Technika ujawniła jeszcze jedną uznania godną, a rzadko u nas spotykaną, cechę bezstronności, pragnąc bowiem pobudzić ogół do wspólnej pracy pożytecznej, ogłosiła we wstępie Technika konkurs na ulepszenie słownictwa zastosowanego w pierwszym tomie tego dzieła. Na sędziów konkursowych zaprosiła redakcja delegatów z kilkunastu instytucyj i redakcyj czasopism technicznych polskich, oraz z Akademii Umiejętności, zastrzegając dla siebie jedynie głos objaśniający. A że nagrody też zachęcają do pracy (Rb. 200 za najlepszą seryę wyrazów, złożoną co najmniej z pięciu, 10 nagród po rb. 10, oraz 10 nagród po rb. 5 za poszczególne wyrazy), przeto plon zasiewu tego powinienby być obfity, zwłaszcza że, jak to zaznaczyliśmy, wiele wyrazów wprost się prosi o zastąpienie ich trafniejszemi lub dźwięczniejszemi.

Ale też i być nie może inaczej! Język wytwarzały całe pokolenia całego narodu, przez wieki całe; niemożliwem jest przeto aby kilkunastu ludzi, w dodatku nie specjalistów językowych, lecz wiedzionych jeno poczuciem języka, pomimo najlepszych chęci, dążności, wysiłków i pracy, zdołało w ciągu lat pięciu, poza godzinami swych zajęć fachowych, zebrać, odgrzebać z zapomnienia, usystematyzować, lub wreszcie wytworzyć tysiące z górą wyrazów bezwzględnie dobrych. Byłyby to po prostu cud!

Sekeya Techniczna i Stowarzyszenie Techników, otrzymując pierwsze egzemplarze „Technika“ wyraziły jego redakcyi podziękowanie za pracę bezinteresowną, ożywioną myślą szlachetną. Nie wątpimy, że praca ta zyska uznanie i całego społeczeństwa, zwłaszcza gdy Technik, po usunięciu zeń drogą konkursu dzisiejszych wad i usterek, stanie się w wydaniach następnych, isto-

tnym pnem drzewa terminologii technicznej polskiej, które będzie mogło rozrastać się wówczas w charakterze swojskim, pomimo zmiany pokoleń i wymagań techniki przyszłości.

Postać zewnętrzna Technika, jako to oprawa, druk, papier może być chlubą zakładów krajowych; spis omyłek zawiera zaledwie parę poprawek dotyczących cyfr i wzorów matematycznych, gdyż, jak nas zapewniała redakcja Technika, pomimo trzykrotnej korekty, innych omyłek nie zauważono. Życzymy redakcyi, aby istotnie nie znalazło się więcej omyłek, dotyczących danych technicznych, które to ideowe dane w książce zamieniają się w życiu na wartości realne.

---

# Kronika miesięczna.

---

Potrzeby szkoły polskiej. — Wobec spodziewanego zniesienia cenzury. — Projekt stowarzyszenia wzajemnej pomocy dla ziemian. — Głos p. Erazma Majewskiego w sprawie muzeum archeologicznego. — Potrzeba opieki nad umysłowo chorymi.

Zaczął się rok szkolny. Zaczął się pod hasłem szkoły prywatnej bez praw z językiem wykładowym polskim, lecz z wyłączeniem historii, geografii i języka rosyjskiego, które mają być wykładane po rosyjsku.

Napływ uczniów do niektórych z tych szkół jest tak wielki, że przełożeni muszą tworzyć potrójne i poczwórne oddziały i zachodzi obawa, że nie dla wszystkich znajdzie się miejsce.

Jakoż ciągle czynione są zabiegi o nowe szkoły prywatne.

Drugą sprawą, która narzuca się obecnie, jako najaktualniejsza, jest sprawa pomocy szkolnej.

Wpis w szkołach prywatnych z konieczności musi być znacznie wyższy, niż w szkołach rządowych.

Wielu rodziców, nawet ze sfer średniozamożnych, znajduje się w kłopotcie z chwilą, kiedy trzeba będzie uiścić 100 lub 120 rb. za chłopca.

Warszawa zawsze była gotowa do pomagania młodzieży i zawsze chętnie odzywała się na rzucone przez prasę hasło „fatalnej czternastki,“ niewątpliwie więc i teraz śpieszyć będzie z pomocą.

Trzecia sprawa, która nastrocza się opinii publicznej — to sprawa podręczników i wydawnictw szkolnych polskich.

Szkoła polska musi mieć jedno i drugie, tymczasem w chwili obecnej jesteśmy bardzo ubodzy w tym zakresie i nie możemy się łudzić, żeby luki istniejące prędko zostały zapełnione. Prze-

ciwnie raczej — doświadczenie będzie odkrywało coraz to nowe braki.

Stopniowo dopiero i powoli zapełnią się one. I nie może być inaczej, tam bowiem, gdzie nie było potrzeby przez długie lata, nie mogło być i wytwórstwa. Powstanie ono i rozwinie się teraz i — miejmy nadzieję — przeszedłszy przez ogień pierwszych prób, nawiąże nic dobrej tradycji pedagogicznej polskiej z przed lat czterdziestu, przyswajając sobie jednocześnie najnowsze w dziedzinie wychowawczej zdobycze ludów cywilizowanych Zachodu.

Tyle o podręcznikach. Obok nich potrzeba nam jeszcze rozmaitego rodzaju wydawnictw szkolnych, jak tablice poglądowe, mapy, atlasy i t. d. I w tym kierunku jesteśmy upośledzeni, nie mamy bowiem prawie nic lub mamy rzeczy niewystarczające.

I tu jednak potrzeba powinna powołać do bytu nową gałąź przemysłu — litografię i kartografię.

Map szkolnych z napisami polskimi nie mamy wcale, a mieć je musimy. Należy więc do robót w tym zakresie przystąpić. Dotychczas, o ile wydawano u nas mapy, co zresztą zdarzało się bardzo rzadko (niedokończony atlas *Wędrowca*), czyniono to przy pomocy zakładów niemieckich, z których sprowadzano t. zw. *Un-druckt*. Tymczasem, jak nas zapewniano ze strony fachowej, nasze zakłady litograficzne, chemigraficzne i drukarskie są zupełnie przygotowane do wykonywania map w kraju i wyłącznie krajowymi siłami i środkami. Nie skorzystać z tego — byłoby grzechem.

To samo dotyczy tablic poglądowych, ściennych, wyobrażających okazy świata roślinnego i zwierzęcego. Tablice takie przeważnie sprowadzane były z zagranicy, w tym roku jednak kasa Mianowskiego wydała tablicę z grzybami trującymi i jadalnymi i wydała bardzo poprawnie — tu, na miejscu, w Warszawie.

Przystępując więc do ożywionej pracy w tym zakresie, powinniśmy pamiętać o tem, że od nas samych zależy powstanie i rozwój nowej gałęzi produkcji i to rozwój nie byle jaki, szkoła bowiem jest odbiorcą licznym i stałym, nie zawodzącym nigdy.

\*

\*

\*

Dnia 10 października r. b. zapadła uchwała komisji senatora Kobeki, rozciągając wszystkie przepisy, ustanowione przez tę komisję dla prasy rosyjskiej — i na prasę w innych językach.

Główne z tych przepisów są następujące:

- 1) cenzura prewencyjna znosi się dla wszelkich druków;
- 2) znosi się art. 140 ustawy, który pozwalał ministrom usuwać z pod dyskusji te lub inne kwestye i wogóle znosi się zasada interwencji administracyjnej do dyskusyj publicystycznych;
- 3) ustanawia się cenzura dozoru nad prasą i książkami i jeśli odpowiedni urzędnik zauważy w druku coś przeciwnego prawu, spisuje protokół i oddaje sprawę do sądu;
- 4) odpowiedzialność sądowa ma być jedyną formą odpowiedzialności za przestępstwa prasowe.

Nie potrzeba dowodzić, że uchwała powyższa, o ile w całej rozciągłości wejdzie w życie, stanowić będzie punkt zwrotny w dziejach dotychczasowego rozwoju prasy polskiej, wychodzącej pod cenzurą warszawską.

Jakie były braki tej prasy, o tem doskonale wiedziało i wie całe społeczeństwo.

Jakie zaś były ograniczenia — to ujawnił memoriał o położeniu prawnem prasy i literatury polskiej, zawieszony do Petersburga przez delegatów warszawskich.

W memoriale tym poraz pierwszy wskazano otwarcie na niesłuszność tych ograniczeń, wywołujących liczne nieporozumienia pomiędzy komitetem cenzury a redaktorami pism z jednej strony, pomiędzy zaś redakcyami a społeczeństwem z drugiej.

Pobudki tych ograniczeń, jak wiadomo, były i są dwojakie.

Pierwszą kategorię stanowią te, które stwarza biurokratyczny *esprit de corps*, szczególnie silny u nas, gdzie biurokracja była zupełnie odosobniona od społeczeństwa.

„Cenzor — mówi memoriał — liczy się z prezesem, prezes ze wszystkimi naczelnikami urzędów policyjnych, powiatowych i gubernialnych. Niewolno pisać o śmieciach na ulicy, bo to dotknęłoby kogoś, kto jest odpowiedzialny za porządek w mieście, niewolno się skarżyć na wczesne zamykanie ogrodów, bo to polecil policmajster lub gubernator, niewolno pisać o szulerniach i kradzieżach, bo i tu ktoś mógłby upatrzeć wymówkę dla swego niedbalstwa.

„Wogóle administracja stara się wyzyskać cenzurę uprzednią dla osłonięcia siebie samej od krytyki, nawet od pozorów krytyki. A przy wzajemnej łączności i zależności władz, z łatwością jej się to udaje i tym sposobem cenzura staje się zamiast

narzędziem zabezpieczenia państwa od nadużyć — narzędziem do osłaniania organów administracji, nawet od tej kontroli, która leży w interesie publicznym i jest dozwolona przez prawo.

„Drugą kategorię pobudek stanowią te, które płyną z motywów politycznych i ze sposobów pojmowania przez cenzorów osobiście lub według wskazówek cyrkularzy administracyjnych — praw obowiązujących, oraz z ich poglądów na potrzeby i zadania państwa.

„Tu pozostawione jest pole zupełnej dowolności.

„Tylko przez taką dowolność można sobie wytłómaczyć prawie zupełne zamknięcie prasy polskiej przez długi szereg lat dla wszelkiej dyskusji, politycznej i społecznej. Tylko z takiej dowolności mogły wypływać zakazy przedruków z pism rosyjskich wszystkich bez wyjątku kierunków i nawet pism urzędowych, kiedy jednocześnie te same pisma, z temi samemi artykułami sprzedawane były po ulicach Warszawy i czytane w lokalach publicznych. Tylko na takiej dowolności opierało się i opiera staranne usuwanie z prasy polskiej wszelkich cech jej charakteru narodowego, nie już w artykułach, streszczających przywiązanie do swej narodowości i języka, ale nawet w drobiazgach, w pojedynczych zdaniach, wyrazach, akcentach...“

Tak scharakteryzował położenie prasy polskiej memoriał, odczytany na jednym z posiedzeń komisji rządowej w Petersburgu, przyczem twierdzenia te poparto dowodami rzeczowemi.

Nie chcemy dodawać do tego nowych i bliższych szczegółów. Możemy tylko cieszyć się, iż wkrótce nadejść może chwila, kiedy to wszystko należeć będzie do przeszłości.

Z tą chwilą prasa polska stanie też wobec nowych zadań. Będzie mogła przemawiać otwarcie i jasno w tych sprawach, które przedewszystkiem ze względu na dobro ogólne wymagają światła i dyskusji.

Niema co tać, że zadania te będą w początkach trudne, wyszczególnione bowiem powyżej ograniczenia tak dalece tamowały rozwój prasy, że doprowadziły ją do pewnego rodzaju zwyrodnienia. Zwyrodnienie to zaznaczyło się przedewszystkiem w upadku publicystyki.

Pisanie pod cenzurą wymagało specjalnej umiejętności, stało się zawodem w zawodzie. Była to sztuka, którą nie każdy mógł i nie każdy chciał osiąść, gdyż trzeba było dla niej przedewszystkiem abdykować z pewnych wymagań swojego „ja.“

Stopniowo doprowadziło to do tego, że ci właśnie ludzie, którzy mieli coś do powiedzenia społeczeństwu, milczeli, że dzien-

nik zapisywany był od góry do dołu przez jeden typ wszystko-wiedzącego dziennikarza, który był na poły reporterem, na poły publicystą miernych uzdolnień i małego polotu, który pisał literalnie o wszystkim, a żadnej sprawy nie mógł ani zbadać, ani wziąć głębiej.

Ludzie fachowi: prawnicy, lekarze, przemysłowcy, inżynierowie, kupcy w prasie warszawskiej zabierali głos bardzo rzadko lub nie zabierali go wcale, zgóry wiedząc, że nie będą mogli wypowiedzieć się tak, jak tego dana kwestya wymaga. Wskutek tego mnóstwo najżywoźniejszych zagadnień ekonomicznych, zdrowotnych i administracyjnych, nawet z szeregu tych, o których wolno było pisać, nie miały w prasie żadnego oświetlenia lub były oświetlane fałszywie.

Ale nie koniec na tem. Warunki pracy dziennikarskiej zmniejszały młodzież, posiadającą wykształcenie wyższe, od poświęcania się zawodowi dziennikarskiemu. Redakcye zaczęły się powoli wypełniać ludźmi wykojejonymi, którzy zawód dziennikarski obierali „z przypadku,“ którym nie przyświecały żadne ideały, którzy pióro traktowali tylko zarobkowo. Starszego pokolenia publicyści tej miary, co Kenig, umierali lub przestawali pisać, na ich miejsce przychodzili ludzie nie dorastający ani umysłem, ani sercem do zadań, których się podejmowali.

Nie też dziwnego, że sztandar dziennikarstwa polskiego w Warszawie zaczął się obniżać — nie było chorążych, którzy potrafiliby nieść go wysoko, nie było tych, którzy w dyskusyi i w polemice widzieliby samą tylko sprawę, a byli tacy, którzy widzieli samych tylko ludzi. Stosunki się psuły, a płytka woda rozlewała się szeroko po łanach pism, tak szeroko, że inteligentny czytelnik nabierał do dziennika niesmaku i prenumerował go tylko z konieczności.

Otóż to wszystko musi uleść zmianie z chwilą, kiedy prasa polska odzyska tyle upragnioną wolność słowa.

Stosunek jej do społeczeństwa i stosunek społeczeństwa do niej musi się z gruntu przeobrazić. Wymagać tego będą zarówno nowe warunki życia politycznego i społecznego, które innem zaczyna już dziś uderzać tętnem, jak i zmienione warunki istnienia samej prasy.

Prasa, korzystająca z tych swobód, jakie proponuje uchwała komisji senatora Kobeki, nie może być prasą szarą, bezbarwną, lękliwą, przeżuwigającą wiadomości zawsze do siebie podobne, jak to jest dotychczas. Dzienniki muszą się różniczkować, tak jak różniczkują się programy polityczne, stronnictwa i obozy. Prasa

musi spełniać swój obowiązek względem społeczeństwa i narodu w całej rozciągłości.

Z konieczności też powstanie, bo musi powstać nowy typ dziennikarza. Zamierająca publicystyka ożywi się i zabarwi. Społeczeństwo z łona swojego wyda ludzi, którzy nie będą pisali według szablonów, obowiązujących dzisiaj, ale którzy potrafią wydobyć z siebie coś więcej niż frazes zdawkowy, którzy pisząc o jakiejś kwestyi, będą ją znali dobrze i to nietylko z teoryi, ale z życia praktycznego.

To wewnętrzne przeobrażenie się prasy pociągnie za sobą także skutki innej natury. Czytelnictwo niewątpliwie wzrośnie, dziennik stanie się nietylko informatorem koniecznym i rozrywką, ale towarzyszem i przyjacielem — doradcą, bez którego obejść się nie można.

Naturalnie, nieprędko dojdziemy jeszcze do takiego rozwoju prasy, jaki osiągnęła ona w niektórych krajach zagranicą, ale — jeżeli dotąd nie mieliśmy zupełnie danych na to, aby rozwój taki kiedykolwiek osiągnąć, to obecnie posiadać przynajmniej będziemy warunki, które nie będą rozwoju tego kępowały, przeciwnie pozwolą każdemu pracować z nadzieją, że praca ta do pomyslnych prowadzi rezultatów.

Rezultaty te są może jeszcze daleko, ale w każdym razie — są one już przed nami, gdy za nami zostaje okres ciężkiej walki o każdą myśl, o każdy niemal wyraz, o każde pociągnięcie pióra.

\*

\*

\*

W kraju naszym od dłuższego już czasu trwa kryzys rolniczy i niema roku, żeby ofiarą jego nie padało kilka lub kilkanaście rodzin ziemiańskich. Latyfundya i własność drobna opierają się temu kryzysowi, ale własność średnia, owe kilkunasto a nawet kilkudziesięciowłokowe gospodarstwa, których znaczną posiadamy ilość, nie mogą przetrzymać trudnych warunków i topnieją szybko w rękach swych właścicieli. Coraz więcej też mamy ziemian bez ziemi, coraz większa ilość ich przybywa do miast i szuka tam środków do życia. Nie jest to jednak rzecz łatwa nagle przerzucić się z jednej gałęzi pracy do innej, z dobrobytu wiejskiego przejść na skromny chleb mieszczański. Powstają też na



tem tle rozmaitego rodzaju tragedye groźne i ciche, tragedye, wywołane często nie winą osobistą, ale — splotem warunków ekonomicznych, z któremi walka jest nad siły jednostki. Z tego też względu zorganizowanie pomocy dla ziemian podupadłych nie jest kwestyą jałmużnictwa społecznego, ale poważnem zagadnieniem chwili.

Zagadnienie to poruszył właśnie p. Jan Kownacki i oddał pod dyskusyę publiczną projekt „Stowarzyszenia wzajemnej pomocy dla ziemian.“

Projekt ten polega na tem, aby istniejące u nas zarządy towarzystw rolniczych zechciały spisać odpowiednią ustawę stowarzyszenia i postarały się u władz rządowych o jej zatwierdzenie, aby zarząd powyższego stowarzyszenia mógł istnieć przy zarządzie Towarzystwa rolniczego każdej gubernii, aby w każdym powiecie wybrana była odpowiednia liczba członków, którzyby zbierali składki, wnosili je do kasy „Stowarzyszenia wzajemnej pomocy“ i przedstawiali zarządowi tych swoich sąsiadów, którzy ustąpili bez żadnych środków z majątku, a którym z pomocą przyjść należy, aby składkę oznaczyć niewielką np. po 1 kopiejce z morga.

Tak mała składka — mówi p. Kownacki — bo wynosząca za ledwie 6 rb. z przeciętnego u nas 20-to włókowego folwarku, właścicielowi czy też dzierżawcy nie zrobiłaby żadnej różnicy w budżecie, a jednak mogłaby ukoić wiele niedoli ludzkiej.

Dla bliższego objaśnienia tej sprawy, projektodawca przytacza obliczenia, zaczerpnięte z danych statystycznych, złożonych w roku 1900 dyrekcji głównej T. K. Z. przez dyrekcye szczegółowe każdej gubernii.

Z danych tych dowiadujemy się, że w r. 1900 obciążonych pożyczką T. K. Z. było:

|                         |      |          |
|-------------------------|------|----------|
| w gub. suwalskiej . . . | mórg | 307.682. |
| „ łomżyńskiej . . .     | „    | 342.710. |
| „ kieleckiej . . .      | „    | 615.054. |
| „ radomskiej . . .      | „    | 592.056. |
| „ piotrkowskiej . . .   | „    | 619.158. |
| „ płockiej . . .        | „    | 776.034. |
| „ siedleckiej . . .     | „    | 787.200. |
| „ kaliskiej . . .       | „    | 810.662. |
| „ lubelskiej . . .      | „    | 903,657. |
| „ warszawskiej . . .    | „    | 983.480. |

Razem mórg 6,637,693.

Licząc zatem po 1 kop. z morgi, otrzymany 66.376 rb. rocznie. P. Kownacki przypuszcza, że połowa posiadających pożyczkę T. K. Z. do Stowarzyszenia należeć nie zechce, ale i wtedy jeszcze wpłynię z tego źródła 33,000 rb. Suma ta stopniowo może się jeszcze zwiększać przez zapisy pośmiertne, jednorazowe ofiary większe i t. d. Trzeba tylko, aby tę sprawę ujęły i poprowadziły dzielne i energiczne ręce.

A teraz w jakim kierunku działalność swoją stowarzyszenie głównie rozwinąć powinno?

Przedewszystkiem — odpowiada p. Kownacki — musiałyby ono dbać o to, ażeby tym członkom swoim, którzy utracili majątek, dostarczyć środków na przeprowadzenie fachowego wykształcenia dzieci, powtóre — powinno ono dla ojców rodzin obmyśleć stosowną pomoc doraźną i pośrednictwo w wyszukiwaniu odpowiedniego sposobu zarobkowania, w miarę uzdolnienia.

Trudno zaprzeczyć, że tak pojęte i rozwinięte „Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy,“ nietylko odpowiadałoby swemu celowi, ale nadto byłoby dla swych członków niejako wzajemną asekuracją na wypadek niedoli w przyszłości, któż bowiem zaręczyć może za to, że zmienne koleje losów nie postawią go jutro w tych samych warunkach, jakie dziś zacisnęły pętlę na szyi sąsiada i zmusiły go do pozbycia się ojcowizny.

Należy też mniemać, że Towarzystwa rolnicze wezmą to pod rozwagę i wystąpią z inicjatywą w tej mierze, projekt bowiem istotnie wart jest urzeczywistnienia.

\*

\*

\*

Redaktor „Wisły“ i „Światowita“ p. Erazm Majewski, znany etnograf, przyrodnik i archeolog, poruszył świeżo sprawę założenia u nas samoistnego muzeum archeologicznego.

Na pytanie, kto dostarczy funduszków na ten cel, odpowiada pan Majewski w sposób następujący:

Są na to trzy odpowiedzi: 1) miasto, 2) ofiarność ogółu, 3) ofiarność nielicznych jednostek zamożnych.

Z tych trzech dróg należy odrazu wyłączyć pierwszą, jeżeli nie chce się odkładać sprawy *ad calendas Graecas*.

Wiemy, ile projektów, z energią zapoczątkowanych, czeka dziesiątki lat na urzeczywistnienie. Tej drogi więc nie trzeba nawet próbować.